JAK ZŁOTO NISZCZY ŚWIAT s. 64

ABECADŁO DZIEDZICZENIA
RADZIMY, JAK NAJLEPIEJ DAĆ I PRZYJĄĆ SPADEK s. 56

„PRZEKRÓJ" oskarżony, że obraża prokuratorów s. 28

PRZEKRÓJ

Minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro:

Albo coś zmienię, albo odejdę

Nr 47/3152 • 1 7 listopada 2005 • cena 4,50 zł /w tym 7% VAT/



FAKTY LUDZIE OPINIE

RACZKOWSKI *na Czwartek*



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o Henryku Stokłosie. To taki były senator, który bez prokuratora żyć nie może. Tym razem sam napisał donos do prokuratury, że w dniu Wszystkich Świętych nieznani sprawcy na kontenerze jego firmy stojącym na śmiłowskim cmentarzu pod imieniem i nazwiskiem Stokłosy domalowali krzyż i dopisali: „Świętej pamięci 1989–2005. Bóg i naród tak chciał". Znany z bijącego wprost od niego szacunku do innych ludzi przedsiębiorca napisał: „Użycie symbolu krzyża (...) Dotyka mnie również osobiście, powodując dyskomfort psychiczny związany z odczuwaniem braku szacunku do mojej osoby". Bo dla nas stracił swój urok, od kiedy przestał siebie szanować.

...o Jacku Kurskim, pośle PiS wyrzuconym w niesławie z PiS przez koleżeński sąd dyscyplinarny, oraz Jacku Kurskim, pośle niezależnym o cześć swoją walczącym przywróconym do PiS przez koleżeński sąd dyscyplinarny w ramach pozytywnie rozpatrzonego odwołania. Bo choć z partyjną naganą, to jest to ciągle ten sam Jacek Kurski, o czym doskonale wiedzą Lech i Jarosław Kaczyńscy. Wszystko jest, jak miało być: najpierw przyjęli go zarówno prawy, jak i sprawiedliwy; potem ten prawy go wyrzucił, żeby z kolei ten sprawiedliwy mógł go znów przyjąć. Są pytania?

...o Romanie Giertychu nagrodzonym przez nową koalicję władzy stanowiskiem szefa sejmowej komisji do spraw służb specjalnych. Bo to wcale nie jest nagroda, tylko wyraz szacunku do człowieka, który w imię znanej sobie jedynie słusznej prawdy gotów jest się poświęcić i z samym diabłem na Jasnej Górze spotykać.

...o biadoleniu Komendy Głównej Policji: w wyniku trwającego właśnie naboru do policji przyjęto zbyt dużo kobiet, między innymi dlatego, że częściej wiedziały, co to jest OPEC i potrafiły odpowiedzieć na pytania odwołujące się do mitologii greckiej – a to wiedza zbędna, jak twierdzi jeden z policyjnych instruktorów. Bo to jednorazowe biadolenie. Już w przyszłym roku będzie lepiej: testy z wiedzy ogólnej zostaną uproszczone, kobiety będą rzucały tą samą piłką lekarską co mężczyźni i miały tyle samo czasu na tor przeszkód. Policjant ma być silny, od myślenia są przełożeni.

...o wielkiej czerwonej świni podłożonej Matthiasowi Platzeckowi, premierowi Brandenburgii (i przyszłemu szefowi niemieckiej SPD). Związana ze służbami specjalnymi Moskiewska Akademia Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Obrony i Porządku przyznała mu Order Piotra Wielkiego (noszą go już między innymi Aleksander Łukaszenko i Radovan Karadżić). Bo to nie nasz dowcip.

CYTAT tygodnia

Jak wiemy, pies pogrzebany jest w szczegółach

– MAREK GOLISZEWSKI, prezes Businnes Center Club, o kłopotach Polski w handlu z Rosją



Fot. ROBERT JAWORSKI/FORUM

spis prawdziwych treści S. 4



Fot. ANIA FREINDORF

34
Francuscy imigranci chcą być Francuzami

Okładka: Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI



Fot. NATIONAL PICTURES

52
Świętujemy Dzień Toalet

ICH DOMY LEGŁY W GRUZACH, A W NAMIOTACH NIE PRZEŻYJĄ ZIMY. [illegible] NICH 17 TYSIĘCY KOBIET, KTÓRE URODZĄ DZIECI W CIĄGU NAJBLIŻSZYCH DWÓCH MIESIĘCY

ZAPOMNIANI NA ŚMIERĆ

Trzęsienie ziemi w Kaszmirze zabiło 80 tysięcy ludzi. Teraz himalajska zima może zabić milion tych, którzy ocaleli. O miłosierdzie skąpego świata woła Salman Rushdie

Salman Rushdie

Bezdomni w miasteczku namiotowym w Balakot w północnym Pakistanie. Chora matka głaszcze po twarzy rannego syna. Już teraz temperatury w Pakistanie sięgają zera. A będzie dużo zimniej

Fot. PAULA BRONSTEIN/GETTY/EAST NEWS



ZACHÓD ZASYPAŁ OCALAŁYCH TYM, CO BYŁO MU NIEPOTRZEBNE. ZAMI[illegible]ZEWANYCH NAMIOTÓW I KOCY DO KASZMIRU PRZYJECHAŁY TONAMI T-SHIRTY I CIENKA ODZIEŻ

W jednym z obozów w Pakistanie na trzy tysiące uchodźców przypada 12 latryn. Wielu ludzi załatwia potrzeby fizjologicznie obok miejsc, gdzie bawią się dzieci i przygotowuje się posiłki. Życie mieszkańców tego śmietniska jest niewiele lepsze niż zagłada, przed którą uciekli

Mieszkańcy Balakot grzebią na wyspisku bezużytecznej pomocy. Świat zasypał miasto odzieżą, której nikt tu nie potrzebuje. Ludzie biją się o namioty

STRATY MATERIALNE PO KATAKLIZMIE SĄ SZACOWANE NA 5,2 MILIARDOLARÓW. DOTYCHCZAS ONZ DOSTAŁA NA POMOC DLA PAKISTANU TYLKO 133 MILIONY DOLARÓW

Katastrofa kaszmirska jest jak rana na ciężko już poranionym ciele. Oto bowiem śmierć w całym swoim upiornym majestacie nawiedziła miejsce, w którym zdążyła już wcześniej stać się czymś parszywym, szpetnym i codziennym. Tyle ludzi zginęło już w Kaszmirze z rąk człowieka, że gdyby wierzyć w Boga, można by powiedzieć: Bóg wziął się na ambicję i postanowił pokazać zabójcom – zarówno tym umundurowanym, jak i terrorystom działającym z ukrycia – czego potrafi dokonać prawdziwy zabójca.

Kaszmir tak wiele już wycierpiał z rąk człowieka: tylu młodym mężczyznom złamano życie, tyle kobiet zhańbiono, tyle wsi zrównano z ziemią, tyle było tu wybuchów, tyle zniszczeń, tyle krwi na dziewiczym niegdyś, a teraz zgwałconym i splugawionym śniegu, że ten ostatni, naturalny kataklizm to już nie tylko coś, co „przekracza ludzką wytrzymałość; to po prostu skandal. To trzęsienie ziemi jest jak cios młotem wymierzony w ludzi, których już wcześniej zmiażdżono. A teraz, jakby dla ukoronowania tego wszystkiego, nadciąga himalajska zima i być może największa katastrofa ciągle jest przed nami.

RAJ NA ZIEMI

Zima w Kaszmirze jest piękna, ale i okrutna. Doliny pokryte białym pledem i ścięte lodem jeziora, przejrzyste powietrze, w którym czuć już zapowiedź śniegu – całe to piękno wyciska z oczu zamarzające na rzęsach łzy. Widok potężnych Himalajów dookoła, spowitych w biel niczym gigantyczna instalacja Christo, otrzeźwia człowieka i każe mu po raz kolejny uświadomić sobie własną znikomość.

„Jeżeli istnieje raj na ziemi – napisał dawno temu cesarz Dżahangir – to tu, to tu, to właśnie tu". W wysoko położonych dolinach Kaszmiru zrodziła się też legenda o krainie Szangri-La. Ale prawdziwy Kaszmir nie jest miejscem, gdzie ludzie wiedliby żywot nieśmiertelnych, nie lękając się doczesnych kataklizmów. Zimą w raju zawsze rządzili bogowie o lodowatych sercach. Dziś Kaszmir jak jeszcze nigdy dotąd stał się królestwem śmierci.

Napływają kolejne wiadomości i nieustannie narasta w nich głos rozpaczy. Miliony ludzi nie mają domu. Ich liczba po obu stronach tak zwanej linii demarkacyjnej – tej historycznej szramy, która przecięła oblicze niespokojnej prowincji, oddzielając część indyjską od pakistańskiej – może wynosić do trzech milionów.

Po stronie pakistańskiej, jak twierdzi premier regionu Sikander Hajat Chan, 70 tysięcy rannych czeka na pomoc. Wiele dróg zniszczyło jednak trzęsienie ziemi, inne nie nadają się do użytku z powodu osunięć ziemi i błota, a Czerwony Krzyż donosi, że szturm zdesperowanego tłumu na widok helikopterów ratunkowych niekiedy uniemożliwia im lądowanie. Z kolei ONZ twierdzi, że jeżeli nie otrzyma natychmiast dodatkowych funduszy, jej helikoptery w ogóle będą musiały w najbliższych dniach wstrzymać loty.

ŚMIERĆ W NAMIOTACH

Decyzja władz indyjskich i pakistańskich o otwarciu linii demarkacyjnej w celu ułatwienia działań ratunkowych została podjęta zbyt późno, ale dobrze, że ją w ogóle podjęto. Trzeba jednak niezwłocznie zwiększyć pomoc finansową – inaczej owo otwarcie może się okazać pustym gestem. Jeżeli w ciągu najbliższego miesiąca nie powstaną schronienia zimowe, Kaszmir zmieni się w lodowaty cmentarz, gdzie setki tysięcy ludzi dosłownie zamarzną na śmierć.

Działania ratunkowe trwają wbrew wszystkim utrudnieniom. Państwowe agencje ratownicze, prywatne instytucje charytatywne i liczne organizacje humanitarne przerzucają w region katastrofy leki, koce, ciepłą odzież i namioty. Ale jak napisał do mnie w zeszłym tygodniu pewien kaszmirski dziennikarz, „w tych przygranicznych wioskach nikt nie przetrwa zimy w namiocie".

Tymczasem świat sprawia wrażenie, jakby nie miał już siły na współczucie. Po tsunami na wschodzie i huraganach na zachodzie można to zrozumieć. Ale mieszkańcy Kaszmiru zasługują na więcej, niż dostają. A już z całą pewnością to, czy zasługują na pomoc, nie powinno być poddawane swoistym testom politycznym.

Ledwo jednak zatrzęsła się ziemia w Kaszmirze, różni ludzie w USA i Europie zaczęli mi zadawać to samo politycznie obciążone pytanie: czy ta katastrofa „pomoże"? Czy sprawi, że Indie i Pakistan postanowią wreszcie zapomnieć o dzielących je różnicach i zakończą wieloletni spór o Kaszmir? Trudno nie dojść do wniosku, że stosunek Zachodu do Kaszmiru w jakiejś mierze zależy od pozytywnej odpowiedzi na to pytanie. A odpowiedź, niestety, jest negatywna.

ŚWIAT ODWRACA WZROK

Indie i Pakistan wciąż spoglądają na siebie podejrzliwie. Wykazała to historia indyjskich helikopterów: zaoferował je rząd indyjski, ale Pakistan odmówił ich przyjęcia, domagając się, by obsługiwali je pakistańscy piloci. Na to z kolei nie chciały się zgodzić Indie. Tymczasem ofiary trzęsienia ziemi umierały po staremu.

Co więcej, niedawny mord na umiarkowanym polityku kaszmirskim pokazał – a zamachy bombowe w Delhi wydają się to potwierdzać – że pewne grupy ekstremistów islamskich zamierzają sabotować wszelkie postępy w relacjach indyjsko-pakistańskich. Dopóki takie ugrupowania znajdują schronienie na terenie Pakistanu, trudno liczyć na jakikolwiek układ pokojowy.

Wszystko to nie powinno mieć znaczenia wobec tego, z czym mamy do czynienia w tej chwili. Już od półwiecza świat odwraca wzrok od problemów politycznych Kaszmiru. Teraz jednak nie wolno odwracać się plecami do mieszkających tam ludzi. Jeżeli pomoc nie zacznie natychmiast płynąć większym strumieniem, nadciągająca zima zabije więcej ludzi niż samo trzęsienie ziemi. Bardzo możliwe, że ostatecznie żniwo śmierci okaże się większe niż po tsunami. Być może jesteśmy właśnie świadkami najstraszliwszej klęski żywiołowej w dziejach ludzkości.

HAŃBA NAM WSZYSTKIM

Tym razem jednak mamy możliwość, by tej klęsce zapobiec. Tym razem wysyłając pieniądze, możemy sprawić, że helikoptery dolecą na miejsce, że chorzy otrzymają pomoc i że powstaną zimowe schronienia. Ci ludzie już wszystko stracili – ich domy legły w gruzach, dzieci zginęły w zburzonych szkołach – ale im samym wciąż jeszcze można uratować życie.

Jeżeli to nam się uda, wspaniale. Jeżeli jednak zawiedziemy – na przykład dlatego, że nie mamy już głowy do katastrof, Kaszmir to kraj daleki i awanturniczy, a nam się wydaje, że to nie nasza sprawa – no cóż, wówczas hańba nam wszystkim. Hańba nam, którzy mamy własne domy i własne dzieci, a nie potrafimy zatroszczyć się o tych, którzy je stracili.

Tej katastrofie wciąż można zapobiec i nie chcę wierzyć, że do niej dopuścimy. Ale zostało bardzo mało czasu. Nie mamy ani dnia do stracenia.

SALMAN RUSHDIE

TYTUŁ I ŚRÓDTYTUŁY POCHODZĄ OD REDAKCJI „PRZEKROJU"

Listopad w Kaszmirze. ONZ apeluje do darczyńców o pilne dostawy 200 tysięcy ocieplanych namiotów. Na razie tysiącom bezdomnych muszą wystarczyć plastikowe folie

Fot. AMIT BHARGAVA/CORBIS

Miejscowość Balakot w Kaszmirze, gdzie znajdowało się epicentrum trzęsienia ziemi 8 października, wygląda dziś jak krajobraz po ciężkiej bitwie



Fot. CHRIS STOWERS/PANOS/EK PICTURES

POMOC NIESPIESZNA

8 października pogranicze pakistańsko-indyjskie nawiedziło trzęsienie ziemi o sile 7,6 stopni w skali Richtera. Tragedia pochłonęła około 79 tysięcy ofiar, połowę zabitych stanowiły dzieci. Z większości zadeklarowanej przez świat pomocy zostały tylko słowa. Z obiecanych 1,3 miliarda dolarów na konta ONZ dotarły zaledwie 133 miliony dolarów, niewiele wobec absolutnie niezbędnych 550 milionów. Do zrujnowanych pakistańskich miast i wiosek, gdzie wegetują setki tysięcy bezdomnych, napływają leki, żywność i ubrania, ale ta doraźna pomoc to kropla w morzu potrzeb. Nadal brakuje niemal wszystkiego – 200 tysięcy namiotów, śpiworów, prowizorycznych latryn i lekarstw. Koszty odbudowy domów, szkół, szpitali i infrastruktury w zniszczonych rejonach Pakistanu szacowane są na pięć miliardów dolarów. W wywiadzie dla BBC prezydent Pakistanu Pervez Musharraf wprost zarzucił Zachodowi podwójne standardy i w geście protestu odłożył zakup nowych samolotów F-16. Zdaniem Musharrafa przyczyna skąpstwa jest prosta: w Pakistanie ucierpiało bardzo niewielu obywateli państw zachodnich w porównaniu z tsunami w Azji czy niedawnym huraganem „Katrina" w USA. (MJANT, RYB)

Pomoc można przekazać na konto UNICEF: 27 1020 1013 0000 0302 0134 1940 z dopiskiem: „Pomoc dzieciom w Pakistanie" albo na konto PCK: 29 1160 2202 0000 0000 6818 0515 Bank Millennium SA z dopiskiem „Pakistan"

Jest pan szczęśliwym szeryfem?

– Nie przeżywam swojej roli w kategoriach westernu i Dzikiego Zachodu.

A szczęścia?

– Miałem chwilę takiej wewnętrznej satysfakcji, bo szczęścia to by było za dużo powiedziane, kiedy widziałem twarze rodzin i ludzi z Włodowa, którzy wyszli z aresztu. Moim zdaniem już zupełnie niepotrzebnie siedzieliby w areszcie, a pewnie tak by było dalej, gdyby tutaj zasiadał przedstawiciel Platformy, która zaciekle atakuje mnie za to, że za moją przyczyną ludzie ci będą odpowiadać z wolnej stopy.

Przypominam, że kampania już się skończyła, już teraz nie trzeba nas straszyć swoimi konkurentami, walić w PO, teraz pańskim odniesieniem są już tylko wyłącznie pana sukcesy i porażki.

– Może zostało mi jeszcze takie przyzwyczajenie. Może też dlatego, że ci ludzie pewnie zarzucą mi ręczne sterowanie prokuraturą, ale odpowiadam na ataki, które – jak sądzę – są przedłużeniem kampanii PO.

Przecież ręcznie pan zadziałał, nie można tego inaczej nazwać.

– Gdybym nie zadziałał, to ci ludzie siedzieliby przynajmniej do połowy grudnia, być może do lutego w areszcie tymczasowym.

I to byłoby bezsensowne, tu się z panem zgodzę. Ale tysiące ludzi bezsensownie siedzi w aresztach śledczych. Dlaczego w ich sprawach pan nie zabierze głosu, nie tupnie, nie wyśle listu?

– W każdej sprawie będę zabierał głos, kiedy będzie to uzasadnione.

Nie wiem, czy warto, bo rzadko aż tyle „punktów" sympatii społecznej jak w tej sprawie pan uzyska. Więc tysiące niesłusznie siedzą w areszcie miesiącami, latami, czy oni też mogą liczyć na taką pańską interwencję? To chyba niemożliwe?

– Tylko w uzasadnionych wypadkach, bo jeżeli będę wiedział, że gdzieś się źle dzieje, to nie mogę przymknąć na to oczu. Gdybym udawał, że sprawy nie znam, byłbym człowiekiem skrajnie bezdusznym, ale też głupim. W sprawie ludzi z Włodowa mam poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Jestem pewien, że dalsze trzymanie tych ludzi w areszcie było całkowicie bezzasadne.

Ale otworzył pan sobie w ten sposób w kieszeni puszkę Pandory.

– Nie ma takiej obawy. Bo po pierwsze, powiedziałem, że będę podejmował decyzje w sprawach, które do mnie dotrą, bo nie jestem Duchem Świętym...

Teraz będzie pan miał w swoim sekretariacie tony takich spraw.

– I nie boję się tego. Moja konferencja prasowa nie była poświęcona wyłącznie sprawie Włodowa, ale szerszemu zagadnieniu. Chciałem nie tylko załatwić jedną sprawę, choć ona była ważna, ale podkreślić sprawę generalną – rozszerzenie prawa do obrony koniecznej. Podnosiłem dwie sprawy związane z wydanymi wcześniej przeze mnie jako prokuratora generalnego decyzjami. Po pierwsze, że granice obrony koniecznej i sprawy związane z przekraczaniem tej granicy muszą być odtąd traktowane inaczej. Już na etapie stosowania środków zapobiegawczych tak drastycznych jak areszt. Sprawy zwykłych bandytów, którzy biją, gwałcą, mordują, nie można kłaść na tej samej szali co sprawy z obroną konieczną bądź jej przekroczeniem. Nakazałem analizę przeszłych spraw, do których będę chciał wracać. Chcę zbadać nawet sprawę „Długu", zawsze mnie to zajmowało, jak to było naprawdę, czy tak jak na filmie, czy inaczej. I dokonam analizy i oceny, a jako minister mogę wystąpić o ułaskawienie. Wydałem dyspozycje, aby dokonać analizy wszystkich tego typu spraw w kraju, czy nie dochodzi do nadużyć tymczasowego aresztowania. A po drugie, przygotowałem wytyczne dla wszystkich prokuratorów w kraju, aby w tego typu sprawach z wyjątkową ostrożnością stosować tymczasowe aresztowanie, a jeżeli już, to na krótki czas niezbędny do przeprowadzenia koniecznych czynności, natomiast w sprawach groźnych bandytów zachęcam do stosowania tymczasowego aresztowania częściej i na dłuższy czas.



Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

WIĘZIEŃ NAM WYSTARCZY

ZBIGNIEW ZIOBRO, najbardziej popularny i najmłodszy z ministrów PiS, dostał zadanie najtrudniejsze: ma zmusić do prac sędziów i prokuratorów, a równocześnie odebrać im trochę niezależności. A może do historii przejdzie jako wielki budowniczy więzień?

I będzie się pan zajmował naprawianiem błędnych decyzji różnych prokuratorów w odległych częściach kraju?

– Ale co byłoby, gdybym tego nie zrobił?

Mógł to pan zrobić po cichu, po to by ludzie nie oczekiwali powtórek z Włodowa, czyli mógł pan spowodować, żeby ci ludzie wyszli z aresztu, ale nie robić z tego sensacji medialnej.

– Ukrywanie decyzji w głośnych medialnie sprawach byłoby ze szkodą dla wymiaru sprawiedliwości. Ponadto ludzie powinni wiedzieć o tym, że prokuratura nie będzie wsadzać i traktować jak bandytów tych, którzy się bronili bądź przekroczyli granice obrony koniecznej.

Nadużywanie tymczasowego aresztowania nie dotyczy tylko obrony koniecznej. Widzi pan ten problem?

– Zdarzają się takie przypadki. I nie na konferencji prasowej, ale drogą służbową wydałem polecenia, aby we wszystkich sprawach, gdzie stosowany jest areszt tymczasowy, zwiększyć tempo prowadzonych czynności procesowych. Chodzi o to, aby jego stosowanie było tylko o tyle konieczne, o ile jest to niezbędne dla przeprowadzenia wszystkich czynności. Problem polskiego wymiaru sprawiedliwości jest też taki, że się kogoś aresztuje, później gość siedzi w więzieniu, a dynamika różnych czynności prokuratorskich spada, a to powinno być odwrotnie.

Chciałbym jeszcze słowo o ręcznym sterowaniu. Krytykowałem je wtedy, kiedy ono miało miejsce w zaciszu gabinetów, kiedy nikt o nim nie słyszał. Tak ustawiano sprawy zwykle partyjnych kolegów i ludzi z nimi związanych, by nie ponieśli odpowiedzialności za swoje czyny, by ktoś uchylił się od odpowiedzialności. Nie zarzucałem nikomu tego, że podejmuje decyzje, bo jest odpowiedzialny za funkcjonowanie prokuratury, jeśli czynił to otwarcie, w świetle jupiterów.

To jak się mają czuć ci prokuratorzy, których pański głośny krytyczny głos dosięgnie, jak na przykład prokurator prowadzący sprawę pobicia we Włodowie?

– Prokurator jest niezależny w momencie prowadzenia postępowania, ale prokuratura jest instytucją zhierarchizowaną i dopóki tak jest, dopóty głos przełożonego ma znaczenie. Prokurator, jeżeli się stanowczo nie zgadza z moją decyzją prokuratora nadrzędnego, ma prawo odmówić jej wykonania i ma prawo zażądać jej na piśmie, a później może wreszcie wystąpić o wyłączenie ze sprawy.

Zbyt wielu tak odważnych prokuratorów to my chyba nie mamy.

– Zdarzają się. Zresztą nie przyszedłem tutaj, żeby wystawiać tylko laurki. Chcę dokonać zmian systemowych. Mam bardzo ciekawy, również dla prokuratury projekt takich zmian, które spowodują, że prokuratura będzie bardziej prestiżowa, a przede wszystkim bardziej skutecznym instrumentem państwa walki z przestępczością, zwłaszcza tą najgroźniejszą.

Wiem, chce pan stworzyć centralne biuro śledcze prokuratorskie.

– Między innymi, ale nie tylko...

Zlikwidować rozbudowany nadzór prokuratorów nad prokuratorami.

– Bardzo go ograniczyć. W Polsce w przeliczeniu na sto tysięcy mieszkańców jest druga co do wielkości liczba prokuratorów w Europie, a skuteczność, wydajność polskiej prokuratury jest jedną z najniższych. To pokazuje, że system organizacyjny szwankuje.

Może w doborze prokuratorów jest jakaś selekcja negatywna, że lepsi idą do adwokatury, na sędziów?

– Te problemy również zauważam, chociaż byłoby niesprawiedliwe i nieprawdziwe, jeśli ktoś twierdzi, że pracują tu partacze, bo tu jest wielu naprawdę znakomitych prawników. Natomiast odpowiedzią na ten problem jest projekt stworzenia przeze mnie specjalnej wspólnej szkoły aplikacji sądowo-prokuratorskiej, która kształciłaby na bardzo wysokim poziomie i która dopuszczałaby do zawodu tylko tych najlepszych. Odpowiedzią na ten problem jest też propozycja podniesienia zarobków prokuratorów.

Jakie są dziś widełki prokuratorskich zarobków?

– Od około trzech tysięcy złotych do dziewięciu tysięcy złotych – tyle zarabiają prokuratorzy krajowi. Jest cała rzesza ludzi, którzy zarabiają, zwłaszcza w warunkach warszawskich, średnio, jeśli to odnieść do innych zawodów prawniczych. Ale rewolucja w zawodach prawniczych takich jak adwokatura czy radcostwo, a byłem jednym z jej inicjatorów, doprowadzi do obniżenia finansowego prestiżu tamtych zawodów. Siłą rzeczy zwiększy się konkurencja, a to doprowadzi do obniżenia cen usług. Wtedy podniesienie zarobków w prokuraturze spowoduje, że ten zawód będzie znacznie bardziej prestiżowy również w wymiarze finansowym i będzie tu trafiało więcej ambitnych fachowców.

Pan jest wybitnym prawnikiem?

– Staram się otaczać wybitnymi prawnikami.

A sam nim jest?

– Po pierwsze, ja nie jestem sędzią samego siebie.

Ma pan dopiero 35 lat, ale jakąś samoocenę już chyba tak?

– Jestem człowiekiem skromnym, przynajmniej staram się być, nie wiem, czy zawsze mi wychodzi.

To zapytam inaczej: dlaczego nie jest pan wybitnym prawnikiem, dlaczego po studiach został pan politykiem, a nie wybitnym prawnikiem? Czego zabrakło albo czego było za dużo?

– To zależy, co rozumie pan przez pojęcie „wybitny prawnik", to jest kwestia ocenna.

Mówię „wybitny prawnik" w sensie praktycznym, jeżeli wybitny prokurator prowadzi postępowanie, to ma wyroki skazujące, a sądy potwierdzają jego pracę. Wybitny adwokat z kolei to taki, który potrafi wybronić swojego klienta. Dlaczego nie jest pan wziętym adwokatem albo wybitnym, siejącym postrach prokuratorem?

– Kiedy zdecydowałem się trafić do prokuratury, to decyzję podjąłem z głębokiego przekonania i pragnienia walki z przestępczością, zwłaszcza z mafijną, zorganizowaną. Bardzo szybko zorientowałem się, że tam nie wystarczy ciężka praca i kompetencje, dlatego że człowiek zderza się z systemem, który jest wadliwy. W prokuraturze, w której robiłem aplikację, trafiłem na przykład na sprawę pewnego pana, który był bardzo wpływowym politykiem w ówczesnej koalicji. Tutaj, w tym gabinecie, zasiadał pan Jaskiernia. I mimo że były twarde dowody, które udało się zebrać w śledztwie, sprawa na polecenie z góry została na moich oczach ukręcona. I ku mojemu wtedy przerażeniu, bo ja wierzyłem wówczas w państwo prawa, myślałem, że takie rzeczy się nie zdarzają. To był pierwszy kubeł zimnej wody, jaki mi wylano na głowę.

Dzisiaj tę sprawę pan wyciągnie?

– Wyciągnę tę sprawę, jeżeli się nie przedawniła, a boję się, że niestety, się przedawniła. Potem zderzyłem się już nie z układem, ale z systemem. W jesienne popołudnie przyszła do prokuratury, w której pracowałem, kobieta z dwójką dzieci. Została zgwałcona przez konkubenta. Kiedy weszła z nim w osobiste relacje, nic o nim nie wiedziała, zaczęła z nim mieszkać, a on okazał się bandziorem, wielokrotnie karanym recydywistą. Właśnie kolejny raz wyszedł z więzienia, przyszedł do niej, wprowadził się na siłę i mówił, że ją zabije. Przyszła z prośbą o pomoc. I ja mówię: oczywiście, policję możemy w każdej chwili wysłać, jego tu wezwać, zatrzymać na 24 godziny, postawić zarzut gróźb karalnych, kara do dwóch lat pozbawienia wolności. Ale ona mówi: proszę pana, to go tylko rozsierdzi, to jest bandyta, to nie pomoże. Rozmawiałem z doświadczonymi kolegami, a oni wszyscy rozkładają ręce, że przy tej polityce karnej, jaka jest, sąd nie zastosuje tymczasowego aresztowania. Jeżeli on, recydywista skazany wcześniej za okrutny gwałt, który powinien być traktowany jako gwałt ze szczególnym okrucieństwem, dostał zaledwie rok, to za groźby karalne nie ma szans go aresztować. A ta kobieta powiedziała, że jeżeli wy chcecie go wyłącznie nastraszyć, policję wezwać, to ja wolę tego nie robić, bo on będzie jeszcze gorszy dla mnie i dla dzieci, i odeszła. Nie mogłem nic zrobić. Taki system. To był czwartek lub piątek, a kiedy w poniedziałek przyjechałem rano do prokuratury, dowiedziałem się, że ciało tej kobiety znaleziono na śmietniku, była skatowana i powiązana linami. Wracałem z prokuratury tego dnia i tę sprawę przeżywałem, ona we mnie siedziała. Widziałem tę kobietę, patrzyła mi w oczy, widziałem te dzieci i wiedziałem, że są skazane na dożywocie bez matki przez bandytę, który był wielokrotnie karany i dla którego państwo było zawsze łagodne.

Dlaczego wtedy nie pomyślał pan o tym, by być sędzią?

– Sędzia też niewiele może, dlatego że sędziemu uchylono by orzeczenie, bo taka była polityka karna, sąd drugiej instancji uchyliłby areszt. Kilka takich uchyleń i sędzia ma jeszcze sprawy dyscyplinarne i problemy. W związku z tym doszedłem do wniosku, że trzeba zmienić system, i temu się poświęciłem.

I tak nie został pan wybitnym prawnikiem.

– I tak zostałem politykiem.

Pański patron Lech Kaczyński, prezydent elekt, chce zmienić rolę prezydenta wobec sędziów, chce być weryfikatorem sędziów. Czy pan go będzie wspierał w tym czyszczeniu składów sędziowskich z ludzi nieodpowiednich?

– Z całą pewnością w Polsce jest problem nieuczciwych sędziów. Nie można go oczywiście generalizować, ale można powiedzieć, że ten problem jest zbyt ostrożnie definiowany przez samo środowisko, które ma tego świadomość. Podpisałem już wiele pism o wszczęcie postępowań dyscyplinarnych wobec konkretnych sędziów i będę wszczynał postępowania wobec tych prezesów sądu, którzy mieli wiedzę na temat przekroczeń i prawa, i etyki zawodu, a nie podejmowali działań – tu będę bardzo surowy. Jestem też zwolennikiem stworzenia czytelnego systemu. Dzisiaj korporacja sama o sobie decyduje, a ja bym chciał wyciągnąć pewne rzeczy poza korporację.

Jakie rzeczy?

– Chciałbym stworzyć niezależny pion oceny sądownictwa i sędziów. W pierwszej instancji zajmowaliby się tym przedstawiciele środowisk prawniczych i orzekali w sprawach dyscyplinarnych,

ZBIGNIEW ZIOBRO, 35 LAT, PRAWNIK, MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI W RZĄDZIE KAZIMIERZA MARCINKIEWICZA. URODZIŁ SIĘ I MIESZKA W KRAKOWIE. Z POLITYKĄ ZETKNĄŁ SIĘ W 1997 ROKU, GDY NA PROŚBĘ AWS OPRACOWAŁ EKSPERTYZĘ PRAWNĄ W SPRAWIE UMORZENIA PRZEZ PROKURATURĘ WOJSKOWĄ POSTĘPOWANIA PRZECIWKO SKAZANEMU W PRL-U NA KARĘ ŚMIERCI AGENTOWI CIA PUŁKOWNIKOWI RYSZARDOWI KUKLIŃSKIEMU. BYŁ JEDNYM Z ZAŁOŻYCIELI KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA KATON, KTÓRE DOPROWADZIŁO MIĘDZY INNYMI DO WYCOFANIA ZE SPRZEDAŻY WYDAWANEGO PRZEZ ŻONĘ JERZEGO URBANA MAŁGORZATĘ DANISZEWSKĄ CZASOPISMA „ZŁY". AMBITNEGO PRAWNIKA ZAUWAŻYŁ MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI LECH KACZYŃSKI I UCZYNIŁ W 2001 ROKU SWOIM ZASTĘPCĄ. WYBRANY Z RAMIENIA PIS NA POSŁA SEJMU IV KADENCJI TRAFIŁ NA CZOŁÓWKI GAZET JAKO ŚLEDCZY W KOMISJI BADAJĄCEJ SPRAWĘ RYWINA. JEGO DOCIEKLIWOŚĆ TAK WYPROWADZIŁA Z RÓWNOWAGI PRZESŁUCHIWANEGO PRZEZ KOMISJĘ PREMIERA MILLERA, ŻE TEN NAZWAŁ GO ZEREM. „ZERO" STAŁO SIĘ BOHATEREM, PRZYCZYNIAJĄC SIĘ DO ZWYCIĘSTWA PIS W WYBORACH. JAKO LOKOMOTYWA WYBORCZA PIS W KRAKOWIE ZIOBRO PRZYSPORZYŁ PARTII REKORDOWE 120 TYSIĘCY GŁOSÓW, A JAKO SZEF SZTABU WYBORCZEGO DOPROWADZIŁ LECHA KACZYŃSKIEGO DO PAŁACU PREZYDENCKIEGO.

na przykład że sędzia układa się co do wyroku albo fałszuje wyrok, albo wchodzi w związki z ludźmi ze świata przestępczego.

To ma być sąd dyscyplinarny?

– To ma być rodzaj sądu dyscyplinarnego działający jawnie, na zewnątrz samej korporacji.

Ale to chyba wymaga zmiany konstytucji, władza sądownicza jest niezależna od innych władz.

– Tu jest spór, który wymaga rozstrzygnięcia. Przygotowaliśmy taki projekt, który moim zdaniem nie narusza konstytucji i jest czytelny dla wszystkich zawodów prawniczych. Bo ten problem nieeliminowania czarnych owiec jest takim samym problemem w adwokaturze, a może jeszcze większym niż wśród sędziów. W Polsce jest spór co do samych korporacji zawodowych, w których dziś jest przewaga interesu egoistycznego w najgorszym znaczeniu nad interesem publicznym. Korporacja ma służyć, wyręczać państwo w załatwianiu pewnych jego spraw. A ona zamiast wyręczać państwo, nierzadko chroni członków korporacji przed państwem i stawia ich ponad nim.

Korporacja sędziów może się przed panem zatrzasnąć po takich zapowiedziach i zbojkotować pańskie reformy. Nie obawia się pan tego?

– Nie do końca się z panem zgadzam. Ponadto jestem otwarty na współpracę z wszystkimi sędziami, którym zależy na uzdrowieniu polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Ma pan dopiero 35 lat, został pan ministrem 11 lat po studiach, w sposób oczywisty nie ma pan u sędziów naturalnego autorytetu wynikającego z wieku i doświadczenia prawniczego, a bez tego atutu może pan nic nie zmienić.

– Ale byli tu tacy ludzie, którzy mieli siłę wieku i doświadczenia oraz sympatię środowiska, które reprezentowali, i co zmienili?

Jak jednak chce ich pan przekonać do tego, żeby z panem współpracowali przy zmianach, które uderzą w bezkarność ich korporacji?

– Po pierwsze, ja naprawdę nie jestem przywiązany do tego stołka.

No, niech pan mi takich głodnych kawałków nie opowiada!

– Nie opowiadam, mówię tylko panu, że ja się nie obawiam i będę forsował odważne zmiany.

A jaki to argument w sprawie zmian w sądownictwie? Że się pan obrazi i odejdzie?

– Nie chodzi o to, że się obrażę. Przyszedłem tu, żeby dokonać zmian, i je przeprowadzę, bo na szczęście jest w Polsce podział władz, nie sędziowie o wszystkim decydują. Są osobną władzą, ale reguły funkcjonowania tej osobnej władzy określa ustawodawca. To po pierwsze. A po drugie, jest wielu sędziów, którzy krytycznie patrzą na to – czasem nawet bardzo – co się dzieje w ich środowisku, spotykam się z nimi i to oni często przygotowują zmiany ustaw. To nie ja, to są ich pomysły, bo oni wiedzą lepiej ode mnie. Jeśli przekonam się do ich słuszności, jako polityk zrobię wszystko, aby mogły zostać wprowadzone w życie. Stworzyłem kilka zespołów sędziów, którzy pracują nad różnymi zagadnieniami reformy sądownictwa. Współpracuję też z Instytutem Wymiaru Sprawiedliwości, gdzie pracują sędziowie krytyczni wobec tego, co jest. Zachęcam pana do lektury niezwykle interesującej analizy polskiego wymiaru sprawiedliwości dokonanej przez Bank Światowy. Spotkałem się z jego przedstawicielem już czwartego dnia mojego urzędowania tutaj i dowiedziałem się, niech pan to sobie wyobrazi, że Bank Światowy od siedmiu lat zabiegał o spotkanie z ministrem sprawiedliwości i żaden z ministrów nie miał dotąd czasu!

Jak to? Nawet minister Lech Kaczyński, pański patron?

– No nie wiem, może wtedy akurat o to nie zabiegali.

Nie jest pan za młody na ministra?

– Skoro tutaj jestem, to pewnie nie.

Może przypadek pana tu przyniósł?

– Pan zna mój życiorys polityczny i wie, że przypadek to nie był. Czy pan nie przesadza ze złośliwością?

Ja pana nie atakuję, z ciekawości pytam: Czy myśli pan, że już dorósł na tyle, żeby być ministrem, i to jeszcze sprawiedliwości?

– Równie dobrze mógłby pan zadać pytanie, czy kilku premierów Europy, którzy są młodsi ode mnie, dorosło do tego, żeby stać na czele rządu. Mamy takie sytuacje na Słowacji, gdzie minister sprawiedliwości, a zarazem wicepremier jest młodszy ode mnie, czy w Estonii. Mieliśmy nie tak dawno na Węgrzech, w Czechach czy choćby w Polsce. Pawlak, będąc premierem, był ode mnie o dwa lata młodszy.

Ten w Czechach źle skończył, niech pan się na niego nie powołuje. Czyli uważa pan, że dorósł do takiej odpowiedzialności?

– To, że trafiłem do polityki dla wymiaru sprawiedliwości, że temu bardzo wiele poświęciłem, odbyło się jakimś kosztem. Kosztem mojego życia prywatnego, moich pragnień, pasji.

Prasa donosi, że ma pan bardzo apetyczną narzeczoną, więc nie przesadzajmy z tym umartwianiem się.

– Gdyby wszystko, co pisze prasa, było prawdą, byłbym bardzo szczęśliwym człowiekiem.

Nie ma narzeczonej?

– Panie redaktorze, mam w ogóle taki zwyczaj oszczędnego informowania o życiu prywatnym i tego zwyczaju będę się trzymał.

Panie ministrze, zaostrzenie polityki karnej na pewno zwiększy liczbę skazanych na karę bezwzględnego więzienia. Czy pański rząd już ma pieniądze na nowe więzienia, na rozbudowywanie starych?

– Rząd nie ma pieniędzy na to, żeby ponosić koszty przestępstw, koszty grasowania na wolności groźnych przestępców. Coraz bardziej jest popularne ekonomiczne podejście do prawa. Wprowadza się analizę ekonomiczną w sferze stosowania prawa, w tym polityki karnej. Poza tym media pisały na przykład o aferze Koloseum, tam tolerancja dla działań przestępczych kosztowała budżet państwa wedle szacunku prokuratury około 420 milionów złotych, a budżet więziennictwa jest tylko cztery razy większy, a to jedna tylko afera.

Niemniej niech mi pan odpowie, czy minister finansów już nowelizuje ustawę budżetową, żeby znaleźć pieniądze na więzienia?

– Już wysłaliśmy poprawkę i są pieniądze przeznaczone na budowę więzień. W tym roku oddano dodatkowo 1600 miejsc, a w przyszłym planuję cztery tysiące, w następnych latach jeszcze więcej. To się państwu opłaci, a przede wszystkim opłaci się to społeczeństwu, ludzie będą mogli się czuć bardziej bezpieczni.

To co możemy powiedzieć tym, którzy dzisiaj bezskutecznie czekają na swoje miejsce w więzieniu, bo mają prawomocne wyroki, a nie ma miejsc?

– Że miejsce się znajdzie, choćby dlatego, że nie będą trafiali tam ludzie, którzy przekraczali granice obrony koniecznej.

To jest tylko kilkanaście miejsc w całym kraju.

– Miejsca się znajdą, a poza tym sytuacja tych, którzy nie są jeszcze w zakładzie karnym, jest dalece inna od tego, co słyszę w mediach. Ogromna rzesza to ludzie, którzy mają z różnych powodów odroczenia bądź przerwy, choćby tak jak jeszcze niedawno Rywin z przyczyn zdrowotnych. Do tego dochodzą ci, którzy się ukrywają. Więc to nie jest tak, że wszyscy stoją w kolejce i czekają na miejsce w więzieniu. Oczywiście jest pewne niebezpieczeństwo w tym, co pan mówi, i dlatego chciałbym zmienić politykę karną. Może trochę pana zaskoczę.

Czym?

– Chcę, aby sprawców poważnych przestępstw, zdemoralizowanych, izolować na długie lata.

To już było w PRL-u, dla recydywy były specjalne, większe kary.

– Ale tak jest w wielu krajach świata!

Czyli recydywa ma siedzieć.

– Tak, zdemoralizowanych, niebezpiecznych izolować. Natomiast na przykład dla chuliganów, którzy rozrabiają i są bezkarni, chcę wprowadzić sądy 24-godzinne, które bardzo szybko by ich osądzały. Taki chuligan szedłby, dajmy na to, na dwa tygodnie do aresztu po to, żeby to był dla niego jakiś szok, żeby już nie chciał więcej tam wrócić.

Dla chuliganów, którzy rozrabiają i są bezkarni, chcę wprowadzić sądy 24--godzinne, które bardzo szybko by ich osądzały. Taki chuligan szedłby, dajmy na to, na dwa tygodnie do aresztu po to, żeby to był dla niego jakiś szok, żeby już nie chciał więcej tam wrócić

Czy panu jako ministrowi sprawiedliwości przeszkadza, że nie ma koalicji z PO? Czy może PO nie było w sprawiedliwości do niczego potrzebne?

– Wolałbym, aby rząd miał większe zaplecze parlamentarne, bo nie chciałbym ograniczać swoich działań do tego resortu, ale chciałbym również przeprowadzać ważne ustawy przez Sejm.

Czyli byli panu potrzebni w Sejmie, a nie w resorcie?

– Liczyłem na dobrą współpracę i w rządzie, i w parlamencie. Nie można dokonać zasadniczych zmian, opierając się wyłącznie na kompetencjach ministra sprawiedliwości. Wymiar sprawiedliwości działa na podstawie prawa, a dobre prawo można uchwalać w parlamencie.

Jest pan prawnikiem, ministrem sprawiedliwości, nie wstydzi się pan za skład nowo powołanego Trybunału Stanu, między innymi za adwokatów Leppera i Samoobrony – pana Dzidę i panią Żarską – czy Jana Marię Jackowskiego, nieznanego jako wybitny prawnik. Czy ten skład nie ośmiesza Trybunału Stanu?

– To są już prawa demokracji.

Prawem demokracji jest się kompromitować, panie ministrze?

– Niektóre mechanizmy demokratyczne pozwalają na wybór przedstawicieli, którzy nie zawsze są najwybitniejszymi jednostkami. Pan ma prawo do surowych ocen. Ja jestem w innej roli i jako minister sprawiedliwości chcę obdarzyć kredytem zaufania nowo wybranych sędziów, licząc na ich rzetelną pracę.

PiS jest największym klubem parlamentarnym i mogliście zablokować ten rodzaj powoływania Trybunału Stanu.

– Czy pan sądzi, że nawet największy klub może realizować tylko swoje własne pomysły? Polityka to poszukiwanie jakiegoś kompromisu.

I tym kompromisem doprowadziliście do tego, że ja się muszę wstydzić za swój Trybunał Stanu.

– Nie mogliśmy nic zablokować. W przeciwnym razie Trybunał w ogóle nie zostałby powołany. Dobrze wiedzieli o tym również posłowie innych klubów, w tym PO, którzy ten Trybunał też wybrali. Dopóki ustawa nie będzie zmieniona i nie wprowadzi się tam dodatkowych restrykcji, które będą określać przymioty tych, którzy będą do tego ciała wybierani, dopóty będziemy mieli efekt pewnego politycznego porozumienia.

Zdaniem ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry Andrzej Lepper to przestępca?

– Nie znam dokładnie jego przeszłości.

Ma prawomocne wyroki.

– To sąd określa, kto kim jest, i w świetle tych wyroków...

A co uważa minister sprawiedliwości?

– Wedle wyroku sądowego każdy może sobie własne zdanie wyrobić.

A pańskie zdanie, jakie jest?

– Proszę pana, ja zawsze szanuję wyroki sądu. Jeżeli wobec mnie zapadnie wyrok, to wyrok sądu będę szanował, chociaż oczywiście mogę się czasami z nim nie zgadzać. Natomiast Andrzej Lepper, abstrahując od jego ocen sądowych, jego rozmaitych zachowań, jest naprawdę nietuzinkowym, inteligentnym politycznym graczem. Dzisiaj, słuchając jego wystąpienia...

A czy przy okazji też przestępcą?

– Daję panu słowo honoru, w tym momencie nie znam finałów wielu spraw, które się w jego sprawach toczyły. Słyszałem tylko o doniesieniach medialnych. Pan mówi, że ja mam przesądzić, a okaże się, że nie ma wyroku prawomocnego i będzie kłopot.

A gdyby miał wyrok prawomocny, to uznałby pan go za przestępcę?

– Każdy, kto ma skazujący wyrok prawomocny, w świetle prawa jest przestępcą, czy mnie się to podoba, czy nie. Nie zmienia to faktu, że przestępca przestępcy nierówny. A i sądy nie zawsze są wolne od błędów, bo sędziami też są tylko ludzie.

Rozmawiał Piotr Najsztub
Warszawa, 10 listopada 2005 r.

KRZYSZTOF BOSAK
Cień Romana

Młodzież Wszechpolska (organizacja niemająca nic wspólnego z Ligą Polskich Rodzin) na specjalnym zjeździe wybrała przewodniczącego i zmieniła radę naczelną. Nowym przewodniczącym został Krzysztof Bosak (poseł Ligi Polskich Rodzin, prywatnie student SGH). Świeżo wybrany Bosak przypomniał, że „MW zawsze odcina się od zachowań sprzecznych z nauką katolicką i ideą narodową”. Prawdopodobnie to w myśl tej idei jeszcze parę lat temu biegał z baseballem po demonstracjach i wołał: „Bić pedałów!”. Teraz wykorzystał aferę z ujawnionymi w mediach zdjęciami wszechpolaków trzymających ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, aby pod pretekstem usuwania faszystów pozbyć się z organizacji członków nieidących ślepo za Romanem Giertychem. – Czołobitny do bólu – ocenia Bosaka jeden z byłych członków MW. – Jego wybór to znak, że nagrody i awanse dostaje się za tępą lojalność wobec Giertycha, który na bazie naszej organizacji buduje sobie gwardię bezmyślnych bezmózgów. Szkoda – martwi się anonimowy, sfrustrowany Bosakiem wszechpolak. (CZUK)

Fot. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



Fot. TOMASZ PACZOS/FORUM

JOANNA KLUZIK-ROSTKOWSKA
Zdegradowana przez Radio Maryja

Joanna Kluzik-Rostkowska nie zdążyła objąć stanowiska pełnomocnika do spraw kobiet i rodziny w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, bo naraziła się Radiu Maryja. Rozgłośnia ojca Tadeusza Rydzyka wytknęła jej, że popiera walkę z niepłodnością poprzez stosowanie sztucznego zapłodnienia. Zarzut, który podchwyciły także telewizja Trwam i „Nasz Dziennik”, brzmiał: metoda in vitro jest niezgodna z nauką Kościoła. Pani pełnomocnik odpierała atak, tłumacząc, że opowiada się za nową metodą sztucznego zapłodnienia, która nie wiąże się z niszczeniem zarodków.

Kluzik-Rostkowska pracowała wcześniej w biurze prasowym warszawskiego ratusza, dokąd trafiła z „Przyjaciółki”, gdzie była zastępczynią redaktor naczelnej.

Po uwagach Radia Maryja premier wahał się jeden dzień. Po czym oświadczył, że jego rząd będzie realizował politykę pro-rodzinną, ale już bez pełnomocnika. Jego obowiązki przejmie podsekretarz stanu w ministerstwie pracy. Kandydatką na to – niższe rangą – stanowisko jest... Kluzik-Rostkowska. (GREG)

BRUCE WILLIS
Znów nas uratuje

Aktor uwierzył, iż los świata spoczywa w jego rękach, i wyzwał na pojedynek terrorystów z Al-Kaidy. W amerykańskim telewizyjnym show „Rita Cosby: Life and Direct” oświadczył, że wyznacza milion dolarów nagrody dla osoby, która poinformuje o miejscu pobytu terrorystów Osamy ben Ladena, Aymena Al-Zawahiriego i Abu Musaba Al-Zarkawiego. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego te wszystkie dobre rzeczy, które nasi chłopcy robią w Iraku, nie są relacjonowane przez media? – ubolewał przy okazji. Tym samym wczuł się ostatecznie w odtwarzanych przez siebie niezłomnych superbohaterów, którzy ratują: a. miasto przed gangsterami („Ostatni sprawiedliwy”), b. uwięzionych w wieżowcu zakładników („Szklana pułapka”), c. ziemię przed zagładą („Armageddon”). Willis pozostaje jednak samotny w swoich patriotycznych gestach – większość hollywoodzkich gwiazd protestuje przeciwko obecności Amerykanów w Iraku. Po ostatnich deklaracjach Bruce z niezniszczalnego może stać się w Hollywood osaczonym. (KP)



Fot. EAST NEWS

ANDRZEJ CHRONOWSKI
Senator do kantoru



Fot. GRZEGORZ KRUCZKOWSKI/REPORTER

Były minister skarbu, ostatnio etatowy senator, po przegranych wyborach do wyższej izby parlamentu otworzył w centrum rodzinnego Nowego Sącza kantor wymiany walut. Kantor nazywa się Szach, od pierwszych liter nazwisk Chronowskiego i jego wspólnika. – Ludzie z południa Polski emigrują za pracą, potrzebują więc obcej waluty – tak były minister tłumaczy źródło pomysłu na kantorowy biznes. Ma większe ambicje. Jako wykształcony biegły rewident chce zająć się działalnością doradczą i napisać doktorat. Andrzej Chronowski zasiadał w Senacie od 1993 roku, w rządzie Jerzego Buzka był ministrem skarbu (2000–2001). Zasłynął z nagrywania dla Centralnego Biura Śledczego rozmów w sprawie prywatyzacji PZU. Gdy ich stenogramy ujrzały światło dzienne, Chronowski oburzał się na podsłuchiwanie go przez służby specjalne. Prawdę ujawniła dopiero prokuratura. (GREG)

GERHARD SCHRÖDER
Kanclerz do kancelarii



Fot. MARKUS SCHREIBER/AP

Szef OECD? Sekretarz ONZ? Nic z tych rzeczy. Gerhard Schröder nie obejmie żadnej międzynarodowej posady, pogardził nawet mandatem do Bundestagu. Po 15 latach czynnej polityki zakłada własną kancelarię prawniczą w Berlinie. Prawnik z niego marny (studia zaoczne po trzydziestce, dwa lata praktyki w zawodzie), ale znajomości byłego kanclerza wystarczą, by zapewnić mu dopływ lukratywnych zleceń. Może też liczyć na biznes – Schröder jest w końcu jedynym na świecie socjaldemokratą, który dorobił się przezwiska „przyjaciel bossów”. Jeszcze lepiej wybrał były minister spraw zagranicznych w ustępującym rządzie Niemiec: Joschka Fischer wycofał się z życia publicznego i trzy tygodnie temu wziął ślub. Piątą małżonką Fischera została jego 29-letnia towarzyszka Minu Barati. (RW)

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

Skansen?

W poszukiwaniu spoiwa łączącego wszystkich Polaków Kaczyński będzie chciał połączyć kult Jana Pawła II z kultem Naczelnika i stworzyć urzędowo obowiązujące formy patriotyzmu narodowo-katolickiego opartego na bałwochwalstwie

Zdaje się, że dopiero teraz, wraz ze zwycięstwem braci Kaczyńskich, wracamy w krainę mojego dzieciństwa. Kiedy umarł Józef Piłsudski, siedziałem w drugiej ławce pierwszej klasy szkoły powszechnej. Śmierć Marszałka była naszym pierwszym wspólnotowym szokiem politycznym, a co za tym poszło (na Górnym Śląsku), przebudzeniem patriotyzmu ogólnopolskiego, bo dotąd żyliśmy w kulcie Wojciecha Korfantego. Płakaliśmy po Dziadku, jak płacze się po kimś najbliższym – cała klasa płakała, wszystkie klasy płakały, cała szkoła płakała. Potem my, dzieci na Górnym Śląsku, z wybuchem wojny płakaliśmy jeszcze bardziej, bo zabrano nam polską szkołę wraz z dziecięcym mitem Marszałka. Znów trzeba było wracać, jak pokolenia starsze, do szkoły niemieckiej.

Moi dziadkowie wychowywani byli w obowiązkowej miłości do Bismarcka, rodziców pojono miłością do cesarza Wilhelma II, a potem – po 18 latach II RP – kazano kochać Adolfa Hitlera, by za parę lat przymuszać nas do wielbienia Józefa Stalina. A kiedy i on umarł, też go w Polsce – nie tylko urzędowo – opłakiwano. Poeci pisali traumatyczne wiersze, kompozytorzy tworzyli żałobne kantaty, a malarze pacykowali świetliste obrazy. Jeszcze sto lat temu każde państwo o aspiracjach imperialnych i narodowościowych miało swoich cesarzy, carów, a potem wodzów, przywódców narodu i dyktatorów. I wszystko to razem nie najlepiej się skończyło. Europejski obłęd ideologii i nacjonalistycznych satrapów wyraża się cyframi śmierci istnień ludzkich tak niebotycznymi, że aż wstyd je wymieniać.

Polska dawno nie miała swojego państwa ani swojego króla, ale z odzyskaniem niepodległości dorobiła się swojego Naczelnika. Józef Piłsudski wskrzesił Polskę, ale wsławił się także likwidacją demokracji parlamentarnej (83 byłych posłów i senatorów zapeklował w więzieniu) i wprowadzeniem rządów autorytarnych. A mimo to, gdy tylko umarł, stał się postacią kultową, z czasem coraz bardziej wyidealizowaną, zaś dla prezydentów III RP wzorem do naśladowania w ich tęsknocie trzymania władzy w jednym ręku i chęci uszczęśliwiania obywateli na siłę. Kochał go Lech Wałęsa i lubił się fotografować w sąsiedztwie spiżowego popiersia Marszałka. Przez pewien czas nęciły go także jego wąsy.

Teraz przyszła kolej na Jarosława Kaczyńskiego. On utożsamia się z Piłsudskim znacznie głębiej; nie odwołuje się do atrybutów zewnętrznych Marszałka, takich jak wąsy, szabla, Kasztanka czy Sulejówek – on będzie odtwarzał ideologię państwa narodowego, autorytarną władzę i majestat kultu Marszałka. A także sanację pod hasłami IV RP. To będzie rekonstrukcja przedwojennego scenariusza powstawania obozu sanacyjnego. Należałoby się mu dobrze przyjrzeć i sprawdzić, czy cichcem nie remontuje się twierdzy w Modlinie.

W poszukiwaniu spoiwa łączącego wszystkich Polaków Kaczyński będzie chciał połączyć kult Jana Pawła II z kultem Naczelnika i stworzyć urzędowo obowiązujące formy patriotyzmu narodowo-katolickiego opartego na bałwochwalstwie. Minister kultury ogłosił już projekt obowiązkowego nauczania takiego patriotyzmu w systemie edukacji. Powstanie nowa obrzędowość świąt patriotycznych, teatralnie rozbudowana; znów wróci przymusowa moda na akademie, pełne radości pochody i potańcówki o zmierzchu na wszystkich placach miast i wsi.

Powstaje jednak pytanie, czy nie będzie to przysłowiowe zawracanie Wisły kijem? Czy budowanie dziś w środku pokojowej i zjednoczonej Europy państwa narodowego nie jest zwyczajnym anachronizmem? Czy aby nie wystrychniemy się na dudka? Przecież cała ta nasza martyrologiczna mitologia narodowa jest towarem przeterminowanym.

Czy Polska nie wybija się na historyczny skansen Europy?

www.przekroj.pl/kutz



Rys. MAREK RACZKOWSKI



Co to będzie!? Co to będzie!? Głupio było, głupio będzie

Co jest w Polsce najniebezpieczniejszym zajęciem u schyłku 2005 roku? Siedzenie przy stoliku brydżowym wewnątrz czworokąta bermudzkiego. Jakie to proste! I jak ta definicja ułatwi zadanie niezmiennie porażonemu Zbigniewowi Wassermannowi, który od razu może wysyłać oficerów służb specjalnych na poszukiwania tego niecodziennego widoku. To wynika z exposé premiera (chce rozerwać ten czworokąt bermudzki ludzi służb, polityki, biznesu i mafii) i exposé Jarosława Kaczyńskiego (trzeba przewrócić ten stolik brydżowy, przy którym politycy, oficerowie, biznesmeni i gangsterzy handlują Polską). Ale nie ma się co zbyt długo naśmiewać z retoryki zwycięzców, tym bardziej że używając jej, zwyciężyli, i czas zająć się przyszłością.

A przyszłość to Andrzej Lepper jako wicepremier bez teki odpowiedzialny za dyscyplinę głosującej za pomysłami rządu Samoobrony i kilku wiceministrów z tego ugrupowania odpowiedzialnych za pilnowanie PiS-owskich ministrów, czy przed wiosennymi pracami polowymi wprowadzą paliwo rolnicze i inne udogodnienia dla wyborców Samoobrony. Z czasem odpowiedzialność Leppera może się rozszerzyć na nieudolność rządu. Ale na to on już nie pozwoli i wtedy jego wiceministrowie i on sam zasypią nas dokumentami świadczącymi o „zbrodniczej" działalności swojego koalicjanta. I będzie nas usilnie przekonywał, że jego wicepremierowanie to był wallenrodyzm. Udany na dodatek, bo przejrzał zamiary wroga i go zdemaskował.

I rząd poda się do dymisji, a Lepper nie i powstanie nowa koalicja Samoobrony, LPR i PSL i nowy rząd mniejszościowy, w którym wicepremierem bez teki będzie Roman Giertych, a premier Lepper okaże się po kilku miesiącach zdrajcą interesów narodowych. I na tym się moja wyobraźnia czy raczej złośliwość kończy.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI



–NAZYWAM SIĘ MAJOR BIEŃ
I MAM STOPIEŃ MAJORA.
TERAZ JESTEŚCIE W POLICJI.
A NIE W UBECJI.

© MARCIN MACIEJOWSKI



Fot.: MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

Kant w Internecie

Stolicą świata będzie w tym tygodniu Tunis. Do Tunezji zjadą przedstawiciele wszystkich państw świata, by dyskutować o tym, kto ma prawo rządzić Internetem. Dziś zarządzają nim USA, bo to one go zbudowały. Na Szczycie Społeczeństwa Informacyjnego reszta świata zażąda od Waszyngtonu, by oddał ONZ władzę nad Internetem.

Sprawa nie dotyczy tylko maniaków informatyki. Ekonomista i myśliciel Jeremy Rifkin twierdzi, że globalna gospodarka zaczyna przechodzić z modelu rynkowego na sieciowy – dzięki rozwojowi komunikacji już niebawem handel przestanie polegać na odrębnych transakcjach i zmieni się w ciągłą więź między sprzedającymi a kupującymi. Sieciowa może stać się także demokracja – zamiast tylko wybierać raz na kilka lat przedstawicieli, obywatele będą uczestniczyć w konkretnych decyzjach. Sieć jest już nie tylko narzędziem komunikacji, ale zaczyna kształtować nową, globalną rzeczywistość, która staje się od niej całkowicie zależna.

WWW jest jak dotąd jedyną prawdziwie globalną siecią. Zarządza nią spółka ICANN w Kalifornii podlegająca amerykańskiemu Departamentowi Handlu. Dziś ICANN decyduje o budowie adresów internetowych i pilnuje najważniejszych serwerów, ale w sieciowej przyszłości będzie mieć co najmniej teoretyczną kontrolę nad światem. Teoretyczną, bo struktura Internetu wyklucza możliwość jego wyłączenia lub manipulowania nim na wielką skalę. Faktyczną o tyle, że zarządca Internetu może kontrolować przepływające przez sieć informacje. A informacja będzie podstawą gospodarki przyszłości.

O wadze sporu świadczą najlepiej emocje, jakie wywołuje. Te same kraje, które dwa miesiące temu machnęły ręką na reformę ONZ, o kontrolę nad ICANN zamierzają się bić do ostatniej kropli krwi. Nie wszystkim zależy na światowym pokoju, ale nie ma państwa, któremu obojętne byłoby działanie Internetu. Tylko czy siecią, od której zależy przyszłość, powinna zarządzać ONZ, która nie umie zarządzać nawet sama sobą? Na krótką metę na pewno sensowniej pozostawić Internet pod opieką Amerykanów.

Awantura o ICANN jest jednak czymś więcej niż sporem o władzę. Pokazuje, że globalizacja przerasta istniejące instytucje, idee państwa i współpracy międzyrządowej. Ludzkość wymyśliła coś, czym nie potrafi wspólnie zarządzać. Dziś wiadomo jedno: jeśli kiedykolwiek powstanie rząd światowy, o czym myślał kiedyś Immanuel Kant, to w pierwszym rzędzie po to, by zarządzać Internetem.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Teatr z dostawą do domu

Dzięki stołecznemu Teatrowi Rozmaitości możemy zamówić do domu lub do firmy już nie tylko klauna, ale i przedstawienie teatralne. Spektakl nosi tytuł „Mleko", a organizatorzy wypowiadają się o nim dość enigmatycznie. Każde wykonanie ma być nieco inne, ma zaskoczyć widza, a aktorzy będą improwizować. – Spektakl jest ofertą, którą widz z góry kupuje lub nie. To tak, jakby zamawiał prostytutkę – wyjaśnia reżyser Rafał Betlejewski. Oprócz samego reżysera w sztuce zagrają aktorzy Teatru Rozmaitości: Jan Drawnel, Eryk Lubos, Rafał Maćkowiak, Agnieszka Podsiadlik, Tomasz Tyndyk. Pomysł cieszy się zainteresowaniem, ale są jeszcze wolne terminy. Zamówienie przedstawienia jest łatwe jak kupno tytułowego mleka – wystarczy udać się do biura obsługi widzów w TR Warszawa, zadzwonić (0-22 629 45 54) lub wysłać maila (bow@rozmaitosci.pl). Tylko koszt jest wyższy niż zwykle w teatrze: od 500 do 1500 złotych, zależnie od liczby widzów.


Za „Mleko" dostarczone do domu trzeba zapłacić od 500 do 1500 złotych
Fot. MARTA ORLIK-GAILLARD

Wyszedł z cienia

Eustachy Rylski, prozaik, poeta i dramaturg, został laureatem Nagrody Literackiej imienia Józefa Mackiewicza za powieść „Człowiek w cieniu". Nagroda, wręczana tradycyjnie 11 listopada, została ustanowiona w roku 2000 i przyznawana jest za walory literackie oraz kulturową, społeczną lub polityczną wartość podejmowanej tematyki. Na liście nominowanych w tym roku znaleźli się między innymi: Waldemar Łysiak, Bronisław Wildstein i Rafał Wojasiński, a Rylskiego uhonorowało jury pod przewodnictwem Marka Nowakowskiego. MAL


Minister spraw zagranicznych Stefan Meller próbuje ratować polskich eksporterów
Fot. SERGEI CHIRIKOV/EPA-PAP/FORUM

WOJNA POLSKO-RUSKA O GRUSZKI

OD ILU PRZYPADKÓW FAŁSZERSTWO NABIERA CHARAKTERU MASOWEGO? ZDANIEM ROSJAN OD 11

Tydzień po wprowadzeniu embarga na mięso z Polski Rosjanie zakazali importu naszych produktów pochodzenia roślinnego. – To nie mięso, ale właśnie jabłka, gruszki czy kwiaty były ostatnio naszym hitem eksportowym. W tym sezonie odnotowaliśmy 20-procentowy wzrost eksportu tych owoców, a jego wartość wyniosła ponad 48 milionów euro – narzeka podsekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa Lech Różański, który stanął na czele Międzyresortowego Zespołu do spraw Stosunków Handlowych z Federacją Rosyjską. Zespół ma między innymi nadzorować śledztwa w sprawie fałszowania certyfikatów weterynaryjnych. Przypadków takich było tylko 11 (polskie firmy eksportowały do Rosji jako własne na przykład amerykańskie mięso, które nie spełniało rygorystycznych rosyjskich standardów), lecz Rosjanie uznali, że „fałszerstwa nabrały charakteru masowego", i wydali zakaz.

Minister spraw zagranicznych Stefan Meller ma nadzieję, że „chodzi tu raczej o zepsute mięso niż o zepsutą politykę". Na poniedziałkowym spotkaniu z Mellerem Siergiej Ławrow podkreślał, że „zakaz jest tymczasowy". Termin jego zniesienia zależy od wyniku rozmów ekspertów ministerstw rolnictwa i służb weterynaryjnych obu krajów, które wkrótce się rozpoczną. Z danych Ministerstwa Rolnictwa wynika, że od stycznia do sierpnia wartość eksportu towarów rolno-spożywczych do Rosji wyniosła 346 milionów euro. Resort nie jest w stanie oszacować strat, jakie ponieśliby polscy producenci, gdyby zakaz nie został szybko zniesiony. AJ

(CZYTAJ TEŻ – S. 31)

PODRABIANE MOHERY


Fot. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AG

TO NIE MOHER, ALE JEGO PODRÓBKA KRÓLUJE NA GŁOWACH SŁUCHACZEK RADIA MARYJA

Nie wszystko moher, co ma wystające nitki – można powiedzieć, parafrazując przysłowie. – Prawdziwy moher to towar drogi i luksusowy. Można go poznać po składzie, w którym oprócz włókna akrylowego musi być duża domieszka wełny z kóz angorskich – tłumaczy proszący o anonimowość producent z branży przędz fantazyjnych. Znaczna część towaru, która sprzedawana jest jako moher, moherem jest tylko z wyglądu. – To nić syntetyczna z domieszką wełny, w odpowiedni sposób drapana, co daje efekt moheru – dodaje producent. Podstawową zaletą tego towaru jest cena i doznania dotykowe. – Prawdziwy moher strasznie gryzie – tłumaczy sprzedawczyni z warszawskiej pasmanterii przy ulicy Dickensa. Za 10-dekagramowy motek oryginału należy zapłacić 18 złotych, za drapaną przędzę – 6,80 złotego.

Producenci moheropodobnych przędz z szumu wokół moheru jakoś się nie cieszą. – Jak papież powiedział o kremówkach, to był odzew. Ale nam reklamę robią politycy, co dobrze nie wróży – martwi się jeden z nich. JULL

NOWY NOWY DZIEŃ

No i nadszedł. „Nowy Dzień" wydawany przez Agorę wyglądem przypomina „Metro", tematyką aspiruje do „Wyborczej", a ceną i popularnością do „Faktu" (1 złoty, nakład 812 tysięcy egzemplarzy), który chce zdetronizować. – Czytelnik „Nowego Dnia" to osoba ciekawa świata pomiędzy 25. a 50. rokiem życia, o dochodach powyżej 1,5 tysiąca złotych na osobę – wylicza Jerzy B. Wójcik, redaktor naczelny. Liczy na to, że takich czytelników znajdzie się około miliona. „Nowy Dzień" to dziennik do czytania na szybko. Nie bardzo wprawdzie rozumiemy, co w dziale „Wydarzenia" robi artykuł „Zbadaj, ile masz naprawdę lat", ale przypuszczamy, że nie zmieścił się w dziale „Ciało i Dusza". Spośród tabloidów „Nowy Dzień" jednym wyróżnia się na pewno – to rzeczywiście „dziennik pełen życia". W pierwszym numerze nie znaleźliśmy ani jednego trupa. MIL

HIPERBLEF

NOWA USTAWA O HIPERMARKETACH – JEŚLI POWSTANIE – MA BYĆ ŁAGODNIEJSZA OD PROJEKTU PiS Z POPRZEDNIEJ KADENCJI



Protest przeciwko otwieraniu hipermarketu w dniu święta narodowego 11 listopada
Fot. PAWEŁ KULA/PAP

Mówiąc, że hipermarkety „nie są potrzebne Polsce", minister finansów Teresa Lubińska zasugerowała, że ma w zanadrzu oręż do walki z wrogiem. Jednak ten oręż – ustawa o „wielkopowierzchniowych obiektach handlowych" utrudniająca otwieranie nowych sklepów o powierzchni przekraczającej 300 metrów kwadratowych – na razie nie istnieje.

– Na spotkaniu z naszym klubem premier Marcinkiewicz zapowiedział, że ta ustawa nie znajdzie się w pierwszym pakiecie, który rząd skieruje do Sejmu – przyznaje poseł PiS Artur Zawisza, który zajmował się hipermarketami w poprzedniej kadencji. Jego zdaniem ustawa może trafić do Sejmu w połowie przyszłego roku.

Zwłoka wynika również z tego, że projektu jeszcze nie ma. Jeśli powstanie, będzie go firmował minister gospodarki, który na razie na ten temat w przeciwieństwie do minister Lubińskiej się nie wypowiada. Jak się dowiedzieliśmy, w ministerstwie prace nad ustawą dotąd nie ruszyły. Na razie wiadomo, że w porównaniu z PiS-owskim projektem z poprzedniej kadencji nowe prawo ma być łagodniejsze. Na przykład nie nałoży dodatkowych podatków od powierzchni marketów.

Według opublikowanego w tym roku raportu Ministerstwa Gospodarki w Polsce jest pięć tysięcy sklepów wielkopowierzchniowych, które mają 27-procentowy udział w rynku. RAF

UWAGA, IDZIE BAŁAGAN



DO WPROWADZENIA KARTY UBEZPIECZENIOWEJ NFZ SZYKOWAŁ SIĘ PÓŁTORA ROKU. I TAK NIE ZDĄŻYŁ

A skąd ja mam wiedzieć, kiedy będą wydawane te karty, jak nie mamy sprzętu ani wytycznych? – denerwuje się urzędniczka z małopolskiego Narodowego Funduszu Zdrowia, kiedy pytam, co ma zrobić ktoś, kto na przełomie grudnia i stycznia wybiera się za granicę. Od 1 stycznia 2006 roku formularz E-111 uprawniający do darmowego leczenia w UE traci ważność. Ma go zastąpić Europejska Karta Ubezpieczenia Zdrowotnego. Żaden z oddziałów NFZ nie jest jeszcze gotowy do jej wydawania. – Przetargi na wypożyczenie sprzętu do drukowania na kartach już mamy zakończone, producent kart jest wyłoniony. Teraz tylko trzeba sprzęt rozdysponować do oddziałów terenowych, przeszkolić personel i wszystko będzie grało – zapewnia Aneta Styrnik z centrali NFZ. Ale w całym NFZ nie ma ani jednej osoby, która odważyłaby się podać jakąkolwiek datę. – Gdyby był poślizg, to karty będziemy wysyłać za granicę pocztą – uspokaja Aneta Styrnik. Zapowiada się bałagan na gigantyczną skalę, tak jak było na początku wydawania druków E-111. JULL

Cała prawda o bliźniakach

W jakim stopniu geny mogą wpływać na kształtowanie się poglądów politycznych i obyczajów? Pionierskie badania nad tym zagadnieniem przeprowadzili Polacy – profesor Włodzimierz Oniszczenko z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz profesor Urszula Jakubowska ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Aby odróżnić wpływ środowiska od uwarunkowań genetycznych, badano 242 pary bliźniąt jedno- i dwujajowych.

Okazało się, że geny mogą mieć znaczenie szczególnie dla postaw dotyczących obyczajowości – na przykład konserwatyzmu i liberalizmu. Szacuje się, że wpływ genów sięga tu 28 procent, a znaczenie wspólnego wychowania – 37 procent. Reszta jest efektem specyficznych dla każdego doświadczeń środowiskowych – wpływu innych ludzi, mediów, wykształcenia.

Badania pokazały też, że postawy dotyczące gospodarki (na przykład wpływu na nią państwa) uwarunkowane są wyłącznie środowiskowo. Na równi liczy się tu wychowanie i własne doświadczenia.

Naukowcy podkreślają, że ich badania w żadnej mierze nie wskazują na istnienie jakichkolwiek genów powiązanych z postawami politycznymi. Ani cechy osobowości, ani poglądy polityczne nie są zapisane w genach. To, że niektóre postawy wydają się dziedziczne, wynika z pewnych skłonności, które mogą zostać wzmocnione lub osłabione przez wpływ wychowania i środowiska poza domem. PSTAN

Trzeba będzie trochę poczekać na IV RP, bo najpierw Kaczyńscy muszą wytłuc Leppera z Giertychem i przejąć ich elektorat. III RP idealnie się do tego nadaje. W IV już by to braciom nie uchodziło

WOJCIECH MAZOWIECKI

NIE BĘDZIE pochwalony



Premier Marcinkiewicz modli się do kamer i aparatów fotograficznych przed otrzymaniem nominacji od prezydenta

Fot. MICHAŁ ROZBICKI/SE/EAST NEWS

Kazimierz Marcinkiewicz lubi się odwoływać publicznie do pomocy Bożej. 10 listopada rano, przed rozpoczęciem obrad Sejmu nad wotum zaufania, rząd udał się z wizytą do parlamentarnej kaplicy. W taki sposób, by nie przeoczyli tego dziennikarze. Podobnie było 31 października, tyle że w innym kościele, przed wręczeniem nominacji ministrom i premierowi przez prezydenta. I właściwie te zabiegi są bardzo słuszne, bo rządowi w dzisiejszej sytuacji potrzeba dużo modlitwy. Tylko po co tak ostentacyjnie?

Kilkunastogodzinny maraton sejmowy zakończył się zatwierdzeniem nowego gabinetu. Za głosowały PiS, Samoobrona i LPR, do zwycięzców dołączyło też PSL i pięciu posłów niezależnych. Nazwanie trzech pierwszych partii koalicją moherową wzbudziło od razu duże emocje. Ich przedstawiciele odżegnywali się nie tylko od przymiotnika, ale w ogóle od pomysłu, że można ich uznać za koalicjantów.

Jednak po wyjściu z sali sejmowej między „niekoalicjatami" nastąpiła charakterystyczna wymiana zdań za pośrednictwem dziennikarzy. Andrzej Lepper wyraził gotowość wejścia do rządu. I teraz Jarosław Kaczyński uznał już, że pozycja Leppera się zmieni, jeśli nadal będzie popierał PiS.

Szybciej więc, niż się można było spodziewać, układy polityczne zatriumfowały nad prawem i sprawiedliwością. Partia, która wpisała sobie do nazwy te dwie wartości, tłumaczyła dotąd pragmatyzmem politycznym sojusz z partią ludzi ostentacyjnie pogardzających prawem, często z wyrokami. Najpierw Samoobrona poparła prezydenturę Lecha Kaczyńskiego. Potem był wybór na wicemarszałka Andrzeja Leppera, co zostało odwzajemnione poparciem mniejszościowego rządu PiS. Po deklaracji o możliwej zmianie pozycji Leppera widać już, że taktykę PiS wyznacza nie przypadkowa, ale przemyślana strategia braci Kaczyńskich.

POPIS ZAMIENIŁ SIĘ W ROZPAD

Trafnie – acz złośliwie – zauważył Donald Tusk, że nie bardzo wiadomo, kto tak naprawdę wygłosił exposé w Sejmie: premier Marcinkiewicz czy szef PiS Jarosław Kaczyński. Marcinkiewicz mówił bardzo dużo. Nie tylko zresztą w Sejmie, ale we wszystkich możliwych mediach elektronicznych. Jednak jak się wyciśnie treść ze słów, zostaje niewiele, bo nowy premier ma zdolność mówienia na okrągło. Czasem popada też w sprzeczność z samym sobą. Deklaruje, że najwyżsi urzędnicy w państwie powinni kierować się skromnością i że realizację tego postulatu zacznie od siebie. Po czym stwierdza: – Przedstawiłem wam dobry program dla Polski i Polaków.

Jarosław Kaczyński wygłosił mowę kluczową. Ciekawe, że nie wspomniał w ogóle o IV RP. Wyjaśnił, dlaczego PiS wszedł w sojusz z LPR i Samoobroną: by zagospodarowywać elektorat i program partii radykalnych, a nie wyrzucać je poza parlament, poza system polityczny. Kaczyński usiłuje nad nimi zapanować, bo izolowanie ich od oficjalnego krwiobiegu mogłoby w przyszłości pozwolić na stworzenie alternatywy dla PiS.

Platformie Obywatelskiej – do niedawna przecież koalicjantowi PiS – Kaczyński postawił zarzut niesłychany: spada na nią odpowiedzialność za tworzenie od lat i konserwowanie dziś patologicznego układu polityki z biznesem, służbami specjalnymi i mafią! Nie powiedział tego aż tak wprost, ale taki był sens jego wywodu: mrocznego, mglistego, momentami insynuacyjnego. Bardziej jednoznacznie zasugerował, że tego „stolika do brydża" nie dałoby się teraz wywrócić w koalicji z PO.

Jeśli ktoś po kampaniach wyborczych, parlamentarnej i prezydenckiej, miał jeszcze nadzieję, że rowy między PiS a PO da się powoli zasypać, teraz ją stracił. Na długo. To było widać po nadętych minach. Kaczyńskiego, gdy mówił Tusk. Tuska, gdy przemawiali Kaczyński i jego satelici: Lepper i Giertych. Szef Samoobrony jak za dawnych lat wznosił się na wyżyny pohukiwania, tym razem na Platformę i Tuska. Ale PiS to nie przeszkadzało.

Donald Tusk wygłosił jedno z lepszych w życiu przemówień. Celnie i bezwzględnie wypunktował Marcinkiewicza. Za zwiększanie liczby stanowisk i wydatków na administrację w ramach walki o oszczędne państwo. Za 17 sekund poświęcone w exposé sprawom infrastruktury. Za zamianę w mowie sejmowej obiecywanych wcześniej w kampanii trzech milionów mieszkań na cztery stadiony. Za brak konkretów, zwłaszcza dotyczących walki z bezrobociem. Za niefrasobliwe podejście do wydatków państwa wyrażone przez premiera słowami: „Nie stać nas na to, żeby nas nie było stać".

Bardzo osobiście mówił o fiasku koalicji PO z PiS. Pozwoliło to przeciwnikom Tuska dość łatwo zakwalifikować jego mowę jako osobisty żal po przegranych wyborach. Chyba za łatwo. To prawda, że szef PO nie pokazał sensownej drogi dla swojej partii w perspektywie całej kadencji. Nie wytłumaczył się też ze swojej wcześniejszej naiwności wobec PiS i jednak długotrwałej ślepoty politycznej. Ale to nie obniża trafności jego krytyki, którą usiłowali zagłuszyć i zlekceważyć krytykowani.

Dobrze zdiagnozował przede wszystkim naszą sytuację polityczną i zagrożenia. Koalicja, która stoi za rządem Marcinkiewicza, „jest koalicją wyrastającą na nieufności, na nieposzanowaniu reguł prawa, na nieposzanowaniu zasad i norm przyjętych jako oczywiste w Europie". Ta koalicja – zarzuca szef PO – prowadzi nas „do prawdziwej zimnej wojny domowej, którą proponują hołubione przez pana prezesa Kaczyńskiego radykalne ugrupowania". Tę właśnie koalicję nazwał Tusk moherową.

KOGO TO OBRAŻA

Moherowe berety to, jak wiadomo, armia ojca Rydzyka. Od nakryć głowy starszych pań demonstrujących na wezwanie Radia Maryja. Wielokrotnie i skutecznie. Moherowa koalicja to realizacja przedwyborczego hasła ojca Rydzyka rzuconego na antenie Radia Maryja, że Platformę trzeba zatopić. Właśnie się to w Sejmie udało.

Określenie użyte przez Tuska, choć nie on jest jego autorem, wiele osób odebrało jako obraźliwe. Nie chodzi tylko o posłów, którzy natychmiast ścigali się w lizusostwie wobec ojca Rydzyka, czy o premiera, który równie koniunkturalnie zarzucił z tego powodu PO pogardę dla prostych ludzi. Zwyczajnych ludzi język takich epitetów – „liberałowie", „czarni", „moherki" – jednak razi.

Mnie określenie „moherowe berety" nie przeszkadza, gdyż jest bardzo trafne: od razu wiadomo, o kogo chodzi. I tylko w takim znaczeniu go używam, a nie do obrażania kogokolwiek. Zresztą słuchacze Radia Maryja zareagowali bardzo racjonalnie, co trzeba docenić. Żadnej obrazy, przeciwnie, są dumni. I słusznie. Ojciec Rydzyk zamówił moherowe nakrycie głowy u słuchaczek.

Przecież w tym gronie nie ma się czego wstydzić. Trzeba było posłuchać Radia Maryja nocą 10 listopada. Pełny triumf. Dzwoniący słuchacze nie kryli, że powołanie rządu Marcinkiewicza to prawdziwy cud, który Polska zawdzięcza Panu Bogu, Matce Boskiej i ojcu dyrektorowi. I apelowali do ojca Rydzyka, by nie popadał w przesadną skromność: – Pan Bóg działa przecież przez ludzi.

A to wszystko dzięki „polskim mediom". Bo takimi, jak zapewniał ojciec Rydzyk, są w Polsce jedynie: Radio Maryja, „Nasz Dziennik" i telewizja Trwam.

Jest jednak pewien problem, z którym musi się zmierzyć nowy premier. Jego nazwisko jakoś nie zapadło ojcu dyrektorowi w pamięć. Mówi o nim na ogół „pan Marcinkowski".

JAKI TO BĘDZIE SEJM

To był chrzest bojowy nowego Sejmu. Nie należy już się obawiać, że radykalnie poprawi się kultura polityczna tego organu. Taką nadzieję miało wiele osób, bo poprzedni parlament osiągnął obyczajowe dno. W nowym drzemią jednak spore możliwości zsuwania się. Chyba jeszcze nigdy początkowy uroczysty nastrój nie przerodził się tak szybko w awanturniczy. Widać, że ten Sejm jest oryginalny, niekoniecznie w najlepszym znaczeniu.

Wygłaszanie exposé przez premiera przypominało gierkowską akademię. Według stenogramu 61 razy było przerywane przez posłów oklaskami. W tej liczbie zmieściły się trzykrotne „burnyje apłodismienty", jak to się kiedyś internacjonalistycznie mówiło (czyli burzliwe), oraz oklaski na początku (zwykłe) i na zakończenie (długotrwałe). Wojna o poklask trwała podczas przemówień liderów partyjnych. Kaczyński – 9 serii oklasków, Tusk – 16, Kaczyński ripostujący – 5, Lepper



Fot. ŁUKASZ TRZCIŃSKI/FORUM

Rodzina Radia Maryja: Ojciec Tadeusz Rydzyk ze słuchaczkami w gliwickiej zakrystii

Słuchacze Radia Maryja bardzo pozytywnie zareagowali na określenie „moherowa koalicja". Rozpiera ich duma, że to rozgłośnia ojca dyrektora doprowadziła do cudu, jakim było powołanie rządu Marcinkiewicza

– 17, Giertych – 15. W trakcie przemówienia tego ostatniego prezes LPR Marek Kotlinowski wniósł oryginalne urozmaicenie, wznosząc trzykrotnie doniosły okrzyk: „Tak jest. Brawo!". Kiedy skończył Tusk, a na mównicę chciał wejść Kaczyński pod pretekstem sprostowania – co nie było prawdą, jak się okazało – trwała długa owacja. Zdania były podzielone: czy bardziej za Tuskiem, czy przeciw szefowi PiS.

Zdarzył się i taki moment: „Cioty...!" – ktoś krzyknął, gdy Wojciech Olejniczak z SLD nazwał skandalem zlikwidowanie przez rząd Marcinkiewicza urzędu do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn. Nie było żadnej reakcji.

O to, kto bardziej w praktyce dba o politykę prorodzinną, kłócili się posłowie Komorowski (PO) z Cymańskim (PiS). Bo obaj są ojcami pięciu pociech, co sobie pokazywali na palcach. Był też spór biblijny: czy Pan Bóg bardziej się cieszy z jednego nawróconego niż ze 100 sprawiedliwych (ewangelia według świątobliwego Giertycha), czy tylko z 10 sprawiedliwych (ewangelia według światłego Grasia z PO)? I obaj mieli po części rację, ale się źle wyrazili: bo chodzi o jedną odnalezioną ze stada 100 owiec albo o jedną spośród 10 drachm.

Poseł Marian Piłka (kiedyś ZChN, dziś PiS) martwił się, czy rząd uczyni priorytetem swojej polityki zagranicznej problem poszanowania praw mniejszości chrześcijańskich w wielu krajach, zwłaszcza w Afryce i Azji. A posłanka Ewa Sowińska z LPR pytała, czy „rząd postawi tamę ciągłemu obrażaniu posłów, marszałków, premiera, prezydenta przez środki przekazu, publikatory?". Sprecyzowała, że nie chodzi wcale o cenzurę, „ale o obowiązek powrotu do kultury słowa, godności zachowania i stroju wśród dziennikarzy (...), zamiast wszechobecnej promocji i eskalacji chamstwa i niechlujstwa". I co? I oklaski dla obojga. Na pewno jeszcze będzie wiele zawstydzającego śmiechu z tego Sejmu, który sobie właśnie wybraliśmy.

JAKI RZĄD

Na pewno może to być rząd skutecznie administrujący. Uda mu się w Sejmie zdobywać większość dla posunięć populistycznych, bo takie zawsze poprze Samoobrona z LPR. I jak zwykle chętnie do zwycięzców dołączy PSL. Nie wiadomo jednak, czy zaryzykuje ustawy naprawdę reformatorskie, które poparłaby PO wbrew populistom. Czy Jarosław Kaczyński zaryzykuje wojnę z nimi? Raczej nieprędko, bo najpierw trzeba zagospodarować radykałów – czytaj: przejąć ich elektorat.

To jednak ryzykowna gra. Nie wiadomo, kto kogo zdominuje. PiS balansuje na linie, grając o wszystko dla siebie. Może doprowadzić do populistycznej koalicji narodowo-radykalnej, w której nie wiadomo, kto będzie grał pierwsze skrzypce. Taki scenariusz wyłania się z ryzykownej misji oswajania radykałów zakreślonej w mrocznej mowie Kaczyńskiego. Nie chodzi tu o obrażanie poprzez porównanie z faszyzującym w II RP Obozem Narodowo-Radykalnym (ONR też wzywał do oddania przedsiębiorstw w polskie ręce i był przeciwnikiem zarówno kapitalizmu, jak i komunizmu). Należy się nam jednak wyjaśnienie szefa PiS, że manipulując Lepperem i LPR, do takiego zagrożenia nie dopuści. Przemilczanie tego brzmi złowrogo.

Sam z siebie premier Marcinkiewicz o populizmie nie zapomni. Nie zapomniał tuż przed głosowaniem nad wotum zaufania w Sejmie, gdy wieczorem odpowiadał na pytania zadane podczas debaty klubów, a potem przez prawie 170 posłów. Wbrew stawianym mu zarzutom wcale nie wycofał się z trzech milionów mieszkań w ciągu ośmiu lat. Powiedział jasno, że nadal jest na to szansa.

Równie jednoznacznie przyznał, że celem rządu nie jest przystępowanie do strefy euro. Twardy był tylko, gdy mówił, że nie można zagwarantować każdemu 800 złotych co miesiąc, czego żądają koalicjanci nie koalicjanci, bo rozsadziłoby to budżet. Ile takich chwil prawdy LPR z Samoobroną są w stanie przeżyć? Na razie chyba sporo.

Ciekawe, do czego premier nie odniósł się w dogrywce, choć zapowiedział pisemne odpowiedzi w ciągu dwóch tygodni. Nie odpowiedział na pytanie o losy wniesionego przez PiS projektu zakazu kandydowania do parlamentu osób z wyrokami (Lepper!). Czy będzie TKM przy zatrudnianiu w administracji?

Nie zareagował na sprostowanie byłego ministra spraw wewnętrznych Ryszarda Kalisza, który zarzucił mu posługiwanie się w exposé złymi liczbami dotyczącymi policji. Premier mówił, że na 100 tysięcy policjantów tylko 8,5 tysiąca ma codziennie bezpośredni kontakt z obywatelami. Obiecał zwiększenie o 50 procent liczby funkcjonariuszy w służbie prewencyjnej. Kalisz, który jednak może się na tym trochę lepiej znać, twierdzi, że w prewencji pracują 54 tysiące, z czego dziennie na ulicach jest 30 tysięcy. Plus 32 tysiące z dochodzeniówki i 7 tysięcy w drogówce. Interesujące, kto ma rację. I prestiżowe. Podobnie Marcinkiewicz omija zarzuty, iż obiecuje to, co zrealizowali już poprzednicy, na przykład ułatwienia dla działalności gospodarczej.

To wszystko niedobrze wróży. Rząd już ma poważne kłopoty, choćby w polityce zagranicznej potraktowanej w exposé premiera wyjątkowo ogólnikowo. Rosyjska demonstracja siły – wydanie z błahych powodów zakazu importu mięsa i produktów roślinnych z Polski w chwili powoływania rządu przez Sejm – nie była przecież przypadkowa. I może się okazać bardziej dotkliwa i kosztowna niż trzymanie Aleksandra Kwaśniewskiego w przedpokoju Putina.

Równocześnie rząd Marcinkiewicza ujawnił w rozdanym posłom, a więc i dziennikarzom, programie, że staramy się o włączenie Polski do amerykańskiego programu parasola antyrakietowego. Wyszła z tego polska demonstracja siły wobec Rosji i Unii Europejskiej. Jeśli to był lapsus dyplomatyczny, trzeba było to powiedzieć. Ale rzecznik rządu już oskarżył dziennikarzy o kreowanie faktu medialnego. Naprawdę trudno się dziwić, że PiS i jego rząd mają tak fatalną prasę, także za granicą.

CAŁA WŁADZA W RĘCE KACZYŃSKICH

Rachunki koalicyjne pokazują, że do rządzenia PiS nie wystarcza tylko Samoobrona. Musi być jeszcze co najmniej trzeci – LPR lub PSL. Albo zamiast populistów rozważna Platforma, która mimo krytyki i poniżania, jakie teraz znosi, jest nadal gotowa do współrządzenia z PiS.

Z sondaży wynika, że PiS idzie do góry. Mali, czyli LPR i PSL, pod próg wyborczy. Będą więc posłuszni Kaczyńskiemu. A Lepper, któremu słupki stanęły? Na pewno nie przepuści życiowej szansy, jeśli dostanie ofertę wejścia do rządu, bo mogłaby się już nigdy nie powtórzyć. Dlatego tak skutecznie jest dziś trzymany pod parą.

Jarosław Kaczyński na razie skutecznie lawiruje między populistami a rozważnymi, wzmacniając pozycję swojej partii. Jest to tym łatwiejsze, że do pomocy ma brata bliźniaka w newralgicznym miejscu.

Konstytucja gwarantuje przetrwanie rządu mniejszościowego nawet do końca kadencji. Także rządu nieudolnego. Jeśli za rok Sejm nie uchwali budżetu, prezydent wcale nie musi rozwiązać parlamentu, rozpisując nowe wybory. Jedynie może. Lech Kaczyński postąpi tak tylko wtedy, gdy będzie to na rękę PiS.

Jedynym błogosławieństwem w naszej sytuacji jest to, że dzięki PO i SLD bracia Kaczyńscy nie mają dziś w Sejmie większości pozwalającej zmienić konstytucję. Wtedy kontrolowaliby już naprawdę wszystko. Dlatego Kazimierz Marcinkiewicz ma rację: należy się modlić. Ale bez kamer.

WOJCIECH MAZOWIECKI

Więcej artykułów o nowym rządzie w 

w serwisie ***www.wiadomosci.wp.pl***

GPW

KATARYNKI



Fot. AGE/EAST NEWS, GETTY/FPM (3), ZEFA/CORBIS

Nie warto wczytywać się w komentarze medialnych analityków finansowych. Nawoływani do rynkowego oceniania każdego ruchu w polityce są równie skuteczni jak papużka wyciągająca los z pudełka kataryniarza

Festiwal analitycznych gróźb zaczął się już przed wyborami parlamentarnymi. Wtedy gdy okazało się, że zwycięstwo liberalnej Platformy Obywatelskiej nie jest wcale pewne. Tomasz Bardziłowski, prezes CA IB Securitas, instytucji zajmującej się bankowością inwestycyjną, trzy dni przed wyborami mówił na łamach „Rzeczpospolitej": „Dwa tygodnie temu rekomendowaliśmy naszym klientom, by wraz z rosnącym poparciem dla Platformy Obywatelskiej nie sprzedawali jeszcze polskich akcji. Teraz wraz z rosnącym poparciem dla Prawa i Sprawiedliwości należy myśleć o realizacji zysków".

A po wyborach? – Nasza rekomendacja na dzisiaj brzmi: sprzedawaj złotego – stwierdziła Tania Kotos, analityk walutowy w Royal Bank of Canada w Londynie. – PiS boi się społecznej reakcji na bolesne cięcia wydatków i sceptycznie zapatruje się na perspektywę przyjęcia euro przed rokiem 2010 – wyjaśniła Agencji Reutera.

Tymczasem złoty osłabł, ale nieznacznie, a notowania warszawskiej giełdy zakończyły się na plusie.

Trzy dni po wyborach analitycy załamywali ręce, że silny złoty zabija polskich eksporterów. Miesiąc później dla odmiany straszyli nas słabą złotówką. – Teraz jest próba stabilizacji, ale nie ma chętnych do kupna złotego. Myślę, że to nie koniec osłabienia – martwił się pod koniec października Marcin Bilbin, analityk Pekao SA.

23 października wybory prezydenckie wygrał Lech Kaczyński. 27 października „Gazeta Wyborcza" swoje ekonomiczne strony otworzyła wielkim tytułem „Bez POPiS-u rynki dołują", a dzień później donosiła, że „Rynek wątpi w koalicję". 2 listopada na łamach tej samej gazety Maciej Kossowski, doradca finansowy z firmy Expander, stwierdził wprost: „PO to partia szczególnie lubiana przez rynek, dlatego źle przyjął on fiasko koalicji PO i PiS".

Osoby mniej biegłe w dziedzinie ekonomii mogły poczuć się skonsternowane dylematami rynku. – Muszę przyznać, że łapałem już lekką paranoję – opowiada Szymon Majewski, postać medialna. – Moja aktywność finansowa ogranicza się do spłacania kredytów, ale zaciągnąłem je we frankach szwajcarskich, a ekonomiści straszyli, że złoty gdzieś tam spada – twierdzi Majewski, który tym razem sam dał się wkręcić.

Zwykłych ludzi wkręca się o tyle łatwo, że w artykułach nie tłumaczy się, co to za jeden, ten rynek. – W psychologii takie zachowanie nazywa się projekcją – tłumaczy Elżbieta Sołtys, psycholog. – Ponieważ zajmowane stanowisko nie pozwala mi powiedzieć, że jestem niezadowolony z wyniku wyborów, swoje emocje wyrażam, ukrywając się za parawanem, na przykład rynku. Zawsze można potem powiedzieć, że rynek się mylił.

A tak naprawdę mylą się personifikujący rynek analitycy. – Najwięcej zamieszania mogą sprawić sygnały, że porozumienie jest trudne, że budżet będzie bardziej dziurawy, niż to jest obecnie przedstawiane lub jak ministrem finansów zostanie osoba negatywnie postrzegana przez inwestorów, na przykład Cezary Mech – mówił Ryszard Petru, główny ekonomista Banku BPH.

Koalicji z PO nie ma, 7 listopada Cezary Mech został wiceministrem finansów. Szczególnego zamieszania na giełdzie jakoś nie było.

CZŁOWIEK W KOZIM ROGU

Marek Zuber to typowy medialny analityk: dynamiczny, zawsze pod komórką i zawsze chętny do komentowania, o co tylko się go poprosi. Przedstawiany wcześniej jako niezależny analityk, główny ekonomista Internetowego Domu Maklerskiego SA po wyborach został doradcą ekonomicznym premiera Marcinkiewicza. Jego dawni koledzy wyciągnęli mu więc, że jako jeden z nielicznych analityków w Polsce nie został przyjęty do Polskiego Stowarzyszenia Ekonomistów Biznesu, a podobno na jednym z forów internetowych można przeczytać, że tyje, zaczyna łysieć, choć ma dopiero 33 lata. – Nie ukrywam, że reakcja moich niedawnych kolegów jest dla mnie bolesna – żali się wszechobecny teraz Zuber.

– To media zapędziły tych młodych ludzi w kozi róg, każąc im interpretować każde najmniejsze wahnięcie rynku – tłumaczy nam profesor Witold Orłowski, doradca ekonomiczny prezydenta Kwaśniewskiego. – Nie ma się co dziwić, że czasem się mylą. Przecież rynkiem rządzi chaos i ludzkie emocje. Czasem wróżenie z fusów byłoby łatwiejsze.

Podobnie uważa Łukasz Jagiełło, zastępca dyrektora działu emitentów warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych. – Kierując się analizami rynkowymi, należy pamiętać, że ich autorzy nie mają sekretnej wiedzy pozwalającej im przewidzieć zachowanie rynku. Zresztą możemy założyć, że gdyby ją mieli, po prostu by ją wykorzystali, a nie manifestowali się z nią w mediach – zauważa.

Według Piotra Kuczyńskiego, głównego analityka z Warszawskiej Grupy Inwestycyjnej, jego kolegów z branży sprowadziło na manowce uwielbienie dla Platformy Obywatelskiej. – Neoliberalna religia, której hołdują, powodowała, że przyczyn osłabienia złotego woleli szukać przede wszystkim w PiS, starając się nie patrzeć na umocnienie amerykańskiej waluty do euro – mówi Kuczyński.

KACZYŃSKI TO REAGAN

Główny analityk Warszawskiej Grupy Inwestycyjnej na ostatnie wydarzenia patrzy z dużym dystansem. – Myślę, że wszyscy analitycy, łącznie ze mną, z lekkim przymrużeniem oka „mądrze" tłumaczyli, że rynki słabo reagują, bo nie boją się PiS, a może boją się, ale jeszcze tego nie wiedzą – mówi Piotr Kuczyński.

I na początek proponuje wyjaśnienie, czym te rynki tak naprawdę są. – Mówienie o jakichś mitycznych „rynkach" tylko zaciemnia obraz. O naszej sytuacji ekonomicznej decydują inwestorzy. Duzi, czyli fundusze emerytalne, fundusze inwestycyjne, ale przede wszystkim kapitał zagraniczny. Są też mali inwestorzy, czyli zwykły Kowalski, który sam niewiele może, ale wpłaca pieniądze do funduszy i koło się zamyka – tłumaczy.

Według ostatnich badań ankietowych przeprowadzonych przez pracowników działu analiz Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie wynika, że 43 procent transakcji zawieranych na polskiej giełdzie opiera się na kapitale zagranicznym. Trzy czwarte tych zagranicznych transakcji kierowanych jest z londyńskiego City. – A ich bardziej interesuje, jak radzą sobie spółki, w które inwestują, a nie jak nazywa się premier – mówi profesor Witold Orłowski. Na własnej skórze przećwiczył to ostatnio jeden z polskich bankowców. – Zadzwonił do mnie znajomy makler z Londynu i pyta, kto to jest ten Marcinkiewicz. A ja mu zacząłem tłumaczyć, że nie Marcinkiewicz jest ważny, ale Jarosław Kaczyński, że to on rządzi, że prawicowy, że w filmie grał. A on na to, że jak prawicowy i aktor, znaczy się jak Reagan, to *very good*, i się rozłączył – opowiada pracownik dużego banku.

Rynki przestały już płakać po PO i spokojnie przyjęły dosyć egzotyczną „moherową koalicję" z populistyczną Samoobroną i LPR – i to jest najlepszy dowód na to, że polscy politycy coraz mniej mogą zepsuć w gospodarce. – Na świecie jesteśmy postrzegani jako uczciwy i przejrzysty rynek. Z roku na rok koniunktura giełdowa coraz bardziej uodparnia się na czynniki polityczne – przekonuje Łukasz Jagiełło z warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych. No, chyba że rynek znów zaskoczy analityków.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Podyskutuj o tym na onet.pl

OSKARŻONY „PRZEKRÓJ”

Nieudolny prokurator z Grójca obraził się na „Przekrój” za krytykę i złożył zawiadomienie o przestępstwie znieważenia funkcjonariusza publicznego. Jego koledzy z nadzorującej go prokuratury po dziewięciu miesiącach śledztwa przekazali sprawę do sądu

Kamieniem obrazy stał się nadany tekstowi przez redaktorów „Przekroju” tytuł „PROKURATOR PODUPADŁY”. Zaznaczenie w nim innym kolorem czcionki słowa „dupa” jako synonimu ofermy miało służyć krytyce nieudolności prokuratora Grzegorza Talarka z Grójca, który na podstawie wątpliwych dowodów podważanych nawet przez sąd wnioskuje o wtrącanie ludzi do więzienia.

Niestety, krytykę tę prokurator Talarek zniósł źle. I potraktował ją jako okazję do kolejnego wtrącenia do więzienia, tym razem autora tekstu Cezarego Łazarewicza i redaktora naczelnego „Przekroju” Piotra Najsztuba. Skandalem w tej sprawie jest zaangażowanie w wielomiesięczne śledztwo policji i nadzorującej Talarka prokuratury. Sąd przysłał już akt oskarżenia Łazarewiczowi i Najsztubowi – na podstawie paragrafu z kodeksu karnego grozi im do dwóch lat więzienia. Uważamy to za kpinę z wymiaru sprawiedliwości i konstytucyjnej wolności słowa. Poniżej jeden z oskarżonych przedstawia, czym przez dziewięć miesięcy zajmowała się prokuratura.

Redakcja

CEZARY ŁAZAREWICZ

JESTEM PODUPADŁY

Na zdjęciach: Oskarżony Cezary Łazarewicz

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI (3)

Tekst o prokuratorze Grzegorzu Talarku ukazał się w styczniowym numerze „Przekroju” i od razu spowodował nerwową reakcję prokuratora

PROKURATOR NIEUDOLNY

Na trop przestępstwa prokurator Grzegorz Talarek z Grójca wpadł 23 stycznia, czytając prasę. Odnalazł w „Przekroju” mój tekst, który o nim napisałem, i zaraz poinformował prokuraturę.

Przedstawiłem tam dwie sprawy, które prowadził Grzegorz Talarek. Oskarżył on historyka sztuki Jacka Bochińskiego o napad z bronią w ręku na handlarzy ze Stadionu Dziesięciolecia. Choć Bochiński miał nienaganną przeszłość i był znany w środowisku głównie jako mól książkowy, to dzięki prokuratorowi z Grójca spędził rok w areszcie, czekając na proces. Było to o tyle dziwne, że w sprawie napadu było mnóstwo wątpliwości. Nie zgadzały się ani odciski palców, ani rysopisy, ani znalezione włosy przestępców. Wszystkie dowody przeciwko Bochińskiemu upadły w sądzie, który go uniewinnił i oczyścił z zarzutów w 2004 roku.

Mniej szczęścia miał Tomasz Siarno, który za sprawą prokuratora Talarka odsiedział dwuletni wyrok więzienia za pobicie turystów biwakujących nad Pilicą. Choć, jak twierdzi, wcale go tam nie było. Dowody na niewinność syna zebrała matka Tomka, która odnalazła prawdziwych chuliganów, nagrała ich potajemnie i kasetę dostarczyła do prokuratury. To jednak nic nie dało, bo wyrok w sprawie syna był już prawomocny. Małgorzata Wypych z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka badająca tę sprawę twierdziła, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Siarno jest niewinny.

Jednak nie sam tekst oburzył Grzegorza Talarka, ale tytuł: „Prokurator podupadły”. Dlatego już 24 stycznia poinformował prokuraturę w Warszawie o popełnieniu przeze mnie przestępstwa znieważenia funkcjonariusza publicznego (artykuł 226 paragraf 1 kodeksu karnego).

Prokurator wskazał, że został znieważony słowem „podupadły” w tytule, co opisał w swoim doniesieniu: – Autor, posługując się techniką drukarską, wyeksponował w drugim słowie tytułu cztery litery (dwie sylaby), które bez trudu każdy czytelnik może odczytać jako „prokurator dupa” oraz jako „prokurator podły”.

Pokrzywdzony Grzegorz Talarek został przesłuchany w Warszawie 9 lutego i jeszcze bardziej drobiazgowo wyjaśnił prowadzącej sprawę prokurator, na czym polegał znieważający kalambur ze słowem „podupadły”. – Środek wyrazu („dupa”) został wydrukowany jaśniejszym drukiem – poinformował i dodał: – Znaczenia słów „dupa” i „podły” tłumaczyć nie trzeba, gdyż są one powszechnie uważane za obelżywe.

– Wnoszę o ściganie autora tego artykułu oraz redaktora naczelnego – poprosił w trakcie przesłuchania Grzegorz Talarek.

Stanowisko to podzieliła Prokuratura Rejonowa Warszawa Śródmieście i przekazała sprawę do prowadzenia policji.

ZAWOALOWANE PRZESTĘPSTWO

Już trzy tygodnie po ukazaniu się tekstu „Prokurator podupadły” sierżant Robert Dziedzicki wszczął dochodzenie w sprawie znieważenia w siedzibie tygodnika „Przekrój” słowem „dupa” funkcjonariusza publicznego w związku z pełnieniem przez niego obowiązków służbowych.

Pod koniec lutego sierżant Dziedzicki wezwał na komendę podejrzanych – redaktora naczelnego „Przekroju” Piotra Najsztuba i mnie. 22 lutego były gotowe dokumenty i policjant miał nam postawić zarzuty. Sprawa jednak nagle zaczęła tracić impet. Sierżant Dziedzicki zadzwonił do redakcji „Przekroju” i poinformował, że przesłuchania nie będzie.

Zapewne miało to związek z decyzją warszawskiej prokuratury okręgowej, która wytknęła prokuraturze rejonowej, że ze względu na charakter sprawy powinna sama wyjaśnić, kto i dlaczego znieważył Talarka, a nie angażować do tego policję.

W marcu rzucone zostały dodatkowe siły, by rozwikłać zagadkę występowania słowa „dupa” w wyrazie „podupadły”. Z pomocą przyszedł wydział I Prokuratury Okręgowej w Warszawie, który objął nadzorem postępowanie. Ten sam, który nadzoruje prokuratura Talarka (więc w dużym uproszczeniu prokuratura nadzorowała sama siebie).

Okręgówce sprawa wydawała się prosta. „Mówienie (pisanie) o kimś per »dupa« stanowi niewątpliwe znieważenie” – zauważyła Ewa Krasnodębska-Dybiec, która przejęła osobistą kontrolę nad śledztwem. Jednak pojawiły się też pierwsze wątpliwości.

„Zastrzeżenia budzi fakt, iż to pejoratywne określenie nie zostało zapodane [sic!] bezpośrednio, lecz, aczkolwiek w sposób czytelny, to w postaci zawoalowanej specyficznej konstrukcji graficznej” – uznała prokurator Krasnodębska-Dybiec i poleciła precyzyjnie ustalić, kto jest odpowiedzialny „za wyeksponowanie graficzne w wyrazie »podupadły« treści znieważającej”. Ta decyzja zmusiła prokuraturę rejonową do szukania dalszych dowodów.

W czerwcu prokurator Dominika Suchan-Ziembińska zażądała od redakcji „Przekroju” dostarczenia w ciągu siedmiu dni dokumentów, które zawierają listę wszystkich zatrudnionych grafików, którzy w styczniu 2005 roku mogli mieć związek z tekstem „Prokurator podupadły”. „W przypadku nienadesłania w wyznaczonym terminie lub odmowy dobrowolnego nadesłania powyższych dokumentów przeprowadzić przeszukanie w siedzibie tygodnika” – wydała polecenie w wezwaniu prokurator.

Ani zeznania dwojga dyrektorów artystycznych pisma, ani czwórki grafików komputerowych nie wniosły nic do sprawy. Po dziewięciu miesiącach nie udało się dokładnie ustalić, kto ponosił graficzną odpowiedzialność za stronę 32, na której wydrukowano tytuł.

Prokuratura nie przesłuchała natomiast redaktorów odpowiedzialnych za numer ani nawet nie



Fot. KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEROJEDEN.COM

Trybunał Konstytucyjny będzie musiał wkrótce rozstrzygnąć, czy używanie kodeksu karnego do ścigania dziennikarzy jest zgodne z prawem

Prokurator Grzegorz Talarek z Grójca uznał, że najlepiej będzie wykorzystać inną prokuraturę do swojej obrony

próbowała ustalić, jak funkcjonuje redakcja i kto za co w niej odpowiada. Nie zasięgnęła opinii językoznawców.

– Słowo „podupadły" nie jest obraźliwe – mówi profesor Jerzy Bralczyk, znany językoznawca. Zaś słowo „dupa" jego zdaniem może być czasem synonimem nieporadności, na przykład w sformułowaniu „d..., nie prokurator".

KŁOPOTY JĘZYKOWE

Po przesłuchaniu dziewięciu osób, zaangażowaniu policji, dwóch prokuratur i zebraniu 150 stron dokumentów śledztwo zostało zakończone 24 października 2005 roku.

Prokuratura oskarżyła Piotra Najsztuba i mnie o znieważenie funkcjonariusza publicznego. „Ponieważ pisanie o kimś »podły dupa« stanowi niewątpliwie znieważenie" – napisała w akcie oskarżenia. Sprawa trafiła już do sądu Warszawa Śródmieście, który ma wyznaczyć termin pierwszej rozprawy. Grozi nam do dwóch lata więzienia.

Sam akt oskarżenia to pismo niezwykłe. Jak na pismo urzędowe zawiera zatrważającą liczbę błędów – od literówek począwszy, poprzez błędy składniowe, stylistyczne, interpunkcyjne, aż do skandalicznych w akcie oskarżenia błędów w nazwiskach. Występuję tam na przykład pod nazwiskiem Nazarewicz, nasz adwokat Grzegorz Krawczyk jako Krawczyń. Jest nawet błąd w nazwisku pani prokurator, która się podpisała pod aktem.

Gdy prokurator pisze na przykład: „na pisy te naniesione na zdjęci prokuratora", można się jeszcze domyślić, o co chodzi. Ale ze zdania: „Tej samej treści zeznania rugi z dyrektorów artystycznych" trudno wysnuć, co prokurator miał na myśli.

Czekając na proces, chciałbym zapewnić, że w dzisiejszych czasach nie ośmieliłbym się obrazić żadnego prokuratora. Mam jednak prawo do krytyki i piętnowania nieporadnego prokuratora, który może mieć na sumieniu dwóch niewinnych ludzi.

CEZARY ŁAZAREWICZ

Podyskutuj o tym artykule w wp.pl w serwisie **www.media.wp.pl**

KODEKS KARNY KONTRA WOLNOŚĆ SŁOWA

Helsińska Fundacja Praw Człowieka zauważyła, że coraz częściej dziennikarze stają się ofiarami wymiaru sprawiedliwości, który ma tendencję wybierania postępowania karnego jako metody obrony przed krytyką i opiniami. Zdaniem Fundacji zjawisko to staje się niebezpieczne dla wolności słowa, bo takie sprawy powinny być kierowane na drogę cywilną, a nie karną.

– Jeżeli jednak ktoś chce z tej drogi skorzystać, to nie wypada, by we własnym, egoistycznym interesie robił to prokurator – mówił profesor Zbigniew Hołda z Komitetu Helsińskiego, gdy dowiedział się, że lubelski prokurator domagał się ścigania lubelskiego dziennikarza „Gazety Wyborczej". Prokurator Mariusz Szewczyk złożył doniesienie do prokuratury, bo Tomasz Nieśpiał napisał w swoim tekście, że wychodząc z sądu, zdenerwowany prokurator trzasnął drzwiami. Śledztwo w tej sprawie trwało tylko trzy miesiące i przerwała je dopiero lubelska prokuratura okręgowa – uznała, że wszczynanie w tej sprawie postępowania było bezzasadne.

Mniej szczęścia miał Jakub Stachowiak, który w 2002 roku opisał w poznańskiej „Gazecie Wyborczej" sprawę prokuratora Tadeusza L. Nadzorował on sprawę poznańskiego dilera Nissana Andrzeja P., który zabił na przejściu dla pieszych mężczyznę i uciekł z miejsca wypadku. Stachowiak sugerował, że istnieje związek między decyzją o umorzeniu śledztwa zaopiniowaną pozytywnie przez prokuratora L. a faktem kupienia przez niego nissana almery w salonie Andrzeja P. Prokurator L. poczuł się publikacją dotknięty i złożył w sądzie prywatny akt oskarżenia, w którym domagał się ścigania dziennikarza. W trakcie postępowania prokurator L. domagał się pozbawienia Stachowiaka prawa wykonywania zawodu przez dwa lata.

– Jednocześnie przekazał mi informację, że wycofa się ze sprawy, jeśli ujawnię mu nazwisko swojego informatora – opowiada Stachowiak, który na tę propozycję nie przystał i został już skazany na trzy tysiące grzywny przez sąd rejonowy. Wyrok nie jest prawomocny, w grudniu rozpocznie się rozprawa odwoławcza w sądzie okręgowym.

Beatę Korzeniewską z „Gazety Pomorskiej" sąd w Płocku skazał na miesiąc więzienia w zawieszeniu, bo napisała w 2001 roku, że sędzia Zbigniew W. może być autorem anonimu wysłanego do toruńskich mediów. Choć w tym samym tekście autorka poprosiła sędziego W. o komentarz, a ten zaprzeczył wszystkiemu, postanowił on dochodzić prawdy w sądzie. Złożył prywatny akt oskarżenia, w którym oprócz kary więzienia dla autorki domagał się 50 tysięcy złotych odszkodowania. Na dodatek wszystkie sprawy opisane wyżej toczyły się z wyłączeniem jawności, więc nie można było o nich informować na bieżąco w gazecie.

Podobne kłopoty miał Marian Maciejewski z wrocławskiej „Gazety Wyborczej", którego prokuratura oskarżyła o pomówienie za to, że opisał nieprawidłowości we wrocławskim wymiarze sprawiedliwości. Choć Helsińska Fundacja Praw Człowieka przedstawiła sądowi opinię prawną, z której wynikało, że zarzucanie dziennikarzowi przestępstwa pomówienia jest niezgodne z konstytucją gwarantującą wolność słowa, Maciejewski został skazany na karę grzywny.

Jednak przypadek Maciejewskiego stał się przyczynkiem do zaskarżenia przez Fundację tego przepisu kodeksu karnego do Trybunału Konstytucyjnego. Sąd w Gdańsku, który bada sprawę pomówienia SKOK-u przez dziennikarzy, również zwrócił się do Trybunału z pytaniem, czy używanie kodeksu karnego do ścigania dziennikarzy jest zgodne z prawem. Na razie nie ma odpowiedzi. (ŁAZ)

krótka rozmowa z Katarzyną Nałęcz-Pełczyńską

PRZEKRÓJ

РОССИЙСКАЯ ФЕДЕРАЦИЯ

KATARZYNA NAŁĘCZ-PEŁCZYŃSKA, SPECJALISTKA Z OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH

ROSJA WOJUJE NIE TYLKO Z POLSKĄ

CZY GROZI NAM ESKALACJA ROSYJSKICH NACISKÓW? – **KATARZYNĘ NAŁĘCZ-PEŁCZYŃSKĄ** Z OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH PYTA



KATARZYNA KOLENDA-ZALESKA „FAKTY", TVN

Gdy nowy rząd zabiegał o poparcie w Sejmie, jak grom z jasnego nieba spadła informacja o wprowadzeniu przez Rosję zakazu eksportu z Polski niemal całej żywności. Można się było tego spodziewać?

– Polskie władze mówią, że były zaskoczone. Strona rosyjska twierdzi, że kilkakrotnie uprzedzała o nieprawidłowościach na granicach i fałszowanych certyfikatach.

Chodzi mi o to, że stosunki polsko-rosyjskie są bardzo napięte i wystarczy iskra, żeby wzniecić kolejny poważny kryzys.

– Rosja miała zastrzeżenia do certyfikatów i ostrzegała, że są fałszowane. Natomiast kwestia, czy te nieprawidłowości powinny zostać wykorzystane do czasowego zawieszenia importu – to jest już zupełnie inna sprawa.

Ale przyzna pani, że można było sprawę inaczej załatwić.

– Oczywiście. Ale w Rosji nie ma dobrego klimatu politycznego do budowania pozytywnych relacji polsko-rosyjskich, a jak nie ma klimatu, to i nie ma ludzi, którzy by o te dobre kontakty zabiegali. We władzach rosyjskich nie ma sprzyjającej atmosfery dla Polski i taka jest prawda. Nie mamy tam propolskiego gospodarczego lobby. Im na tym po prostu nie zależy. Ale powtarzam, źródłem problemu – tego konkretnego problemu – były sfałszowane certyfikaty.

Istnieje taki ogólny klimat przyzwolenia na utrudnianie Polakom życia w Rosji? Może wprowadzenie zakazu było wyłącznie pretekstem, żeby nam pokazać, kto tu rządzi.

– To prawda, że decyzja o zakazie została podjęta w wyjątkowo szybkim trybie. I to jest efekt chłodnych stosunków, a nikt po tamtej stronie nie przejmuje się tym, że mogłyby się one jeszcze pogorszyć.

A mogą się pogorszyć?

– Jeśli chodzi o przyszłość, to trudno tu cokolwiek przewidywać. Problem w tym, że to nie pierwszy taki przypadek. Takim samym zakazem zostały dotknięte także Niemcy, Belgia czy Estonia. Tylko w ciągu ostatnich dwóch lat. Po kilku lub kilkunastu miesiącach problem został rozwiązany i import przywrócony. Oczywiście rozumiem, o co pani pyta, i dostrzegam, że w przypadku Polski sytuacja jest trochę inna. Podważony został uzgodniony już jednolity dla całej Unii certyfikat eksportowy znacznie bardziej nowoczesny i znacznie lepiej chroniony od fałszerstw niż poprzednie, krajowe. Dotąd na podstawie naruszeń tego certyfikatu zakazu jeszcze nie wprowadzano. I to jest to nowum. Ale podkreślam, nie jesteśmy jedyni.

Chce pani powiedzieć, że nie ma się czym przejmować?

– Nie. Tak bym nie powiedziała. Taki zakaz uderza przecież w polskich eksporterów, a wielkość tego eksportu wynosi około pół miliarda dolarów. Oni oczywiście bardzo na tym stracą, ale stracą też rosyjskie firmy importujące z Polski. Rosyjska produkcja nie jest w stanie sama zaspokoić wewnętrznych potrzeb, więc rosyjskie firmy muszą szukać nowych zagranicznych dostawców.

Znajdą szybko, zanim zakaz zostanie cofnięty, i polskie firmy już nie wejdą na rosyjski rynek. Dlatego pytam o sprawy polityczne, bo wydaje mi się, że to nie jest tylko problem sfałszowanych certyfikatów. To jest problem przede wszystkim niechęci do Polski.

– Oczywiście niechęci nie możemy lekceważyć. Przyznam, że w tej konkretnej sprawie można się było wykazać większą wolą polityczną i całą sprawę załatwić bez uciekania się do restrykcyjnych zakazów. Można było poczekać, można było wysłać kolejne ostrzeżenia. Ale dobrej woli nie ma i pewnie szybko nie będzie.

To co Polacy powinni zrobić, żeby zmienić ten klimat?

– Nie zajmuję się polityką i to nie jest pytanie do mnie, tylko do polityków.

A nie obawia się pani, że Rosja będzie coraz częściej demonstrować swoje niezadowolenie ze stosunków polsko-rosyjskich i coraz częściej będą się pojawiać podobne zakazy?

– Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy pisać czarne scenariusze.

Żeby się przygotować na najgorsze.

– Ale ja naprawdę nie jestem przekonana, czy tak właśnie będzie. Powtarzam. Podobne problemy miały inne kraje.

Może nazwanie problemu i przewidzenie czarnego scenariusza pozwoli nam na zapobieżenie kryzysom w przyszłości. Może nasi importerzy nie będą musieli się bać, że Rosja z dnia na dzień zmieni swoją politykę wobec Polski i przestanie od nas cokolwiek kupować. Bo będą się liczyły względy polityczne, a nie realia gospodarcze.

– Tak może się stać, ale nie w tym kontekście oceniałabym obecny przypadek. Oczywiście Rosja często stosuje taką politykę wobec krajów z byłego ZSRR czy krajów Europy Wschodniej. Polityka gospodarcza jest wykorzystywana do nacisków politycznych, ale mam wrażenie, że nie jest to przypadek Polski. Nie bardzo sobie wyobrażam, do czego miałby zostać wykorzystany ten zakaz, co Rosja miałaby politycznie teraz zyskać.

Może chodzi o pogarszanie klimatu?

– Nie wydaje mi się, aby Rosja była obecnie szczególnie zainteresowana generowaniem kolejnych konfliktów z Polską. Choć nie zależy jej również na ociepleniu stosunków. ■

Ludzie z marmuru

W Waszyngtonie stanie pomnik weteranów wojennych. Projekt zgłoszony przez Amerykańską Fundację Weteranów Wojennych zatwierdziła jeszcze administracja Billa Clintona, ale pomysł dojrzał dopiero w epoce George'a W. Busha. Honorowym rzecznikiem wspomnianej fundacji został aktor Gary Sinise, który w filmie „Forrest Gump" wcielił się w postać porucznika Dana Taylora – żołnierza, który wraca z Wietnamu jako kaleka, a od państwa zamiast niezbędnych pieniędzy otrzymuje zbędne ordery. Firmowanie pomnika twarzą gwiazdy ma pomóc w zgromadzeniu funduszy. Ze względu na miejsce budowy i projekt (szklana powierzchnia w kształcie gwiazdy odbijająca światło, w jej środku wiecznie płonący ogień) trzeba uzbierać 65 milionów dolarów. (KP)



Gary Sinise w filmie „Forrest Gump". Aktor pomaga zbierać fundusze na pomnik weteranów wojennych

Fot. EAST NEWS

Radio schodzi na psy

Nadaje codziennie przez 17 godzin. Od 4 do 21. Radio internetowe, które powstało właśnie w Los Angeles, zwraca się do dość szczególnej grupy docelowej – psów i kotów. Na pomysł wpadł Adrian Martinez, 34-letni właściciel małej wytwórni płytowej. Chodzi o to, by pozostające samotnie w domu zwierzaki mogły się wyciszyć i uspokoić. Program radia jest zróżnicowany – w starannie dobranym repertuarze muzycznym znajdują się takie utwory, jak „Hound Dog" Elvisa Presleya czy „Who Let the Dogs Out" Baha Men, prócz tego audycje „edukacyjne", w których prezenterzy łagodnym głosem tłumaczą na przykład, że należy być miłym dla listonosza. www.dogcatra słucha tygodniowo osiem tysięcy... osób, kotów i psów. (MAL)

AZEROWIE NIE ZROBIĄ POMARAŃCZOWEJ REWOLUCJI. EKIPA ILHAMA ALIYEVA TRZYMA SIĘ MOCNO, A OPOZYCJA JEST NIEMRAWA

Fot. SHAKH AIVAZOV/AP

Na barykadach nieudanej rewolucji – 20-tysięczny wiec w Baku, 13 listopada

FALSTART REWOLUCJI

Nie ma namiotów, głodówek, masowych strajków i studenckich akcji. Nawet zachodnie media musiały przyznać, że z demokratycznej rewolucji w Azerbejdżanie nici, choć na kolejny – po Gruzji i Ukrainie – przewrót wyczekiwano od wielu miesięcy. Protesty po wyborach parlamentarnych 6 listopada są niemrawe – w rozpolitykowanym Azerbejdżanie, gdzie na zwykłe wiece wyborcze przychodziło kiedyś nawet 60 tysięcy ludzi, 15–20-tysięczne „tłumy" opozycji to bardzo niewiele.

Według oficjalnych danych rządowa partia Nowy Azerbejdżan zdobyła 63 miejsca w 125-osobowym Medżlisie, zaś reszta przypadła głównie popierającym rząd „bezpartyjnym" kandydatom. Opozycja będzie miała zaledwie sześć miejsc. Wybory nie spełniły oczywiście demokratycznych standardów: państwowe media otwarcie faworyzowały rządzących, a OBWE potępiła całą procedurę.

Jednak mimo to nikt nie zaprzecza, że w Azerbejdżanie – najstabilniejszym kraju Zakaukazia – władza cieszy się sporym poparciem. Prezydent Ilham Aliyev, który odziedziczył bogaty w surowce kraj po swoim ojcu Heydarze, trzyma się mocno. Po wyborach oznajmił dziennikarzom, że wyklucza możliwość przewrotu, stać go też było nawet na faraoński gest – anulowanie niekorzystnych dla opozycji wyników w kilku okręgach i ukaranie gubernatorów odpowiedzialnych za fałszerstwa. Czterech urzędników trafiło nawet za kratki.

Do obalenia reżimu zabrakło też wsparcia z zewnątrz. Nie bez przyczyny. Azerbejdżańskie władze wykonały karkołomną figurę polityczną – znakomicie ułożyły się z Zachodem i Stanami Zjednoczonymi łakomie patrzącymi na bogate złoża azerskiej ropy, nie tracąc przy tym poparcia Rosji. Nikt tak naprawdę nie chce upadku tego reżimu. (JK)

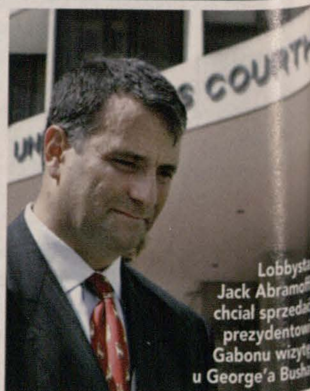
BONGO U BUSHA

KOMISJA SENATU USA BADA, ILE KOSZTUJE WSTĘP DO GABINETU OWALNEGO

Spotkanie odbyło się w maju 2004 roku, a gościem George'a Busha był Omar Bongo, prezydent Gabonu. Pan Bongo rządzi nieprzerwanie od 38 lat, a USA regularnie krytykują jego kraj za łamanie praw człowieka, co zazwyczaj wyklucza wizyty w Białym Domu. Departament Stanu twierdzi, że audiencja była elementem afrykańskiej dyplomacji Waszyngtonu.

Co innego wynika z ujawnionych przed tygodniem dokumentów senackiej komisji do spraw Indian. Komisja, która bada malwersacje znanego lobbysty Jacka Abramoffa, ujawniła, że 10 miesięcy przed wizytą wysłał on list do prezydenta Gabonu. Za dziewięć milionów dolarów proponował osobiste spotkanie z prezydentem Bushem. Powiązania Abramoffa z politykami bada dziś prokuratura, sąd i dwie komisje Kongresu – jest podejrzany o kupowanie ustaw i wyłudzenie kilkudziesięciu milionów dolarów od indiańskich plemion („Przekrój" nr 43).

Jak dotąd nie ma dowodów, że to on zaaranżował spotkanie Bongo z Bushem, Biały Dom zaprzecza, jakoby lobbysta miał z tym cokolwiek wspólnego, nie natrafiono też na żaden ślad po przelewie. Zgodnie z kontraktem pieniądze miały trafić na konto małej firmy w Maryland – w zamyśle chodziło zapewne o uniknięcie podatku i być może wypranie pieniędzy przed transferem na konta Republikanów. (RYB)



Lobbysta Jack Abramoff chciał sprzedać prezydentowi Gabonu wizytę u George'a Busha

KOALICJA WBREW AMBICJOM

NIEMIECCY POLITYCY BYLI MĄDRZY PRZED SZKODĄ – ROKOWALI PRZEZ MIESIĄC, ALE MAJĄ ZA TO RZĄD BEZ POPULISTÓW



Fot. ARNDT WIEGMANN/REUTERS/FORUM

Liderzy Wielkiej Koalicji: szef CSU Edmund Stoiber, kanclerz z CDU Angela Merkel, były szef SPD Franz Müntefering i jego następca Matthias Platzeck

Pomimo personalnych animozji i przepaści programowych niemieccy chadecy i socjaldemokraci zdołali się dogadać: 22 listopada Bundestag najpewniej udzieli wotum zaufania rządowi Angeli Merkel, a Niemcami rządzić będzie Wielka Koalicja.

Nie będzie jednak łatwo. Zażegnanie kryzysu politycznego po nierozstrzygniętych wyborach nie oznacza jeszcze, że rząd przetrwa. Coraz więcej Niemców burzy się przeciw planowanym cięciom socjalnym, podwyższeniu wieku emerytalnego i podwyżce podatku VAT, z której Merkel zamierza finansować deficyt. Gazety podkreślają sprzeczności w programie i brak pieniędzy na spełnienie złożonych obietnic, zaś ekonomiści mają wątpliwości, czy kanclerz będzie miała niezbędną swobodę działania, by prowadzić skuteczną reformę państwa socjalnego.

Jedno jest pewne – Wielka Koalicja wymusiła zmianę pokoleniową w niemieckiej polityce. Z lewej strony sceny politycznej schodzi generacja studentów rewolucjonistów z Gerhardem Schröderem i Joschką Fischerem na czele, po prawej gaśnie gwiazda szefa CSU Edmunda Stoibera. Zdaniem analityków 15 lat po zjednoczeniu nadchodzi „republika berlińska", a wraz z nią politycy, którzy lepiej czują nowe, zjednoczone Niemcy. Tacy jak Matthias Platzeck – nowy szef SPD, podobnie jak Merkel pochodzący z dawnego NRD i już dziś typowany na następnego kanclerza. (RW)

BURMISTRZ W SZORTACH

NAJMŁODSZY BURMISTRZ W USA MA 18 LAT. TAK CHCIELI WYBORCY

Michael Sessions wygrał, choć wiece polityczne musiał godzić z klasówkami w szkole średniej. Jak sam mówi, o wszystkim zdecydowały zapał i pozytywne myślenie. Sessions, od ubiegłego tygodnia burmistrz miasteczka Hillsdale w stanie Michigan (osiem tysięcy mieszkańców), zastąpił na tym stanowisku ponad dwa razy starszego od siebie rywala, dotychczasowego burmistrza.

Sessions zatriumfował mimo symbolicznych kwot wydanych na kampanię. Z 700 dolarów zarobionych w czasie wakacji starczyło na kilkanaście plakatów, ale Michael osobiście odwiedzał mieszkańców, przekonując ich do swojej kandydatury. Burmistrz nadal jest uczniem szkoły średniej i do 14.30 będzie na lekcjach. W swoim nowym biurze w ratuszu będzie urzędował tylko trzy godziny dziennie. Później – jak sam mówi – musi odrobić lekcje. (MJAN)

ZAMACH NA REAKTOR?

AUSTRALIA UDAREMNIŁA ATAK TERRORYSTYCZNY NA JEDYNY W TYM KRAJU REAKTOR NUKLEARNY



Fot. AFP/EAST NEWS

Reaktor nuklearny Lucas Heights w południowym Sydney

Australijska policja aresztowała w ubiegłym tygodniu 18 osób podejrzanych o terroryzm. Trzy z nich zdaniem śledczych planowały zamach na kompleks nuklearny Lucas Heights na przedmieściach Sydney. Władze uspokajają Australijczyków, że „bezpośredniego zagrożenia dla reaktora nie było", ale według innych doniesień celem ataku miała być również stacja kolejowa w Sydney lub Melbourne. Według policji aresztowani stworzyli na terenie Australii siatkę terrorystyczną. Jej lider, duchowny Abu Bakr, wielbił ben Ladena i dążył do męczeńskiej śmierci. W mieszkaniach podejrzanych policja zabezpieczyła chemikalia, broń i komputery, a na jednym z dysków znaleziono przepis na produkcję groźnego materiału wybuchowego. Policja rozbiła siatkę po 18 miesiącach obserwacji. Trójkę podejrzanych zatrzymano w grudniu 2004 nieopodal Lucas Heights, ale zostali zwolnieni z braku dowodów. (MJAN)

Sensacja w świecie HIV

Niedzielne wydanie brytyjskiego „Sunday Timesa" przyniosło sensacyjną wiadomość o pierwszym udokumentowanym naukowo przypadku samodzielnego pozbycia się wirusa HIV przez organizm człowieka. Szczęśliwcem ma być 25-letni Brytyjczyk Andrew Stimpson, który w 2002 roku przeszedł trzy testy na obecność HIV i trzykrotnie uzyskał wynik pozytywny. Powtórzone po roku badania dały wynik ujemny.

Rzecznik szpitala, w którym badano Stimpsona, stwierdził, że obie serie testów z całą pewnością przeprowadzono prawidłowo. Problem w tym, że informacje pochodzą sprzed ponad dwóch lat, a Stimpson odmawiał dotąd poddania się dalszym badaniom mogącym potwierdzić i wyjaśnić jego wyleczenie.



Wirus HIV – powiększony 300 tysięcy razy

Do tej pory nie jest znany przypadek całkowitego usunięcia wirusa HIV z organizmu dorosłego człowieka, choć zdarza się to czasami u dzieci urodzonych przez zakażone matki. Sporo osób, szczególnie w krajach afrykańskich, jest przekonanych, że zdołało się wyleczyć z HIV, jednak nigdy nie potwierdzono tego rzetelnymi badaniami.

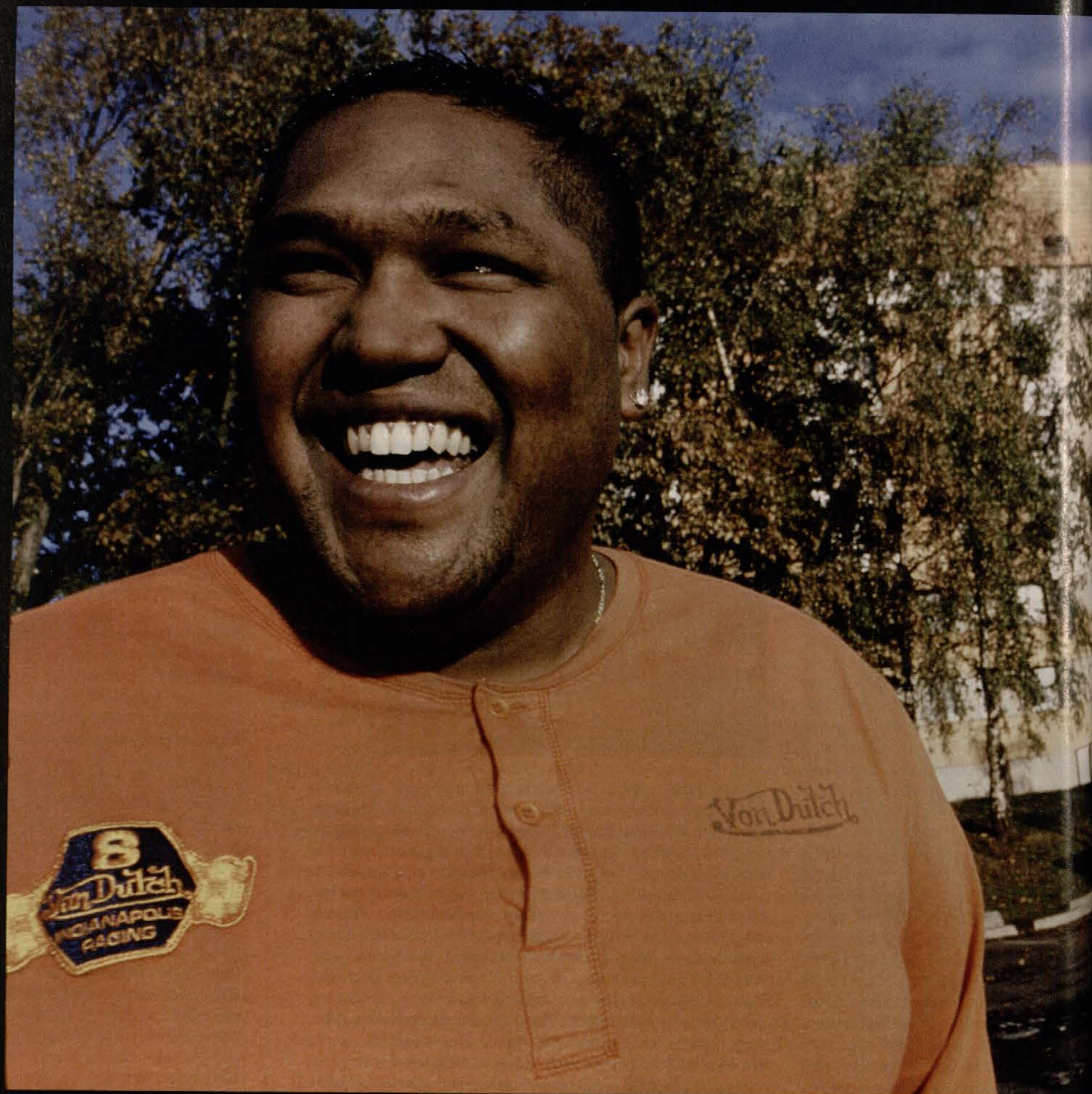
Jedynym prawdopodobnym wyjaśnieniem ozdrowienia Stimpsona jest terapia antywirusowa, ale Brytyjczyk twierdzi, że nigdy się jej nie poddawał. Istniejące testy na HIV pozwalają wykryć określoną liczbę kopii wirusa we krwi, a dobrze prowadzona terapia może doprowadzić do spadku ich liczby poniżej wykrywalnego poziomu.

Po niedzielnej publikacji Andrew Stimpson zadeklarował, że podda się dalszym badaniom. Choć teoretycznie jest szansa, że jego układ odpornościowy poradził sobie z chorobą, z pewnością nie można opierać na niej nadziei na przełom w leczeniu choroby, na którą w tym roku umrze prawie pięć milionów ludzi. (PSTAN)

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, BRATOBICIE

TEKST JAKUB KUMOCH
ZDJĘCIA ANIA FREINDORF

Poza Francją nie ma dla nich miejsca, ale Francja jest dla nich przekleństwem. W podparyskich blokowiskach wśród młodych Arabów i czarnych od lat narasta frustracja i bunt. Jedynie nieliczni mają siłę, by się z tego wyrwać







MAMADOU TRAORE, l. 23: Parę razy byłem u rodziny w Mali. Piękny kraj, mam tam wielu krewnych i lubię tam jeździć. Ale tam nie ma nic do roboty. Tam jest nędza, tutaj jest mimo wszystko normalne życie

MÜMIN ASLAN, l. 18: Bardzo często jeżdżę do Turcji, ale urodziłem się we Francji i zamierzam żyć tutaj. Jestem Francuzem, uważam się za Francuza, nie rozumiem, dlaczego moje państwo jest wobec mnie rasistowskie

Obrzydliwy blok ciągnie się jakiś kilometr wzdłuż trasy prowadzącej z Paryża na lotnisko Roissy. Ali Rahmouni, 29 lat, chudy Arab, okulary, pociągła twarz, wygląd ubogiego studenta, rozpoczyna swój dzień o 8.30 od ogłoszeń o pracę. – Zrobiłem licencjat z literatury francuskiej, ale najpoważniejszą robotą, jaką miałem od tego czasu, było pakowanie posiłków do samolotów Air France – mówi.

Najważniejsze, by nie wypaść z rytmu i nie skończyć jak reszta, cały dzień przed blokiem. – Od rana dzwonię po agencjach. Normalnie to oni informują, jak mają jakąś pracę, ale na jedno miejsce chętnych jest wielu, więc lepiej, żebyś był pierwszy. Potem warto się przejść do urzędu pracy, bo może u nich są ogłoszenia. No i rozsyłanie CV. Najczęściej kłamię, że nie mam żadnego wykształcenia, bo ludziom z uniwerkiem muszą płacić więcej.

Ojciec Alego, Tunezyjczyk, przyjechał do Francji na początku lat 60. Był jednym z setek tysięcy tanich robotników z byłych kolonii. Żadnego wykształcenia, żadnych planów. Dorobił się dziewięciorga dzieci i niczego poza tym. Od ponad 40 lat wynajmuje komunałkę, cztery pokoje na osiem osób. Trójka najstarszych synów pokończyła studia, ale

nigdy nie pracowała w swoich zawodach. Jeden handluje butami, dwóch innych piecze kebaby. Na imigranckim przedmieściu Paryża, w Bondy, praca dla młodych ludzi jest prawdziwym rarytasem. – Znajduję zajęcie, ale najwyżej na tydzień, dwa tygodnie. Miałem krótko pracę w wydawnictwie – opakowywałem książki w folię, zarobiłem w tydzień 300 euro, ale praca się skończyła. Wiesz, kiedyś, jak byłem w liceum, marzyłem, że skończę filologię i zostanę krytykiem literackim. Teraz jedyne, o czym marzę, to żeby mieć cokolwiek na stałe. Żeby na przykład być kierowcą autobusu.

ZAWSZE WIERNI

Mamadou Traore, 23 lata, Malijczyk, wysoki, postawny i zadbany Murzyn pełen życia. Pierwsze pokolenie urodzone we Francji, ośmioro rodzeństwa, bez matury. – Jak byłem na bezrobociu, to spałem albo kręciłem się po okolicy. Od paru miesięcy mam stałą pracę w Auchan. Noszę towar, rozkładam produkty na półkach – mówi.

Jest wyluzowany, gestykuluje, opowiada anegdotki i wygląda na zadowolonego z tego, co ma. Mamadou dostaje minimalną pensję – we Francji tysiąc euro. Dokładnie tyle samo zarabia jego przyjaciel Houssein (22 lata, rodzice Algierczycy, pięcioro rodzeństwa), który pracuje jako mechanik na stacji kolejowej, ale jemu kolej przedłuża kontrakt raz na miesiąc i zawsze może tego nie zrobić. Wynajęcie komunałki kosztuje miesięcznie 750. Na samodzielne życie ich nie stać – obaj mieszkają z rodzicami. Mamadou jakby chciał naraz opowiedzieć całą historię o ponurym Aulnay-sous-Bois. – Wiesz, skąd się tutaj biorą ci wszyscy złodzieje i handlarze heroiną? To proste. Chłopak wychodzi przed blok, wie, że u niego w domu ojciec wszystko dzieli na siedmioro dzieci. I widzi, że ci od obrabiania sklepów chodzą w najlepszych spodniach. A czasem mówią ci po prostu: Idziemy do Ralpha Laurena i jak powiesz, że nie chcesz kraść, to tylko zarwiesz w ryja.

– I wiesz co jeszcze? – Mamadou kontynuuje swoją opowieść. – Tutaj trzeba bronić swoich. Ostatnio pod blokiem widzę, że przyszli ci z drugiej strony trasy – po 16–17 lat, chyba ze 20 ich było, i zaczynają tłuc jednego z naszych. Zbiegliśmy mu pomóc, była niezła jazda, zasunąłem jednemu tak, że leżał na asfalcie. Potem się odgrażali, że jak się któryś pokaże w ich rejonie, to mu łeb urwą. Najgorzej jest zawsze wtedy, jak przychodzą ci z Rabelot. Nienawidzimy się i każdy powód jest dobry, żeby się napieprzać. Taka wojna to rzeź. Oni przychodzą pod bloki i zaczynają wszystkich tłuc, wtedy my wychodzimy z klatek, żeby się bronić. Ci, co handlują narkotykami, biją się jeszcze częściej, że niby ktoś komuś towar podebrał albo że wisi kasę. A oni mają forsę, bo przyjeżdżają do nich po towar aż z Paryża.

W pobliżu dostrzegam kątem oka plakat. „Francuska Partia Komunistyczna. Zawsze wierna ideałom lewicy". Rządzi tym regionem od końca lat 60.

PRACA ZA NAZWISKO

– Myślisz sobie pewnie, że my w tym wszystkim tkwimy, bo chcemy – mówi Nora, 36 lat, jedyna kobieta, która zgodziła się rozmawiać. – Że niby możesz skończyć szkołę, pójść na studia, że do Paryża jest tak blisko i w ogóle jak chcesz, to możesz stać się normalnym Francuzem. Otóż ja się tutaj urodziłam, a dla każdego pracodawcy i tak jestem tylko imigrantką z Algierii. Już po nazwisku widać, że nie warto mi dawać pracy.

Nora jest bardziej francuska niż reszta tutejszych kobiet, które pojawiają się na ulicy tylko po to, by zrobić zakupy. Ubiera się trochę jak facet, ma kogoś, ale nigdy nie założyła rodziny, nie kupuje ciuchów w miejscowym sklepie, gdzie najlepiej schodzą afrykańskie kolorowe sukienki i czarne płaszcze Arabek po kilka euro za sztukę. Kilkanaście lat grała zawodowo w koszykówkę, studiowała politykę społeczną, później pracowała w miejscowej *association des jeunes*, stowarzyszeniu pomagającym młodym znaleźć pracę.

Gdy w 2002 roku do władzy doszła prawica, wprowadziła cięcia budżetowe. Zaczęło się od imigrantów. Stowarzyszenia, które organizowały kursy doszkalające, uczyły pisania CV i prowadziły zajęcia dla dzieci, nagle straciły znaczną część dofinansowania. Ich podopieczni znaleźli się na ulicy. Nora sama szuka pracy od ponad dwóch lat. – Każda rozmowa zaczyna się tak samo: CV mam w porządku, parę kontrolnych pytań, ale na końcu zawsze musi paść to jedno magiczne: „Khalid? A co to za nazwisko?". Odpowiadam, że mój ojciec przyjechał z Algierii, ale ja urodziłam się tutaj. Są mili, jeszcze parę zdań, dziękują za rozmowę. Mówią, że oddzwonią. Nie oddzwaniają.

– Mówisz, że każdy we Francji może skończyć szkołę i pójść na uniwersytet. Teoretycznie tak jest. Ale nasze arabsko-murzyńskie szkoły są zupełnie inne niż te dla rdzennych Francuzów. Szkoła jest jedna, dzieci jest dużo, klasy są przeładowane aż po sufit, a nauczyciele nie chcą pracować na przedmieściach, więc przysyła się tutaj tych najgorszych. Poza tym jeszcze w moich czasach Arabom i czarnym pod koniec szkoły sugerowano, żeby lepiej wybrali sobie profil zawodowy, bo po co im studia? Świadomie robiono z nich robotników i niższą klasę. Ktoś, kto się przebił, musiał mieć naprawdę silny charakter. A myślisz, że szkoła, w której uczą się tylko dzieci imigrantów, ludzie wyrośli w nędzy, motywuje cię w jakikolwiek sposób? Najczęściej i tak wiesz, że skończysz na samym dnie.

ULICA BRATERSTWA

Ulotka w merostwie w Aulnay-sous-Bois: „Program przebudowy miasta polepszy życie codzienne mieszkańców". Ali chce koniecznie opowiedzieć o tym, jak stracił najlepszą pracę w życiu (tę w Air France).

– Pracowałem na lotnisku, więc musiałem mieć specjalną przepustkę. Niestety, któregoś dnia siedzieliśmy pod blokiem, przyszła policja i zrobiła nam „rutynową" kontrolę dokumentów. Coś się nie spodobało, zawieźli nas na komisariat. Zapomniałem o sprawie. Po jakimś czasie dowiaduję się, że straciłem przepustkę na lotnisko, bo jestem „notowany przez policję". A przecież nigdy nikt mnie o nic nie oskarżał...

Policja w opowieściach czarnych i Arabów to horror. Na dzień dobry wycelowana spluwa, mówienie na „ty", obmacywanie po kieszeniach. – Tylko czekają, aż coś odpyskniesz albo będziesz miał nie w porządku papiery. Wtedy lądujesz w komisariacie. Bywały czasy, że miałeś pięć kontroli dziennie i sprawdzali cię ci sami policjanci. A teraz się dziwią, że wywołali tyle nienawiści.

Los sprawi, że kilka godzin po naszej rozmowie sam zobaczę akcję francuskiej policji. Jest pierwsza w nocy, dwie kolumny sił specjalnych otaczają blok na przedmieściu Kremlin-Bissètre, niedaleko stadionu Karola Marksa i liceum Jurija Gagarina (tu wszędzie rządzą komuniści). Pali się tylko kilka świateł, ale śpiące mieszkania natychmiast rozświetlają potężne policyjne reflektory. – Rutynowa kontrola – zapewnia jeden z policjantów. Chwilę później z obudzonego bloku zaczynają dolatywać wyzwiska, a po nich kamienie i butelki. – Po co żeście tu przyszli, burdel robicie! – krzyczy ktoś z górnego piętra. Butelki lecą w kierunku ekipy telewizyjnej. – Nie filmujcie nas jak psy, nie jesteśmy bydłem. Media i władza to to samo – jest ciemno, nie widać, kto krzyczy i kto rzuca.

Wokół rośnie tłum – z klatek jeden po drugim wychodzą młodzi Arabowie i Murzyni, kurtki z misiem,

ALI RAHMOUNI, l. 29:
W Tunezji jest fajnie, ale gdy tam przyjeżdżam, jestem po prostu francuskim turystą. Gdybym mieszkał w Tunisie, mógłbym być dziennikarzem albo krytykiem literackim, ale co to za życie w niedemokratycznym kraju. Nie wyobrażam go sobie. – Politycy często mówią, że imigranci powinni znać francuski, a przecież tu wszyscy mówią po francusku. Niech mnie nie uczą języka – ja mam dyplom z literatury. Nie uważam się za Francuza. Od świtu do nocy to państwo przekonuje mnie, że jestem Arabem, muzułmaninem, ekstremistą i zagrożeniem. Francja nigdy mnie nie zaakceptowała

Rutynowa kontrola policji to dla imigranta horror. Na dzień dobry wycelowana spluwa, mówienie na „ty", macanie po kieszeniach



NORA KHALID, l. 36: **Nie lubię słowa „integracja", to wytrych wymyślony przez polityków. Czego państwo ode mnie oczekuje? Co mam zrobić, by zostać „zintegrowana"? Może mam zmienić wygląd albo nazwisko?**



WILLIAM AUDEMAR, l. 23:
Jak każdy chciałbym mieć dobrą pracę, najlepiej stałą. Ale nawet jakbym miał forsę, nie wyniósłbym się stąd. Tu mam przyjaciół i całe życie

kaptury na głowach, są agresywni, chcą bić obcych i odegrać się na glinach, tłum rośnie, tylko czekać, kto da sygnał do bitwy. Po kilkudziesięciu minutach policja się wycofuje. Nie aresztowała nikogo, przeprowadziła rutynową kontrolę osiedla, pokazała, kto rządzi.

Tylko kulawy Arab, ze 20 lat, gdzieś w oddali od całego zgiełku poddaje się rewizji i posłusznie szuka dowodu. – Popatrz, stoimy tutaj od pół godziny i nikt od nas nic nie chciał, a ten chłopak wyszedł przed blok i od razu: „Dokumenty!" – mówi Amelie, 24-letnia drobna Francuzka, jedna z nielicznych białych w okolicy. – Dlaczego wybrali akurat tego kolesia? – pytam, udając naiwnego. – Bo widzisz, oni uważają, że my jesteśmy trochę bardziej francuscy od niego.

Za plecami Araba widać tabliczkę *rue de la Fraternité*. Ulica Braterstwa.

NIE CHCEMY TU OBCYCH

Plakat wyborczy: „Razem możemy wszystko zmienić. Partia Socjalistyczna", a niedaleko trupia czaszka i wysprejowane graffiti: „Uważaj, prąd jest silniejszy od ciebie". Mümina Aslana, 18-latka z Clichy-sous-Bois, spotykam pod stacją wysokiego napięcia, gdzie na samym początku rebelii przedmieść zginęło dwóch nastolatków. Podobno schowali się przed policją, poraził ich prąd o napięciu kilku tysięcy wolt. Pod bramą leży kilka kwiatów, wokół grupka całkiem przyzwoitych jednorodzinnych domków.

– Bouna i Said byli moimi kumplami, my się tu wszyscy znamy – mówi Mümin. – To wszystko policja zrobiła, to oni, rasiści, są za wszystko winni. Powiedz mi, dlaczego traktują mnie inaczej, tylko dlatego że jestem trochę ciemniejszy?

– Francuzów nie łapią?

– Jakich Francuzów? My wszyscy jesteśmy Francuzami, co to za rasizm? Urodziłem się tutaj, mam obywatelstwo, jestem takim samym Francuzem jak inni.

Mümin jest niewysoki, ale widać, że pakuje w siłowni, jak wszyscy tutejsi nosi skórzaną kurtkę. Uczy się w miejscowym liceum Afreda Nobla. Jest najstarszym synem tureckiego mechanika samochodowego. Ojciec wydostał się na Zachód w latach 80., we Francji urodziła się cała szóstka jego dzieci. Mümin jest najstarszy. Sprawia wrażenie bardzo obrotnego, ma turecką siłę przetrwania, coś, co powoduje, że imigranci z Anatolii rzadko cierpią w Europie nędzę. Po szkole dzieli czas między treningi kick-boxingu i dorabianie w McDonald's.

– Kręciłem się koło tej roboty, bo znam szefa zmiany. Pracuję 15 godzin w tygodniu, mam jakieś 400 euro miesięcznie. Wystarczy, żeby sobie kupić jakieś ubrania albo sprzęt. Patrz, stać mnie na komórkę. Nie narzekam.

Zaprasza do siebie, ale tuż pod jego blokiem wyrasta cała banda miejscowych. Z dala kilkunastopiętrowy budynek wygląda na spokojny, ale na przywitanie lokalni wychodzą z klatek i z samochodów. – Mümin, mówiliśmy ci, że nie chcemy tu obcych. Nie będziemy z nikim rozmawiać – mówi jeden z nich. Żegnamy się. – W tym roku kończę szkołę i idę do Paryża na studia – mówi.

Wierzy, że się stąd wyrwie. Bo mimo wszystko wielu się wyrwało – ci najsilniejsi wyprowadzili się, choć nie zawsze wylądowali na wyżynach (za przykład największego sukcesu miejscowi stawiają faceta, który został księgowym). Na jednego takiego przypada jednak wielu, którzy jak William (pół Senegalczyk, pół Wietnamczyk, tymczasowa praca kasjera w Ikei) mówią, że za nic nie opuściliby blokowiska („Tu mam przyjaciół i całe życie"). Mümin jest przekonany, że jemu się uda. Na razie mu się udaje. – Pójdę na studia, za kilka lat skończę informatykę, zostanę inżynierem, znajdę pracę. Ja sobie w życiu poradzę.

JAKUB KUMOCH, PARYŻ

Więcej na ten temat w raporcie specjalnym w wp.pl w serwisie **www.wiadomosci.wp.pl**

TARGI O MUMIĘ

W Rosji ruszył przetarg o ciało Lenina. Gotowość pochowania wodza rewolucji u siebie zgłaszają kolejne miasta, komuniści protestują przeciw szarganiu „świętości", a Kreml sprawdza, czy Rosja dojrzała do rozstania z przywódcą bolszewików

Jakub Kumoch

Lenin przyjmuje przez trzy godziny dziennie, we wtorki, środy, czwartki i soboty. Zwyczajowo zamyka się wówczas cały plac Czerwony. Do szpiczastej piramidy należy wejść powolnym, dostojnym krokiem, najlepiej ze spuszczoną głową. Potem z powagą na twarzy – tutejsza straż nie toleruje żartów – obejść leżącą w czerwonawej poświacie szklaną puszkę. Przez ponad 80 lat trupowi Włodzimierza Iljicza Lenina pożółkła skóra, podobno wszystko oprócz twarzy i rąk jest już tylko atrapą.

Poza „godzinami przyjęć" do mauzoleum wszedł jedynie amerykański multimiliarder Armand Hammer, który zrobił milionowe interesy na handlu sowiecko-amerykańskim. Gdy w 1924 roku nie chciano go wpuścić w środku nocy, wyciągnął zza pazuchy papier z datą sprzed trzech lat: „Petenta Hammera wpuszczać do mnie o dowolnej porze. Lenin".

Polak, który zażartował, że po godzinach „Lenin odpoczywa", mało nie przypłacił tego aresztowaniem. Nie odpoczywa. Gdy drzwi mauzoleum zatrzasną się za ostatnim gościem, wnętrze zamienia się w poligon specjalistów od balsamowania, utrzymywania wilgoci i temperatury, ekspertów od klimatyzacji i efektów świetlnych, meteorologów, lekarzy i charakteryzatorów. Raz na półtora roku ciało wodza rewolucji jest poddawane gruntownej renowacji. Walerij Bykow jest szefem Centrum Technologii Biomedycznych. Do 1991 roku jedynym zadaniem tej instytucji była troska o ciało wodza. – Systematycznie przeprowadzamy badania kontrolne ciała – mówił dziennikarzom. – Gwarantują one jego długie zachowanie. Przetrwa ono co najmniej sto następnych lat.

LENIN CHCIAŁ DO GROBU

Rosja nie jest jednak pewna, czy chce się przekonać o trwałości mumii. Ludzie Kremla zaczynają sugerować, że zmarły w styczniu 1924 roku Władimir Iljicz Uljanow, pseudonim „Lenin", powinien spocząć wreszcie w grobie. – Oddajmy go matce ziemi – powiedział przedstawiciel prezydenta Władimira Putina Georgij Połtawczenko. – Nie róbmy z Rosji starożytnego Egiptu – apelowała gubernator Petersburga Walentina Matwijenko. – Ogromne kolejki z dziećmi stoją na słońcu tylko po to, żeby zobaczyć trupa. Nie portret, nie fotografię, nie film i nie kronikę, lecz trupa! Czy to normalne w chrześcijańskim kraju? – mówił na konferencji znany rosyjski reżyser Nikita Michałkow.

Ale jest też przeciwna strona. Komuniści, wciąż siła polityczna numer dwa, traktują każdą próbę zamknięcia mauzoleum jak zamach na świętość. Ostatnio protestowali tydzień temu, w rocznicę rewolucji październikowej. „To przejaw cynizmu i niemoralności obecnych władz – napisał w buńczucznym oświadczeniu lider komunistów Giennadij Ziuganow. – Nasza partia ocenia bluźniercze słowa o pochówku Lenina jako pozbawione odpowiedzialności, prowokacyjne, obrażające uczucia naszych obywateli oraz rzucające wyzwanie historii kraju i zdrowemu rozsądkowi".

Debata o chowaniu Lenina trwa od rozpadu Związku Radzieckiego, jednak w Rosji jest tylko jedna osoba, która może ten pomysł zrealizować. Władimir Putin. Jego przedstawiciele sondują sytuację. – Dlaczego człowiek, który zaczął w Rosji krwawą wojnę domową, leży dziś w stolicy? – powiedział dziennikarzom Połtawczenko. Po tej wypowiedzi rozeszły się pogłoski, że likwidacja mauzoleum jest już przesądzona i że Putin wyznaczył urzędnika odpowiedzialnego za pochówek Lenina.

Na Kreml naciska Cerkiew prawosławna, dziś sojusznik władz, która od lat domaga się rozbiórki faraońskiej piramidy. – Wokół prezydenta jest wielu ludzi związanych z Cerkwią, którzy chcą usunąć relikt komunizmu z placu Czerwonego, ale na Kremlu przeważa niezdecydowanie – mówi „Przekrojowi" jeden z ideologów Kremla Walerij Fiodorow.

Sam Lenin nigdy nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Za życia prosił, by pochowano go u boku matki w Petersburgu, jednak już trzy dni po jego śmierci na placu Czerwonym stał gotowy do przyjęcia zabalsamowanych zwłok budynek. Protesty wdowy po Leninie Nadieżdy Krupskiej zignorowano. Od tej pory rytuał zwiedzania jest stały – po rozpadzie Związku Radzieckiego zniknęło jedynie składanie kwiatów pod mauzoleum przez „najwyższe czynniki państwowe".

NOWE POMNIKI DLA WODZA

Według ostatniego sondażu 51 procent chce pochówku Lenina, ale aż 40 procent jest przeciwko. Do tego cztery piąte uważają, że mauzoleum – z Leninem czy bez – powinno pozostać. – Ta debata przypomina mi trochę dyskusję nad waszym Pałacem Kultury – mówi „Przekrojowi" rosyjski socjolog Jurij Lewada. – Na początku było głośno, że to relikt, że komunistyczny, a potem ludzie się przyzwyczaili. My też się przez tyle lat przyzwyczailiśmy. Rosjanin myśli czasem bardzo prosto: jest plac Czerwony, to jest i mauzoleum.

Anonsując zamiar pochowania Lenina, Kreml zupełnie nieświadomie ogłosił nieformalny przetarg. Po prawo pochowania ciała ustawia się kolejka, bo miasto, któremu przypadnie grób przywódcy światowego proletariatu, będzie ściągało do siebie turystów. Pierwszy walkę podjął Uljanowsk, dawny Symbirsk – miasto na Powołżu, gdzie Lenin spędził pierwsze 17 lat życia. – Uważam za rzecz konieczną zwrócenie się do prezydenta i rządu, by rozważyli możliwość pochowania Lenina tutaj, obok mogiły jego ojca – ogłosił miejscowy gubernator Siergiej Morozow.

Na kontrofertę nie trzeba było długo czekać. Nadkaspijska Kałmucja, autonomia, w której mieszka 300-tysięczny buddyjski naród, przypomniała sobie, że jeden z przodków Lenina był podobno Kałmukiem. – My o swoich rodakach nie zapominamy, a historię nauczono nas czcić – oznajmił prezydent autonomii, ekscentryczny milioner Kirsan Iłumżynow. Po czym przebił Morozowa, rzucając cenę – milion dolarów, jeżeli Moskwa zgodzi się na wybudowanie Leninowi nowego mauzoleum w kałmuckiej stolicy Eliście.

Ale w czasie gdy Kreml próbuje raz na zawsze rozwiązać kłopot z najsłynniejszym trupem świata, nostalgia za Leninem nie ustępuje. To, że w niewielu miastach zlikwidowano ulice, place i pomniki Lenina, nikogo nie dziwi. Dziwi to, że wciąż powstają nowe. W październiku 500 osób przyglądało się, jak władze syberyjskiego Ust-Kut pod Irkuckiem ponownie wznoszą pomnik wodza rewolucji. Umieściły na nim prosty napis: „Mąż stanu Włodzimierz Lenin". Co gorsza, pomnik Lenina przywrócił też Kaliningrad, najbardziej zachodnie miasto Rosji, dawny Królewiec. Stanął na nowo utworzonym placu Lenina. – Według sondaży 18 procent naszych mieszkańców z szacunkiem traktuje tę postać. Nie mamy prawa ignorować opinii tych ludzi – mówił mer Kaliningradu Jurij Sawienko. ■



Przez 80 lat za szybą ciało Lenina zamieniło się w pożółkłą, nadmuchaną kukłę. Choć według niektórych Włodzimierz Iljicz wygląda dziś lepiej niż pod koniec życia



Wawrzyniec Smoczyński

Fot. Marek Szczepański

POLITYKA ZAGRANICZNA, GŁUPCZE!

OD WYBORÓW POLSKA MA W EUROPIE FATALNĄ PRASĘ. NAJWYŻSZY CZAS, BY NOWY RZĄD NA SERIO ZAJĄŁ SIĘ POLITYKĄ ZAGRANICZNĄ. DLA WŁASNEGO I WSPÓLNEGO DOBRA

Polska już dawno nie cieszyła się w zachodnich mediach tak dużym zainteresowaniem i chyba jeszcze nigdy nie przeżyła takiej katastrofy wizerunkowej. Z lewa nowo wybrana władza obrywa za radykalizm i zaściankowość, z prawa za przesadny konserwatyzm i marne przygotowanie do rządzenia, z obu stron za populizm, eurosceptycyzm i wstecznictwo. W nawale skrajnych, często niesprawiedliwych ocen niektórych gazet wyrok „Economista" brzmi łaskawie: pod rządami „króla Lecha" i PiS polska polityka nabierze „gaullistowskiego odcienia – będzie teraz nacjonalistyczna, przywiązana do interesów rolniczych, z dozą polskiego klerykalizmu".

Większość Europy nie wie, co myśleć o Polsce braci Kaczyńskich. Niepewność panuje w stolicach, największa w Brukseli. Komisja Europejska zdążyła już oprotestować likwidację biura pełnomocnika rządu do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn, skrytykowała wypowiedź minister finansów o ograniczeniu hipermarketów i powiększeniu deficytu budżetowego, a gratulując zwycięstwa Lechowi Kaczyńskiemu, przypomniała mu, że w razie przywrócenia kary śmierci Polsce grozi utrata prawa głosu w Unii.

CZEGO CHCE POLSKA?

Polsce Kaczyńskich nic takiego nie grozi, ale jedno jest pewne: nowego prezydenta i premiera powita w Unii baczny chłód i będą musieli zapracować na zaufanie zachodnich partnerów. Pojednawcze wypowiedzi Kaczyńskiego dla niemieckiej i rosyjskiej prasy zostały przyjęte z ulgą, ale deklaracje nie wystarczą. Dla Europy Zachodniej zdecydowanie bardziej wymowna jest taktyczna koalicja PiS z LPR i Samoobroną. Nazywanie Brukseli „miastem, w którym ustala się jakieś subwencje rolne" (Lech Kaczyński), trudno uznać za dobry początek relacji z Unią.

Nowy rząd musi nie tylko przekonać do siebie Europę. Przede wszystkim – czy tego chce, czy nie – przyjdzie mu nadać polskiej polityce zagranicznej nowy kierunek. Jeśli hasło Aleksandra Kwaśniewskiego „Silna Polska w silnej Europie" wydaje się dziś banalnym truizmem, to dlatego, że sformułowany w nim cel został w dużej mierze osiągnięty. Polska jest silna i samodzielna, a jeśli coś ogranicza dziś jej pozycję międzynarodową, to przede wszystkim brak pomysłu na jej rolę w świecie i długofalowej strategii jej urzeczywistnienia. Polska nie wie, kim chce być.

Exposé Kazimierza Marcinkiewicza nie przyniosło odpowiedzi na to pytanie. „Rozwój dzięki Unii, bezpieczeństwo dzięki Ameryce" to stwierdzenie faktów, opis rzeczywistości geopolitycznej, w dużej mierze niezależnej od Polski. Konieczność godzenia polskich interesów w Brukseli z tymi w Waszyngtonie jest oczywista, a fantazje o pojednywaniu Europy z Ameryką snuł już poprzedni rząd. Marcinkiewicz nie ma własnej wizji Polski w świecie – stawia na kontynuację tego, co robili jego poprzednicy.

Jednocześnie w „nowej" polityce zagranicznej rysuje się już niespójność. Szef dyplomacji Stefan Meller w swoim wystąpieniu przed komisją spraw zagranicznych Sejmu postawił akcent na politykę unijną i naprawę stosunków dwustronnych w Europie, tymczasem prezydent elekt w nielicznych wypowiedziach daje pierwszeństwo stosunkom ze Stanami Zjednoczonymi, a w pierwszą zagraniczną podróż jedzie do Waszyngtonu. Unia wciąż czeka na gest. Kaczyński wycofał się z konfrontacyjnej linii wobec Niemiec i Rosji, ale w pierwszą europejską podróż wybiera się do Watykanu. Jeśli chce, by ta wizyta została odebrana jako gest duchowy, a nie polityczny afront wobec Europy Zachodniej, do Stolicy Apostolskiej powinien pojechać przed wyjazdem do USA.

MIĘDZY EUROPĄ A AMERYKĄ

Waszyngton i Bruksela są dla Polski równie istotne, ale wbrew stategii Kaczyńskiego to Unia jest miejscem, gdzie możemy dziś najwięcej zyskać i stracić. I nie chodzi o fundusze, lecz o polityczne wpływy.

Dotychczasowa strategia potulnego wchodzenia w doraźne sojusze z silniejszymi i sprzedawania poparcia za obietnice pomocy finansowej nie wzmacnia naszej pozycji, poza tym traci sens wobec słabnącej roli Francji i Niemiec. Dla wizerunku ma opłakane skutki. – Polska polityka w Unii jest postrzegana jako niespójna i ukierunkowana na własny interes. Jej niektóre posunięcia każą się zastanawiać, czy Polska rozumie, na czym polega UE – mówi Katinka Barysch z Centre for European Reform w Londynie. Po półtorarocznym członkostwie nadszedł czas, aby Polska przestała traktować Brukselę wyłącznie jako plac boju o pieniądze i zaczęła prowadzić w Unii twórczą politykę.

Okazja jest na wyciągnięcie ręki. Unia od pół roku tkwi w politycznym impasie, bo stare państwa członkowskie nie są w stanie porozumieć się co do drogi dalszego rozwoju, a jednocześnie wiedzą, że są na siebie skazane i nową drogę muszą obrać wspólnie. Widoczny w Niemczech i Francji kryzys europejskiego modelu społecznego sprawił, że Unia desperacko szuka już nie tylko nowej tożsamości politycznej (fiasko traktatu konstytucyjnego), ale też nowej doktryny społeczno-gospodarczej. Idei, która dałaby odpowiedź na narastający niepokój społeczeństw wobec globalizacji i rozbudziła wiarę w sens reform, której brak paraliżuje dziś Unię.

„Financial Times" przed niedawnym szczytem Unii w Londynie namawiał Chiraca, Schrödera i Blaira, by posłuchali, co mają do powiedzenia nowe państwa członkowskie. Niektórzy czekają na nasz głos tak długo, że stracili już nadzieję, iż nasz region wniesie cokolwiek do europejskiej debaty. Po polskich wyborach Jonathan Steele na łamach „Guardiana" ogłosił „śmierć nowej Europy". Trudno ogłaszać śmierć czegoś, co się jeszcze nie narodziło, ale przedwczesny nekrolog Steele'a zawiera ważną implikację: „stara" Europa oczekuje od nas intelektualnego wkładu w debatę o przyszłości Unii. Dziś milczymy z wyboru, a nie dlatego, że kazał nam tak Jacques Chirac.

PRECZ Z KOMPLEKSAMI

W Unii najlepiej sprawdzają się kraje umiejące dyskretnie dbać o swoje i przekonująco zabiegać o wspólne dobro. Potrafiące zarówno walczyć, jak i chodzić na kompromisy. By zrównoważyć swój roszczeniowy wizerunek, Polska powinna wyjść z głośną, ogólnoeuropejską inicjatywą – na przykład zapoczątkować regionalny blok na rzecz reform wewnętrznych Unii. W brukselskiej polityce zdominowanej dziś przez partykularne interesy, obstrukcję i poczucie bezwładu taka inicjatywa mogłaby przynieść przełom i zostałaby dobrze odebrana.

Silniejsza pozycja w Unii przekłada się bezpośrednio na stosunki dwustronne z krajami członkowskimi, ale kluczem do ich poprawy jest porzucenie kompleksów. Z Francją wypada zakończyć kilkuletni kryzys po wyskoku Jacques'a Chiraca i korzystając z jego pojednawczej postawy, ułożyć nowe stosunki na wyraźnie partnerskich zasadach. W relacjach z Niemcami należy wykorzystać powołanie nowych rządów do puszczenia w niepamięć urazów i otwarcia nowego rozdziału, zwłaszcza że zależy na tym nowej kanclerz – Angela Merkel chce odwiedzić Warszawę tego samego dnia co Paryż.

Jeśli Polska chce świadomie kształtować swoją politykę zagraniczną, musi wymyślić realistyczne cele, jakie chce osiągnąć w relacjach z poszczególnymi krajami, i zaplanować spójne i inteligentne strategie, które ją do nich przybliżą. Szczególnie w stosunkach z Niemcami potrzebny jest nowy projekt, który zmarginalizowałby kwestię Centrum przeciw Wypędzeniom i sprawę restytucji mienia poniemieckiego na ziemiach zachodnich. Myśląc czysto pragmatycznie, Niemcy nie mają dziś powodu, by o stosunki z Polską dbać bardziej niż o relacje z innymi krajami. Wręcz przeciwnie – retoryka PiS usprawiedliwia dystans wobec Warszawy.

Z Rosją nowa władza musi być jeszcze ostrożniejsza niż poprzedni rząd, bo samo zwycięstwo PiS osłabiło nasz i tak niewielki wpływ na politykę Unii wobec Moskwy. Jeśli nowy rząd chce to zmienić, powinien postawić wszystko na jak najbliższe stosunki z Angelą Merkel, która trzyma Putina na dystans.

Warto powściągnąć wylewność wobec USA – wojna w Iraku pokazała, że specjalne partnerstwo jest pustym frazesem, a obecna administracja ma Polsce niewiele do zaoferowania. Gesty warto zachować dla następnego prezydenta.

WIĘCEJ PUBLICZNEJ DYPLOMACJI

Najlepsza strategia nie przyniesie rezultatów, jeśli Polska nie poprawi swojej komunikacji i wizerunku. Obecna zła prasa wynika po części z tego, że Polska nie potrafi przedstawiać, tłumaczyć i skutecznie bronić swoich racji za granicą. Zbyt często posługujemy się argumentem interesu narodowego i niezrozumiałych za granicą racji historycznych, nie potrafimy też ubierać naszego interesu w dobro wspólne. I najważniejsze: adresatami naszych działań są prawie wyłącznie decydenci – polska polityka zagraniczna to przede wszystkim rozmowy za zamkniętymi drzwiami.

Tymczasem spora część polityki międzynarodowej, zwłaszcza unijnej, toczy się dziś w sferze publicznej. To tam buduje się wizerunek kraju, przedstawia swoje racje, przygotowuje grunt pod posunięcia polityczne, buduje koalicje i wypracowuje kompromisy. Debata publiczna ułatwia też rozmowy na trudne tematy. Aktualny spór o kierunek rozwoju Unii nie odbywa się tylko na szczytach. Debata trwa przede wszystkim w sferze publicznej – brytyjscy politycy i członkowie Komisji Europejskiej przekonują do swojej wizji w czołowych kontynentalnych dziennikach, a Jacques Chirac odpowiada esejem w londyńskim „Financial Times".

Jeśli Polska chce, by ją słyszano, musi robić to samo. Dlaczego przed podpisaniem umowy o gazociągu bałtyckim polski prezydent nie wytłumaczył we „Frankfurter Allgemeine Zeitung" przyczyn sprzeciwu Polaków? Dlaczego nie zaprosił na wywiad dziennikarzy „Der Spiegla"? Dlaczego podczas kryzysu na Białorusi Polska nie potrafiła nagłośnić tej sprawy w zachodnich mediach, na przykład przygotowując oficjalny raport o łamaniu praw człowieka w tym kraju lub wysyłając do stolic europejskich specjalnego pełnomocnika MSZ?

Publiczna dyplomacja za pośrednictwem mediów, organizacji pozarządowych i parlamentów narodowych to kluczowa część polityki zagranicznej każdego europejskiego kraju i główne narzędzie budowania własnego wizerunku za granicą. Dziś autopromocja Polski kuleje, i to nie z braku pieniędzy. Dobrą ilustracją jest ostatni spot telewizyjny „promujący" Polskę w CNN i BBC – dzieło w barwach kliszy ORWO i o wymowie zbliżonej do ulotki Centrali Handlu Zagranicznego PRL nie mówi o dzisiejszej Polsce dokładnie niczego poza jednym: że nie potrafimy się zareklamować. Kampania z polskim hydraulikiem, która wywołała w Polsce taki zachwyt, zamiast tworzyć nowy wizerunek, utrwala stereotypy. W myśl tej logiki w Niemczech powinniśmy reklamować się hasłem „Odwiedź Polskę. Twój samochód już tam jest", a w Stanach sloganem „Przyjedź do nas popracować na czarno".

DYLEMAT PIS

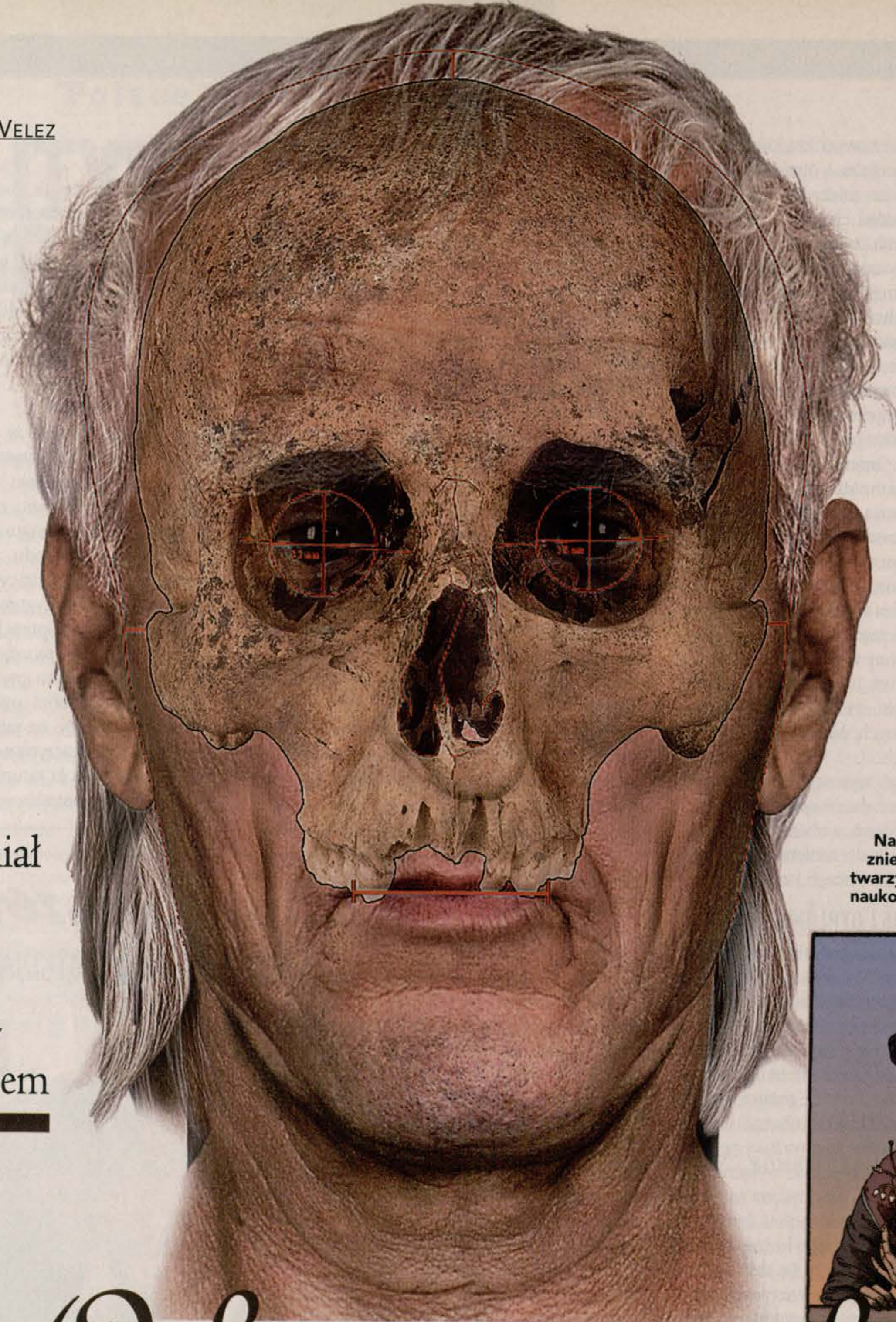
Wielu powie, że nie ma o czym rozmawiać – PiS jest partią eurosceptyczną, na politykę zagraniczną patrzy wyłącznie w kategoriach obrony interesu narodowego, prezydent elekt i premier unikają spraw zagranicznych, a pochodzący spoza politycznego układu szef dyplomacji Stefan Meller nic nie wskóra. Prawda jest jednak inna: PiS nie może sobie pozwolić na klęskę w polityce zagranicznej i będzie zmuszone do stworzenia jej na nowo.

Po pierwsze, dlatego że jej obecna koncepcja się wyczerpała, a kontynuowanie tej strategii osłabiłoby pozycję Polski w świecie. Po drugie, dlatego że nie robiąc nic, nowa władza ryzykuje polityczną izolację. Ostatnie dwa tygodnie pokazały, że presja Zachodu zmusiła Kaczyńskich do porzucenia konfrontacyjnej retoryki i szeregu ustępstw – PiS zrezygnowało z kary śmierci, utworzyło urząd do spraw kobiet, po krytyce Komisji Europejskiej zaczęło też zwracać uwagę na wizerunek rządu za granicą. Wreszcie po trzecie, dlatego że dobra polityka zagraniczna to sprawdzony sposób na ratowanie notowań, gdy sytuacja w kraju zaczyna wymykać się spod kontroli. A takiego koła ratunkowego PiS może już wkrótce bardzo potrzebować. ■





Marcel Andino Velez



Ilustracja: NADKOM. MGR DARIUSZ ZAJDEL/CENTRALNE LABORATORIUM KRYMINALISTYCZNE KOMENDY GŁÓWNEJ POLICJI W WARSZAWIE

Wiemy już, że **KOPERNIK** miał zdrowe zęby i krzywy nos, ale wciąż nie wiemy, czy czuł się Polakiem

O knowaniach sfer niepolskich

Nowina o odnalezieniu szczątków Kopernika trafiła na czołówki gazet w Polsce, odnotowały ten fakt także dzienniki zagraniczne. Kierujący pracami archeologicznymi profesor Jerzy Gąssowski z pułtuskiej Wyższej Szkoły Humanistycznej przez kilka dni nie robił nic innego, tylko rozmawiał z dziennikarzami. Ku zaskoczeniu profesora tematem pytań była najczęściej kwestia narodowości Kopernika. – A jakie to ma znaczenie, czy on był Polakiem, czy Niemcem?! Dajmy spokój z tymi nacjonalizmami. W dzisiejszych czasach powinniśmy go uznać za wzór Europejczyka – mówi profesor.

Łatwo powiedzieć. Tymczasem nieżyjący od niemal pół tysiąclecia kanonik fromborski potrafi do białości doprowadzać ludzi epoki Internetu. Emocje nie dotyczą tego, czy „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię". Chodzi właśnie o kwestię, „które go wydało plemię".



Na autoportretach widać zniekształconą lewą stronę twarzy Kopernika. To pomogło naukowcom odtworzyć oblicze astronoma

THORUNIANIN

Każda próba zakwestionowania polskości Kopernika to cios w samo serce polskiej dumy narodowej. Jak czułe to miejsce, można się przekonać, zaglądając do Internetu. Spór o Kopernika toczy się głównie na stronach Wikipedii – Wolnej Encyklopedii internetowej, która została pomyślana jako otwarta, kosmopolityczna świątynia wiedzy. W tej świątyni Polacy i Niemcy urządzają sobie gorszącą pyskówkę. Uwolnieni od pośrednictwa przewodników turystycznych, komisji podręcznikowych i specjalistów od pojednania internauci ujawniają prawdziwy stan uczuć względem sąsiadów z drugiej strony Odry.

Kto myśli, że o faktach nie należy dyskutować, lepiej niech nie próbuje korzystać z Wikipedii. Tam nawet miejsce urodzenia Kopernika jest kwestionowane.

Wiadmo, że astronom urodził się 19 lutego 1473 roku. Ale czy aby na pewno miasto, w którym przyszedł na świat, nazywało się Toruń?



Fot. WOJCIECH GAJEWSKI/PAP (2)

Odnaleziona czaszka pozbawiona jest żuchwy. Można było ją odtworzyć dzięki zachowanemu w dobrym stanie górnemu uzębieniu



Archeolodzy kopali pod posadzką fromborskiej katedry, zmagając się z ciekawskimi turystami i amboną grożącą zawaleniem

W XV wieku przytłaczająca większość mieszkańców tego zamożnego pruskiego miasta była przekonana, że nazywa się ono Thorn. Dopiero siedem lat przed narodzinami Kopernika na mocy II pokoju toruńskiego stało się częścią Królestwa Polskiego wraz ze sporym fragmentem państwa krzyżackiego, które od tamtej pory znane jest jako Prusy Królewskie.

Spełniło się w ten sposób dążenie kilku pokoleń pruskiego mieszczaństwa i szlachty. Uwolnili się od krzyżactwa. Tylko że w związku z tym nikt żywiołowo nie zamieniał tabliczek z nazwami miejscowości z niemieckich na polskie, żadnego „przyłączenia do macierzy" nie świętowano – ani tabliczek, ani macierzy jeszcze wtedy nie wymyślono. Prusy aż do upadku I Rzeczypospolitej były lojalną wobec polskich królów i państwa dzielnicą autonomiczną, gdzie dominował język niemiecki. I tak też było w domu rodzinnym Mikołaja Kopernika.

Wikipedyści niemieccy zżymają się na używanie polskiej nazwy miasta. Uważają, że należy posługiwać się taką nazwą, jaka dominowała w czasach, których sprawa dotyczy. Argumentują, że nie mówi się o „blokadzie Sankt Petersburga", tylko o „blokadzie Leningradu", mimo że to miasto dziś nie nazywa się Leningrad. Polacy z kolei dostają szału na widok nazwy Thorn. Na szczęście pozostaje łacińska Thorunia, która brzmi jak werdykt Salomona.

NATIO GERMANORUM

„Mikołaj Kopernik" to też jest problem. Ojciec astronoma o tym samym co syn imieniu pisał się Nikolas Koppernigk. To dolnośląskie nazwisko pochodzące od nazwy miejscowości leżącej koło Nysy. Dziś, a jakże, nazywa się ona swojsko – Koperniki.

Kopernik senior urodził się jednak nie w pipidówce na Dolnym Śląsku, lecz w królewskim Krakowie, co z kolei dla niektórych polskich wikipedystów jest żelaznym argumentem za tym, że był Polakiem. Niestety, to mało prawdopodobne, bo mieszczaństwo krakowskie w większości było niemieckie. Od biedy można Koppernigka uznać za potomka zniemczonych Słowian śląskich. W Toruniu, dokąd przeprowadził się już jako dorosły mężczyzna, Kopernik senior pojął za żoną Barbarę Watzenrode z niemieckojęzycznego toruńskiego rodu patrycjuszy. Mieli czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów. Na młodszego z całą pewnością mówili „Nikolas".

Nikolas miał dziesięć lat, gdy Koppernigk senior zmarł. Każde polskie dziecko wie, że opiekę nad przyszłym astronomem przejął wówczas brat matki, biskup warmiński Łukasz Watzenrode. I że ów wuj Łukasz pokierował przyszłą naukową i kościelną karierą Mikołaja. W angielskiej Wikipedii można przeczytać wpis rozsierdzonego polskiego wikipedysty, że Watzenrode nie był Niemcem, bo nie miał „von" przed nazwiskiem.

Wykształcony zgodnie z wolą wuja astronom, według normy epoki, wybrał łacińskie brzmienie swojego nazwiska – ówczesny obieg

literatury naukowej, przyspieszony ogromnie przez upowszechnienie druku, oparty był na wspólnej wszystkim Europejczykom łacinie. Ale w dokumentach uniwersytetów w Krakowie, Bolonii i Padwie, gdzie studiował, zachowały się różne pisownie nazwiska, nie tylko Copernicus. W piśmie dla padewskiego notariusza z 1 stycznia 1503 roku widnieje nazwisko Nicolas Copernik – jest to najstarszy zachowany rękopis astronoma.

Ku rozpaczy wikipedystów walczących o polskość Kopernika on sam na uniwersytecie w Bolonii zapisał się do związku studentów niemieckich. W przechowywanych do dziś na bolońskiej uczelni rocznikach Clarissime Nationis Germanorum pod datą 6 stycznia 1497 roku zapisano wpłatę: „Dominus Nicolaus Kopperlingk de Thorn grossetos novem". Dziewięć groszy za prawo uczestniczenia w wykładach prawa, za które profesorom płacił związek, pochodziło właśnie ze składek. To był cel należenia do takich organizacji. Czy wieczorami Kopernik z innymi studentami śpiewał przy piwie niemieckie pieśni – nie wiadomo.

PODDANY ZYGMUNTA

Za polskością miałby z kolei przemawiać list, który w imieniu kapituły warmińskiej napisał Kopernik do Zygmunta Starego w 1516 roku. Jest to piękny literacki lament poddanego polskiego króla na „zbrodniczych i bezczelnych ludzi", którzy w państwie krzyżackim „się dotychczas wylęgali" i „gdzie się na nas zbroją". Z tego, że Kopernik jako administrator w diecezji warmińskiej odpierał ataki Krzyżaków, od pokoleń robi się koronny dowód na jego polskość. W polskiej Wikipedii lista argumentów „za" zawiera także i ten, że Kopernik swoje dzieła dedykował królowi polskiemu.

> Ku rozpaczy walczących o polskość Kopernika, on sam na uniwersytecie w Bolonii zapisał się do związku studentów niemieckich

Ogromne emocje budzi też sformułowanie „polski astronom" obowiązujące powszechnie w światowym piśmiennictwie.

Przytomni wikipedyści argumentują, że Stefan Batory – siedmiogrodzki Węgier – był polskim królem, a Gall Anonim – polskim kronikarzem, niezależnie od ich ojczystego języka i pochodzenia etnicznego. Uprzejmy autor hasła „Kwestia narodowości Kopernika" wyjaśnia, że: „przez bycie na przykład narodowości żydowskiej czy kaszubskiej człowiek nie traci w żadnym sensie prawa do bycia Polakiem, a tym bardziej do bycia polskim uczonym, prawnikiem, pisarzem".

Taki łagodny ton rzadko panuje w dyskusji. Polacy pieklą się częściej, ale Niemcom też puszczają nerwy. „Niech sobie Polacy wezmą Kopernika. (...) Jeśli Kopernik jest Polakiem, to pewnie z przechrzczonej żydowskiej rodziny. W Polsce tylko Żydzi byli w stanie zrobić coś poprawnie" – pisze jakiś desperat.

Kompromis jest jednak możliwy. „Kopernik był narodowości unijnej, bo obecnie Frombork znajduje się w Unii" – proponuje wikipedysta Lucky_Luke.

Zamiast toczyć jałowe spory, lepiej uświadomić sobie, że 500 lat temu poddani polskiego króla mogli, nie wyjeżdżając z Rzeczypospolitej, dokonywać rewolucyjnych odkryć. Czy kiedyś znów będzie tak dobrze?

MARCEL ANDINO VELEZ


Rekonstrukcja: nadkom. mgr Dariusz Zajdel

KOPERNIK LEŻAŁ TRZYNASTY

Doczesne szczątki Mikołaja Kopernika pod kamienną posadzką fromborskiej katedry czekały na odkrycie 462 lata. Udało się to archeologom z Wyższej Szkoły Humanistycznej imienia Aleksandra Gieysztora w Pułtusku.

Teraz gdy komputerowy portret sędziwego Kopernika obiegł świat, dyrektor instytutu profesor Jerzy Gąssowski i kierownik zakładu badań archeologicznych Beata Jurkiewicz opowiadają o swych poszukiwaniach.

Trudno było?

PROFESOR JERZY GĄSSOWSKI: Osypujące się ściany wykopu, osuwające się płyty posadzki. Do tego węzeł ciepłowniczy z lat 80., który biegł tuż obok. Jego budowa mogła zniszczyć szczątki Kopernika. Katedra ma słabe fundamenty, nasze roboty stale zagrażały statyce budynku. Tuż obok mieliśmy źle posadowioną zabytkową ambonę, która mogła runąć do wykopu. Do tego tabuny turystów.

BEATA JURKIEWICZ: Drgania od organów są bardzo silne. W zeszłym roku niedługo po rozpoczęciu wykopalisk podczas koncertu obsunęła nam się od nich ściana. Oberwały się płyty posadzki.

Czaszkę Kopernika znaleziono przy ołtarzu Świętego Krzyża. Skąd pomysł, by szukać właśnie tam?

J.G.: Namówił mnie biskup warmiński Jacek Jezierski. Powoływał się na najnowsze badania historyka Jerzego Sikorskiego, olsztyńskiego kopernikologa. Wynikało z nich, że w XVI wieku i wcześniej kanoników chowano w sąsiedztwie ołtarza, którym za życia się opiekowali. Więc Kopernik powinien leżeć koło ołtarza poświęconego obecnie Świętemu Krzyżowi, a wtedy świętemu Wacławowi. Sęk w tym, że tylko za życia Kopernika tym samym ołtarzem zajmowało się aż pięciu kanoników.

To musieliście się przekopać przez sporo grobów...

B.J.: Dokładnie 13. Tam jest ich niesamowite nawarstwienie. Przecinają się, nachodzą na siebie. Pierwszy z wierzchu, XVIII-wieczny, należał do około 20-letniej kobiety.

Jak radziliście sobie wśród tych szkieletów?

J.G.: Ułatwieniem był wiek Kopernika – 70 lat. Dziś wiek kości, szczególnie czaszki, można łatwo określić, zwłaszcza jak się jest wybitnym fachowcem, takim jak profesor Karol Piasecki, antropolog, który z nami od początku współpracował. Wiedzieliśmy, że musimy szukać kości starego człowieka. A to duża rzadkość w tamtych czasach.

I można ustalić, że to czaszka akurat 70-letniego mężczyzny?

B.J.: Nie zawsze wiek kalendarzowy człowieka odpowiada zmianom biologicznym w jego organizmie. Każdy starzeje się inaczej, ale te różnice raczej nie przekraczają pięciu lat. 12 czaszek, które znaleźliśmy wcześniej, było za młodych. Oczy profesora Piaseckiego zaśmiały się, gdy spojrzał na tę ostatnią, na samym dnie wykopu.

J.G.: Profesor Piasecki ma dobre układy z Komendą Główną Policji. Pomaga w identyfikacji zwłok. Ze strony policji współpracuje z Piaseckim nadkomisarz Dariusz Zajdel, antropolog, spec od identyfikacji.

To on zidentyfikował czaszkę?

J.G.: Tak. Punktem wyjścia była radziecka metoda rekonstrukcji twarzy. Jej autor, akademik Michaił Gierasimow, tworzył z plasteliny na podstawie zachowanych czaszek bardzo sugestywne portrety rzeźbiarskie. Dziś metoda Gierasimowa jest unowocześniona. Robią to komputery, co umożliwia dokładność rekonstrukcji. Do tego stopnia, że program określa barwę oczu i włosów.

Jak to odgadnąć z kształtu czaszki?

J.G.: Wynika to ze statystyki typów antropologicznych. Efekt jest fascynujący, ale pan Zajdel miał z czaszką szczególnie dużo pracy, bo nie zachowała się żuchwa.

To jak odtworzył kształt dolnej części twarzy?

B.J.: Dzięki charakterystycznym cechom budowy czaszki i temu, że dobrze zachowało się górne uzębienie. Ustawienie i sposób starcia górnych zębów pozwala odtworzyć kształt dolnych i całą żuchwę.

Czyli wizerunek Kopernika zawdzięczamy jego dbałości o zęby?

B.J.: Ludzie tamtej epoki paradoksalnie mieli zdrowsze zęby od nas. Nie jedli masowo cukru, był za drogim luksusem.

J.G.: Zęby to także świetne źródło DNA. W starych znaleziskach materiał genetyczny najlepiej przechowuje się właśnie w nich.

No właśnie, DNA. Jak na razie cała identyfikacja polegała tylko na porównaniu rekonstrukcji z zachowanymi wizerunkami Kopernika.

J.G.: Tak. Kopernik był za życia wielokrotnie portretowany. To realistyczne obrazy 30–40-letniego mężczyzny. A my rekonstruujemy twarz na podstawie czaszki 70-latka. To pewien kłopot. Astronom musiał się trochę zmienić. Ale mamy pewne ułatwienia. Po pierwsze, gdy Kopernik był 7–10-letnim chłopcem, został silnie uderzony w lewą część twarzy. To zdeformowało mu nos i zakłóciło proporcje rysów. Widać to na jego późniejszych portretach.

Na autoportrecie Kopernika widoczna jest blizna na czole.

J.G.: No właśnie. Na autoportrecie malowanym przed lustrem widać uszkodzenie brwi. Z lewej strony. A na czaszce ma dwie wyraźne blizny nad prawym okiem.

Nie zmyliło was to?

J.G.: Nie, przecież aż się prosi, żeby malując autoportret, nie odwracać wizerunku widzianego w lustrze, tylko malować odbicie.

Wiadomo coś o chorobach, na jakie cierpiał Kopernik?

J.G.: Nie mamy całego szkieletu, a większość chorób zostawia ślad w kościach kręgosłupa i kończyn. My dysponujemy jedynie kręgiem szczytowym, czyli tak zwany atlasem, kilkoma kośćmi długimi. Ale dopiero dzięki badaniom genetycznym będziemy mieli pewność, że wszystkie kości należą do tego samego człowieka.

Co będzie dalej ze szczątkami Kopernika?

J.G.: Zostaną przekazane władzom archidiecezji warmińskiej, choć one chyba nie bardzo jeszcze wiedzą, co z tym zrobić... Bo jednak to spore zaskoczenie, że tak szybko udało się je odnaleźć.

A badania DNA?

J.G.: Nie wiem, czy identyfikacja kodu DNA będzie możliwa. Jedynym pewnym materiałem porównawczym byłoby DNA najbliższego krewnego, wuja Kopernika biskupa Łukasza Watzenrodego. Ale miejsca jego pochówku też nie znamy. Dlatego zadbaliśmy, by w świat nie poszła wiadomość, że zidentyfikowaliśmy Kopernika w stu procentach. Rzetelność nakazuje zostawić mały margines na badania genetyczne.

B.J.: Za to w Austrii żyją potomkowie jednej z sióstr Kopernika. Mają udokumentowane drzewo genealogiczne.

J.G.: Ale to jest odległość tylu pokoleń, że podobieństwo DNA może być mocno wątpliwe, choć możliwe, że będziemy musieli uciec się do pomocy tych potomków. Przede wszystkim jednak trzeba znaleźć szczątki Łukasza Watzenrodego. Parę dni temu dostałem e-mail z Los Angeles. Ktoś mi napisał, że jest znajomym pani Nicole Kopernik, która podobno jest w prostej linii potomkiem astronoma. Więc odpisałem grzecznie, że o ile mi wiadomo, nikt, kto nosi nazwisko Kopernik, nie może pochodzić od naszego Mikołaja ani jego brata Andreasa – w końcu obaj byli kanonikami. A nawet gdyby pozostawili jakieś dzieci, to pewnie nie z tym nazwiskiem!

Bez badań genetycznych nie będzie oficjalnego pogrzebu Kopernika?

J.G.: To już decyzja biskupa. Ale myślę, że Kościołowi zależy, by Kopernik wreszcie dostał porządny grób i przestał się snuć po katedrze.

ROZMAWIAŁ MARCEL ANDINO VELEZ

ZMIAŻDŻONE ŻYCIE JOANNY

Przefarbowała włosy na blond, założyła niebieskie soczewki kontaktowe. Przyjęli ją od ręki. JOANNA JOCHAN poszła na wojnę z firmą, w której zginął jej mąż



Fot. MICHAŁ SIERSZAK/FORUM

lewej: Joanna z ich wspólnym zdjęciem

Dwutonowy stempel prasy hydraulicznej do wyciskania drzwi lodówek zmiażdżył Tomaszowi głowę. Do wypadku nie doszłoby, gdyby z maszyny nie zdjęto wcześniej blokad zabezpieczających. Po śmierci Tomka jego koledzy opowiadali, że maszyna nadal pracuje bez blokad. Zgłosiła się więc do Indesitu do pracy, by zebrać dowody. Chciała udowodnić, że za śmierć jej męża odpowiada firma, bo zmusza pracowników do pracy w niebezpiecznych warunkach. 21-letnia Joanna walczy o cześć męża, bo Indesit twierdzi, że to on spowodował wypadek, zdejmując blokadę.

Nim ją rozpoznano, zdążyła zrobić parę zdjęć potwierdzających opowieści kolegów. Jednak dla prokuratury zdobyte przez Joannę materiały są niewiarygodne. – Zdjęcia są niewyraźne i zbyt statyczne: nie widać na nich, czy maszyna pracuje – tłumaczy rzecznik łódzkiej prokuratury Krzysztof Kopania.

AMBITNY ELEKTRYK

Włoski inwestor pojawił się w Łodzi w 1999 roku. Na łódzkim Widzewie znalazł armię młodych silnych bezrobotnych. 3 złote 80 groszy na rękę za godzinę wystarczyło, by pracowali ciężko przy kuchenkach i siedzieli cicho. W 2004 roku ruszyła druga fabryka – lodówek.

Tomasz, absolwent technikum elektrycznego, dostał pracę przy montażu światełek w lodówkach. Praca ciężka, ale opłacalna. Gdy szefowie kazali zostawać w soboty, niedziele, rzucił zaoczną informatykę i zostawał. Z nadgodzinami wyciągał 1000–1300 złotych miesięcznie. Jego poświęcenie zostało zauważone: awansował na odbieracza blachy na beretcie – prasie do wytłaczania drzwi lodówek. Tuż przed wypadkiem dostał kolejną propozycję: operator prasy i 20 groszy podwyżki.

Po awansie zmienił się jego stosunek do firmy. – Zapomniał, jak jeszcze niedawno opowiadał o wypadkach kolegów, jak wracał zmęczony, bo kazali mu zostawać do 22–23 w pracy – opowiada Joanna. – Zapisał mnie na kurs włoskiego. Chciał, żebym też pracowała w Indesicie.

Nie zraził się, gdy jeden z pracowników omal nie został zmiażdżony przez berettę na jego oczach. Tomek zdążył wcisnąć „grzybek" i zatrzymał stempel dwa centymetry nad jego głową. Tylko do domu wrócił roztrzęsiony.

2 września 2005 roku, trzy tygodnie później, poszedł do pracy na drugą zmianę. – Wieczorem przyszłam jak zwykle po niego do fabryki. O 21.34 zadzwoniłam na jego komórkę – wspomina Joanna. – „Jeszcze tylko oddam raporty z produkcji, kochanie, i pójdę się przebrać" – powiedział.

Spotkała jego kolegę: – Słyszałem, że jeden z Tomków miał wypadek, ale nie wiem, czy poważny.

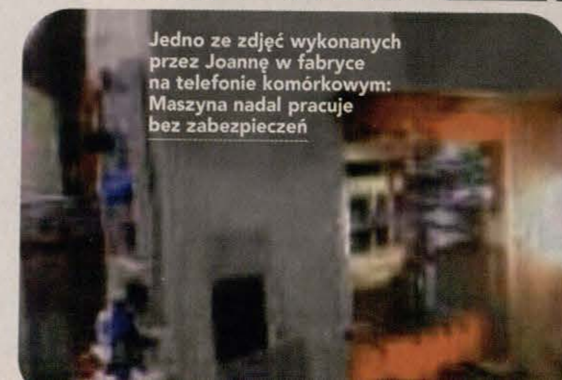
Pół godziny później dotarła do poczekalni dla pracowników. Z góry zszedł kierownik i wymamrotał: – Pani Jochan? To mam bardzo przykrą wiadomość. Mąż miał wypadek, nie żyje.

ZABEZPIECZENIA I UBEZPIECZENIA

Łódzki Indesit uchodził w mieście za zakład wzorcowy. Zdobywał nagrody dla najbezpieczniejszego pracodawcy. – Sam zasiadałem w jury konkursu – chwali się Marian Kozłowski. Dziś prowadzi śledztwo z ramienia Państwowej Inspekcji Pracy. Prowadzi je też łódzka prokuratura. – Prawdopodobnie potrwa do stycznia – mówi jej rzecznik Krzysztof Kopania.

„Poszkodowany doznał zmiażdżenia głowy na prasie po wejściu w obszar ogrodzony, przy zdemontowanych wyłącznikach bezpieczeństwa drzwi ogrodzeniowych" – napisał w protokole Kozłowski.

Kto i dlaczego je zdemontował? – Mogli je zdjąć samowolnie pracownicy. Z wewnętrznego raportu Indesitu wynika, że Tomasz Jochan zginął z własnej winy. Ale pracownicy mogli to też robić na polecenie kierownictwa, któremu przestoje spowodowane przez blokującą się maszynę są wybitnie nie na rękę – spekuluje Kozłowski z PIP. – Zdjęcie zabezpieczeń jest banalnie proste, wystarczy odkręcić dwie śruby przy furtce. Można wtedy bez zatrzymywania urządzenia wejść i poprawić źle ułożone blachy na taśmociągu.



Jedno ze zdjęć wykonanych przez Joannę w fabryce na telefonie komórkowym: Maszyna nadal pracuje bez zabezpieczeń

Indesit wini pracowników. – Sami zdjęli zabezpieczenia, bo bez zabezpieczeń pracowało im się łatwiej. To nagminna praktyka i kierownictwu trudno z nią walczyć – mówi Anna Król, nowy PR-owiec Indesitu. Została wynajęta przez fabrykę specjalnie do kontaktów z mediami w sprawie wypadku Tomka. – Po wypadku Tomka wprowadziliśmy zaostrzone kontrole i do pracy bez zabezpieczeń już nie dochodzi.



Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Na dole: Plakaty Nowej Lewicy, które pojawiły się w Łodzi i Warszawie

– Ale czy nie można było tych kontroli zaostrzyć wcześniej? – pytam. Rzeczniczka nie odpowiada.

Na spotkaniu kondolencyjnym z kierownictwem firmy Joanna słyszała, jak za drzwiami Polacy z Włochami mówili łamaną angielszczyzną: – To tylko 20-letnia gówniara. Uważa, że o niej musieli mówić, no bo o kim: – Rodzinę kupić, a pracowników fabryki, którzy mogliby zaświadczyć o ich winie, zastraszyć. To są ich metody.

Pierwszą propozycję „zadośćuczynienia" dostała w dzień po śmierci Tomka. Prawnik Indesitu proponował jej 50 tysięcy. Odmówiła. – Boli mnie agresywna postawa pani Joanny – żali się Anna Król. – Zaproponowana kwota była równowartością ubezpieczenia, do którego Tomasz Jochan nie miał prawa, bo się nie ubezpieczył. Przymykamy na to oko i oferujemy jej pomoc, a ona oskarża nas o korupcję.

– To kolejna pomyłka, za którą odpowiada Indesit – twierdzi Joanna. – Dział kadr powinien był dopilnować, by Tomasz poprawnie wypełnił deklarację. Nie dopilnowali. Te pieniądze zwyczajnie mi się należą.

ZROBIŁO SIĘ GŁOŚNO

Wraz z ojcem Tomasza nagłośniła sprawę w mediach. Poszli do gazet i telewizji. Nowa Lewica oplakatowała Warszawę i Łódź. Indesit zapowiada, że wytoczy proces za wykorzystanie logo firmy na plakacie.

Odwagi nabrali pracownicy firmy. Zaczęli opowiadać mediom o kierownikach, którzy kazali zdejmować zabezpieczenia, aby przyspieszyć produkcję, i tuszowali wypadki. Na forach pojawiły się listy najbardziej znienawidzonych kierowników „do odstrzelenia". Pisano o nich „esesmani, poganiacze niewolników", o fabryce „gułag". Grożono, że zapłacą za śmierć Tomka. Policja właśnie zidentyfikowała jednego z autorów.

Na wybuch nie trzeba było długo czekać. Dzień przed pogrzebem Tomka nieznani sprawcy okaleczyli brzytwą twarz jednemu z kierowników. Nikt na Widzewie nie ma wątpliwości, że zrobili to chłopcy z Indesitu. Wojnę z „białymi kołnierzykami" opisała „Gazeta Wyborcza". Część menedżerów poprosiła policję o ochronę.

ŻYCIE PO

Joanna odbiera telefony z pogróżkami: – Odp... się od tej sprawy, ty k..., po co poszłaś z tym do prasy? Rzeczniczka Indesitu oburza się, gdy pytam, czy to ktoś z firmy: – To pomówienia.

Wrogów Joanna ma też na osiedlu. – Ludzie, których uważałam za przyjaciół, odwrócili się ode mnie. Uważają, że powinnam wziąć pieniądze i siedzieć cicho. Pod osiedlowym sklepem można usłyszeć: „Jak ta Jochan tak dalej będzie rąbać dupę makaroniarzom, to się wkurzą i sobie pójdą. I gdzie my wtedy będziemy pracować?".

– Zawsze była mściwa, wytrwa wiele lat procesu, pójdzie nawet do Sądu Najwyższego, jeśli będzie trzeba – mówi była koleżanka z osiedla. Ludzie gadają, że „już dawno o mężu nie pamięta, jeszcze jak żył, miała dwóch kochanków". – I upijam się w Caro co noc z innym facetem – opowiada Joanna. – A za Tomka milion złotych mi Włosi proponowali.

Ale bywa w osiedlowym pubie. – Kiedyś często tam chodziliśmy, spotykaliśmy się z kolegami Tomka. Po jego śmierci szukałam informacji.

Wciąż się z kimś spotyka, rano biega do prokuratury, PIP, dopytuje, doucza się, czytając kodeksy pracy i karny. – Jeszcze nigdy nie spotkałem się z aż takim zaangażowaniem w sprawę – przyznaje rzecznik łódzkiego PIP Jerzy Iwaszkiewicz.

– Gdy powołuję się na jakiś paragraf, od razu wie, o co chodzi – dodaje Kozłowski.

Bez względu na wynik śledztwa Joanna chce być oskarżycielem posiłkowym w procesie przeciwko Indesitowi. Ojciec Tomasza płaci za prawników. Jej już dawno skończyły się pieniądze. Wyprowadziła się z wynajmowanej z mężem kawalerki do kawalerki rodziców i brata.

– Nie żyję, wegetuję i tak naprawdę tylko ten proces, dwie paczki papierosów dziennie i coraz większe dawki środków uspokajających jakoś trzymają mnie w kupie – przyznaje Joanna.

Tego dnia Tomka w ogóle nie miało być w pracy. – Miał wziąć parę dni urlopu i jechać ze mną do Radęcina – mówi Joanna. – Tam się pierwszy raz całowaliśmy i zaręczyliśmy.

Dzień po pogrzebie Joanna poroniła, była w szóstym tygodniu ciąży. Wtedy zdecydowała, że pójdzie pracować do fabryki, żeby uzyskać dowody winy Indesitu. Zrobi naprawdę wszystko, by je zdobyć. Nie ma już nic do stracenia.

AGNIESZKA JĘDRZEJCZAK

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

Zawracanie kijem Wisły

Nowa minister finansów nie jest ani tak liberalna, żeby zachwycać się hipermarketami, ani tak solidarna, żeby pamiętać o ludziach, którzy tam pracują

Ach, gdzie te czasy? Jechał sobie człek za granicę, oczywiście zachodnią, a tam kolorowo, sklep na sklepie, hiper- i supermarketów w bród. Wchodził sobie do takiego i gdyby tylko miał pieniądze, mógłby zrobić zakupy na tydzień albo i na dłużej i więcej przez ten czas do jakichkolwiek innych sklepów zaglądać już by nie musiał. A potem przyjeżdżał człowiek do kraju i opowiadał ludziskom o tym, co oni tylko w telewizji zobaczyć mogli.

Nie to co teraz. Wszyscy mogą sobie pójść do prawie takich samych i na pewno o tych samych nazwach sklepów co taki, dajmy na to, Niemiec, Szwed, Anglik czy Francuz, a nawet Amerykanin. W końcu mamy ponad 190 super- i hipermarketów i jest w czym wybierać. To prawda, że w prawie czterokrotnie mniejszych Czechach i na Węgrzech jest ich po ponad 160, a 10 największych sieci wyciąga w tych krajach ludziom z kieszeni 80 procent pieniędzy, jakie przeznaczają na codzienne zakupy. U nas dopiero 25 procent. I wystarczy.

Bo pani profesor, czyli płeć piękna u władzy w Ministerstwie Finansów, mówi, że z punktu widzenia wzrostu gospodarczego hipermarkety nie mają znaczenia, są inwestycją nieproduktywną i Polsce niepotrzebną. A ja myślałem, że teraz to ma być gospodarka dla ludzi, a nie dla wzrostu gospodarczego. A tu masz ci babo placek. Jednak wzrost gospodarczy jest najważniejszy. Mniej ważne są miejsca pracy.

Szczególnie te w obcych sklepach, bo nie wymagają dużych umiejętności, jak mówi pani profesor. Czyli od teraz chcemy tylko nowych miejsc pracy wymagających dużych umiejętności. Żeby takie bezrobotne sklepowe na przykład przeszkolić na księgowe i zatrudnić je w światowym centrum księgowym Tesco, a nie w jakiejś hali sklepowej. Bo właśnie takie Tesco, które było pretekstem do wyrażenia opinii przez panią profesor, zatrudnia 19 tysięcy osób, z czego 40 procent było wcześniej bezrobotnych. I jakby udało się tak powstrzymać rozwój tych wielkich sklepów, a może nawet trochę ich zamknąć, to natychmiast nowe miejsca pracy znalazłyby się w rosnących jak grzyby po deszczu małych rodzimych sklepikach. Do których całymi rodzinami mogliby zaglądać mieszkańcy osiedli, a co biedniejsze dzieci mogłyby się nawet oblizywać na widok o 30–40 procent droższych niż w wielkich sieciach cytrusów, słodyczy, serów, wędlin, warzyw i owoców.

Mało tego, mieszkańcy mogliby tworzyć nowe, zdrowe relacje wewnątrzosiedlowe w ramach wędrówki po wielu wyspecjalizowanych sklepach, bo tygodniowych zakupów w jednym miejscu za cholerę bowiem zrobić by nie byli w stanie. I potem znowu pojechałby sobie człowiek za granicę, gdzie 80 procent obrotów handlu artykułami codziennego użytku odbywa się w wielkich sieciach, i po powrocie do kraju mógłby opowiadać, jak to w innym świecie bywa. Jeśli chce się kupić tanio i w jednym miejscu, to się jedzie do któregoś z hipermarketów, które ostro ze sobą konkurują i jest ich w bród. Jak chce się ekskluzywniej, ale drożej, to się idzie do małego sklepiku, a nawet takiego zaprzyjaźnionego osiedlowego. Jak nie ma co zrobić z dziećmi podczas zakupów, to się jedzie do centrum handlowego, w którym znajdą one zajęcie w ogródku zabaw pod specjalną opieką. W tym czasie ty możesz tam kupić kolczyki dla żony, oddać buty do szewca, zaopatrzyć się w garnitur i skarpetki od zagranicznych, ale i krajowych producentów, załatwić urzędową sprawę, a potem pójść do restauracji, kina albo teatru.

Tak może być także w Polsce. W najbliższych dwóch latach ma u nas powstać kilkadziesiąt centrów handlowych za ponad dwa miliardy euro. Może jednak nie powstaną i uda się zawrócić Wisłę kijem. W końcu nie przyczyniają się do wzrostu gospodarczego, jak mówi pani profesor ze Szczecina, a i niszczą miejscową przedsiębiorczość.

TADEUSZ A. MOSZ
AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO „PLUS MINUS" W TVP1


CZY DZIĘKI PREMIEROWI DOCZEKAMY SIĘ W POLSCE TAKICH STADIONÓW JAK TEN OBIEKT BUDOWANY NA MISTRZOSTWA ŚWIATA W 2006 ROKU W HANNOWERZE?

Piłkarskie exposé

Premier w swoim exposé zapowiedział utrzymywanie deficytu budżetowego na stałym, 30-miliardowym poziomie i jednocześnie obiecał dodatkowe pieniądze chyba na wszystko: politykę prorodzinną, mieszkania, drogi, bezpieczeństwo wewnętrzne, badania i naukę, służbę zdrowia, wieś i nawet budowę czterech stadionów, czyli sport. Także po to, by w Polsce przy udziale Ukrainy w 2012 roku udało się przeprowadzić mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Gdyby Polska razem z Ukrainą zorganizowała mistrzostwa, według szacunków trzeba by było zainwestować przynajmniej 12 mld zł. Na razie nie mamy nic, co jest potrzebne, aby te mistrzostwa przeprowadzić: stadionów, odpowiednich dróg, portów lotniczych, wystarczającej liczby miejsc hotelowych. Tak więc wiadomo mniej więcej, ile i na co trzeba wydać, ale nie wiadomo, ile się na tym zarobi. Organizowane przez Anglię Euro 1996 i przygotowane przez Holandię i Belgię Euro 2000 miały niewielki wpływ na ekonomię tych krajów. Z drugiej strony Chińczycy szacują, że ich przygotowania do olimpiady w 2008 roku przyspieszają wzrost gospodarczy o 1 pkt. proc. rocznie. A Portugalczycy uważają, że ich przemysł turystyczny zyskuje po mistrzostwach o 350 mln euro więcej niż przedtem. Z kolei Grecy, którzy sfinansowali igrzyska olimpijskie w 2004 roku w głównej mierze z budżetu, popadli w kłopoty i unijne kary za ukrywanie prawdziwego deficytu budżetowego. To prawda, że wszystkiego nie da się przeliczyć na pieniądze, a mistrzostwa mogą być dobrą okazją do promocji kraju. Obawiam się jednak, że wspólny polsko-ukraiński biznes piłkarski ugruntuje tylko przekonanie wśród wielu na przykład Amerykanów, że Polska i Ukraina to to samo. I nie wiadomo, ile będzie trzeba potem wydać, aby odkręcić to błędne przeświadczenie.

Pożyczający zapłacą więcej

Waluty drożeją. Zyskują na tym tylko eksporterzy. Reszta traci. Najpierw państwo, czyli podatnicy, rośnie bowiem nasz dług wobec zagranicy. Waluty są droższe, trzeba więc wydać więcej złotych, aby je wymienić na spłatę długu w euro, dolarach czy we frankach szwajcarskich. Spadek wartości złotego najbardziej bolesny jest dla gospodarstw domowych. W końcu września wartość indywidualnych kredytów walutowych wynosiła 3[illegible],4 mld zł, co stanowiło aż 27,7 proc. pożyczek w tej grupie klientów. Od końca września do dnia exposé premiera, czyli 10 listopada, wartość podstawowych walut wzrosła o ponad 3 proc., a to oznacza, że zadłużenie walutowych kredytobiorców zwiększyło się o blisko 1,2 mld zł. Czyli zadłużenie osoby, która zaciągnęła kredyt w wysokości 200 tys. przy kursie franka 2,5 zł, wzrosło o prawie 7 tys. zł. I w ten sposób zapowiedzi polityki prorodzinnej obracają się przeciw rodzinom niebogatym przecież, bo bogaci zazwyczaj mają gdzie mieszkać i nie muszą szukać tanich kredytów na 20–30 lat.


BOGATY POLAK PO TAŃSZEGO TISSOTA MUSI JECHAĆ NA PRZYKŁAD NA CYPR

Fot. MARCIN KAMIŃSKI/PHOTOPASS.PL

Polscy milionerzy jadą po luksus za granicę

Milionerzy w Polsce wcale już do rzadkości nie należą. BRE Bank oszacował, że około 500 osób zgromadziło ponad 15 mln zł. Co ważne, szacunki obejmują tylko środki finansowe i papiery wartościowe bez nieruchomości. Przynajmniej milionem złotych dysponuje 10–15 tys. osób, a ponad 35 tys. spośród nas ma ponad pół miliona złotych. Niestety, bogaci Polacy najczęściej po zakup dóbr luksusowych jadą za granicę. A to dlatego, że tam jest... taniej. W Polsce podatek VAT wynosi 22 proc., w Niemczech 16, w Wielkiej Brytanii 17,5 proc., w Luksemburgu i na Cyprze 15 proc. Warto więc po kilka garniturów w cenie po kilkanaście tysięcy złotych za sztukę, zegarek za około 100 tys. zł, pierścionek czy bransoletkę za kilkadziesiąt tysięcy polecieć do Londynu czy Luksemburga, bo tam wybór jest większy i ceny niższe. W ten sposób podatek VAT płacony przez bogatych Polaków zostaje tam, a nie u nas. Krajowy handel luksusem się nie rozwija i koło się zamyka. Wyższy podatek, zamiast znaczyć więcej w budżecie, znaczy mniej. Ponieważ jest to twierdzenie nielogiczne, nie ma się co dziwić, że nie do pojęcia dla naszej inteligentnej urzędniczej braci.



REKLAMY CODZIENNIE KUSZĄ TANIMI KREDYTAMI, A MY POŻYCZAMY CORAZ WIĘCEJ

Fot. PIOTR GIDLEWSKI

Szaleństwo kredytowe może być tańsze

To, że biednemu wiatr zawsze wieje w oczy, wiedzą wszyscy. A biedni nie dość, że to wiedzą, to jeszcze czują na każdym kroku. Także wtedy, kiedy chcą się zapożyczyć na kupno mieszkania czy domu. A pożyczamy coraz więcej. Przez pierwsze osiem miesięcy tego roku banki udzieliły 125 tys. kredytów na domy i mieszkania o wartości prawie 14 mld zł. Rok wcześniej w tym samym czasie było 90 tys. kredytów o wartości o 5 mld mniejszej. Niestety, tani kredyt jest przywilejem osób zamożniejszych, które mogą wyłożyć 20 proc. wartości mieszkania. Jeśli jest to pożyczka we frankach szwajcarskich, może być oprocentowana nawet nie wyżej niż 2,5 proc. w skali roku. Ale na taki przywilej stać tylko 25 proc. kredytobiorców. Aż 67 proc. musi płacić pomiędzy 2,5–4 proc. a 8 proc. powyżej górnej granicy oprocentowania. Warto jednak szukać sposobów na niższe odsetki. Mogą je zapewnić dodatkowe zabezpieczenia w postaci już posiadanych nieruchomości własnych czy rodzinnych. Ale najważniejsze, aby szukać oferty najtańszej, bo banki coraz ostrzej konkurują o zdobycie klientów. Mogą w tym pomóc specjalizujące się w wyszukiwaniu odpowiednich kredytów firmy doradztwa finansowego, za których usługi klient bezpośrednio nie płaci. I jeszcze jedno. Przesunięcie się perspektywy przystąpienia Polski do strefy euro przemawia za szukaniem jednak jak najtańszego kredytu w polskich złotych. Oprocentowanie takich kredytów jest coraz niższe i pozwala przynajmniej spać spokojnie bez konieczności ciągłego śledzenia wypowiedzi nowych gwiazd polskich finansów, a za nimi reakcji kursów walut i ciągłego przeliczania na nowo stanu zadłużenia.



Fot. MARCIN KAMIŃSKI/PHOTOPASS

Ustęp A SPRAWA POLSKA

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Polacy to świnie. Chlapią, nie spuszczają wody, mężczyźni sikają nie tylko na deskę, ale też obok, kobiety nie myją rąk, o spryskiwaczach zapachowych nie wspominając – mówi bez ogródek pani Grażyna, która sprząta toalety w jednym z warszawskich hipermarketów.

Kapitalizm nie nauczył nas kultury czynności fizjologicznych. W czasach gdy w mieszkaniu stoi komputer, a na zakupy jeździmy do galerii handlowych (gdzie potrzeby fizjologiczne załatwiamy w blasku wielkich luster i marmurów), wielu Polaków wciąż załatwia się na dworze. Ze statystyk GUS wynika, że z luksusu kanalizacji korzysta zaledwie 83,4 procent mieszkańców miast. Reszcie pozostaje smród szamba. Od 1995 do 2003 roku liczba mieszczuchów, którym doprowadzono rury kanalizacyjne, wzrosła zaledwie o 1,5 procent. Mało tego, na wsi ponad jedna czwarta mieszkań w ogóle nie ma ustępów – ani szamba, ani rur kanalizacyjnych. Jak to możliwe? – Na wsiach, zwłaszcza na Podkarpaciu czy Śląsku, mnóstwo jest takich domów – wyjaśnia Elżbieta Oklesińska z Departamentu Statystyki Usług GUS. – Za potrzebą chodzi się do sławojki. A w dużych miastach jest dużo mieszkań w starym budownictwie, które mają jedną toaletę na kilka lokali.

FOBIA W TOALECIE

Pocieszające jest to, że boje o kulturalne załatwienie sprawy toczą się nie tylko wśród Polaków. Z badań naukowców z University of Newcastle oraz uniwersytetu w Göteborgu wynika, że wiele dzieci ze względu na smród i brud unika szkolnych toalet. Problem dotyczy ponad połowy chłopców i jednej trzeciej dziewczynek w Wielkiej Brytanii oraz jednej czwartej dzieci w Szwecji. Nastolatki narażają się w ten sposób na choroby dróg moczowych, zaparcia oraz nietrzymanie moczu.

Zjawisko zostało dokładnie zbadane w Stanach Zjednoczonych – na paruresis, czyli toaletofobię, choruje tam 17 milionów ludzi. Inne kraje nie pozostają w tyle. – Na największym dworcu metra w Barcelonie smród jest przeogromny, a pomyje wymieszane z moczem sięgają kostek. Po takim czymś trudno nie mieć urazu do odwiedzania szaletów miejskich – opowiada Aneta, która ze swoich ostatnich podróży najbardziej zapamiętała tę hiszpańską toaletę.

Problem strachu przed oddawaniem moczu w toaletach publicznych jest na tyle poważny, że cztery lata temu w Singapurze powstała Światowa Organizacja Toalet (World Toilet Organisation – WTO). To pierwsza na świecie instytucja, która w całości poświęca się walce o poprawę standardów szaletów na świecie.

Organizacja zrzesza dziś 47 stowarzyszeń z różnych krajów (na razie nie ma w niej Polaków). Jedno z najprężniej działających to Brytyjskie Stowarzyszenie Toalet. Brytyjczycy przygotowali narodową strategię toaletową – chcą walczyć między innymi o zaznaczanie toalet na mapach turystycznych oraz ich budowę przy autostradach, tak by co trzy mile znajdował się chociaż jeden ustęp.

Zdaniem WTO aż 2,4 miliarda ludzi załatwia się bowiem na powietrzu. WTO chce też walczyć z dyskryminacją kobiet w szaletach – panie spędzają w nich trzy razy więcej czasu niż mężczyźni, a toalet damskich jest mniej niż męskich. To WTO co roku 19 listopada organizuje Światowy Dzień Toalet.

BABCIE KOMBINUJĄ

W Polsce ideowo najbliższe celów WTO są – z racji zawodu – babcie klozetowe. Walczą z klientami, by nie brudzili i nie zużywali zbyt dużo mydła i papieru. Klienci zaś robią wszystko, by nie płacić za coś, co nie spełnia ich oczekiwań. – Zawsze gdy babcia klozetowa żąda zapłaty, proszę o rachunek. Rzadko która ma kasę fiskalną, więc zwykle mi odpuszczają – mówi 23-letni Tomek, student prawa. Babcie za kasami jeszcze nie stanęły, bo nie zmusiło ich do tego prawo. – Usługi sanitarne są obłożone siedmioprocentowym VAT, ale do końca roku minister zwolnił właścicieli szaletów z obowiązku prowadzenia kas fiskalnych – mówi Anna Sobocińska z Ministerstwa Finansów.

Babcie walczą więc o pieniądze, jak się da. – Choć kibel śmierdzi, to pieniądz nigdy – mówi pani Grażyna. Jedna z dużych firm zarządzających szaletami na dworcach kolejowych zainstalowała kamery. Właściciele mogą dokładnie kontrolować, ile osób dziennie przewija się przez toaletę. Na tej podstawie mogą rozliczać swoje babcie. Tam gdzie kamer nie ma, babcie kombinują. – Handlowały podczas meczów alkoholami, głównie wódką. Przestały, gdy zrobiliśmy parę zakupów kontrolowanych i zagroziliśmy karami finansowymi – mówi Marek Pawlak, wiceprezes Pogoni Szczecin. – Kiedyś na warszawskim placu Na Rozdrożu przy szalecie sprzedawano wietnamskie żarcie – wspomina 22-letnia Aneta. – Często w toaletach można zaopatrzyć się w batoniki, chipsy czy paluszki.

PAN NA KRÓCEJ

Pieniądze z toalet to mały zysk, jednak duży obrót. Egzekwowana jest więc każda złotówka.



Fot. MARKUS HANSEN/ACTION PRESS/FREE

Nowojorski pisuar w kształcie kobiecych ust zdjęto po sprzeciwie feministek. Kobiecych emocji nie budzi projekt Clarka Sorensena – pisuar w kształcie róży



Fot. WWW.CLARKMADE.COM

Na świecie z toalety nie korzysta jedna trzecia ludności. W Polsce skanalizowanych ustępów nie ma w co czwartym wiejskim domu. Świat o tym wszystkim wie. Dlatego 19 listopada obchodzimy Światowy Dzień Toalet





Fot. EPA-PAP/FORUM (4)

Dwie toalety i dwa światy: Komplet pisuarów wysuwany na noc z chodnika na jednej z ulic w angielskim Aberdeen oraz toaleta w areszcie śledczym w Piotrkowie Trybunalskim



Fot. MAREK KOWAL/SUPER EXPRESS/EAST NEWS

Toaletę pubu Łódź Kaliska wyposażono w lustro weneckie

Polacy uświadomili sobie, że nietypowa miska ustępowa może zaspokajać ich potrzebę wyróżniania się w towarzystwie

W kibelkach normą są wywieszki: „Płatne z góry, w cenę wliczone dwa ręczniki i trzy skrawki papieru”, często pojawiają się też cenniki w stylu: „kabina – 2 zł, pisuar – 1,50 zł, mycie rąk – 1 zł”.

– Raz zwątpiłem, gdy zapytano mnie: „Pan na krótko czy na dłużej?” – mówi Tomek. W toaletach nie zdążył zadziałać pełnomocnik do spraw równego statusu kobiet i mężczyzn, a powinien. – Na dworcu kolejowym w Opolu płaciłem złotówkę, moja dziewczyna – dwa złote. Dlaczego mocz pań jest tam droższy? – mówi 25-letni Wojtek.

O szaletach dworcowych krążą legendy. Na dworcu w Łodzi Fabrycznej z myślą o pracownikach dworcowych sklepów wprowadzono abonament. Na szczęście limity korzystania z toalety dla osób z biegunką są takie same jak dla tych, którzy umiejętność trzymania moczu mają wyćwiczoną do perfekcji. – Klientom mającym miesięczny karnet nie ograniczamy liczby wejść jednego dnia – zachwala Arkadiusz Denkiewicz, współwłaściciel szaletu. Do interesującej sytuacji dochodzi też na warszawskim Dworcu Wileńskim – tu wieczorem toaleta jest zamykana. Efekt: na stacji nie sposób nie zatykać nosa. Omal do takiej samej sytuacji doprowadziliby inwestorzy najnowocześniejszego stadionu w Polsce, jaki budowany jest w Kielcach. O toaletach zapomnieli. Zreflektowali się wtedy, gdy przypomniał im o tym sanepid.

Fot. PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER

CENNIK

ZA KORZYSTANIE Z TOALET KOL.

Z KABINY	1.30 ZŁ
Z UMYWALNI	0.50 ZŁ
Z UMYWALNI I MYDŁA	0.60 ZŁ
Z PISUARU	1.00 ZŁ
ZA ZANIECZYSZCZENIE TOALETY	50.00 ZŁ

Czasami jednak pomysły właścicieli szaletów niewiele mają wspólnego z pieniędzmi, ale idealnie nadają się do programu „Nie do wiary”. – Na stacji benzynowej tuż przed Częstochową w męskim kiblu są dwie kabiny. Jedna pusta, w drugiej jest pisuar razem z muszlą. Jeszcze nie widziałem dwóch facetów zamykających się w jednej kabinie, gdy jeden potrzebuje na dłużej, a drugi na krócej – mówi Tomek. Problemy z oddaniem moczu możemy też mieć w Gilowicach koło Katowic. Tam Towarzystwo Miłośników Gilowic wraz z urzędem gminy, choć postawili toaletę w sumie za ponad 30 tysięcy złotych, otwierają ją dla chętnych tylko podczas mszy w kościele.

PISUAR NA POKAZ

O ile brud i smród w toaletach publicznych był, jest i pewnie długo jeszcze będzie, o tyle prywatne toalety przechodzą totalną transformację. – Uświadomiliśmy sobie, że toaleta, a nawet miska ustępowa może świadczyć o nas, zaspokajać potrzebę wyróżnienia się w towarzystwie – mówi Wojciech Choina z Sanitec Koło, firmy produkującej wyposażenia łazienkowe. – Dziś nikt nie chce już korzystać z brązowych misek ustępowych, choć w PRL miały one tę zaletę, że nie było w nich widać brudu – dodaje Choina.

Jak więc zmieniają się toaletowe gusty? – Coraz częściej montujemy miski podwieszane. One, inaczej niż miski stojące, przypominają tron, dają poczucie nowoczesności – mówi Adam Pulwicki, projektant wnętrz i autor różnorodnych projektów toalet. Nowym trendem jest też montowanie w domach pisuarów. Budzą opory u pań, którym pisuary kojarzą się ze śmierdzącymi miejskimi szaletami. – Ale pamiętam też panią domu, w którym mieszkało trzech mężczyzn. Zbuntowała się przeciw ciągłemu wycieraniu obsikanej deski i wymusiła zamontowanie pisuaru – mówi Pulwicki.

Gorzej niż pisuary przyjmują się w Polsce kolorowe muszle. Tymczasem Włosi gustują już w czerniach, a Amerykanie dobierają kolory ustępów do kolorów łazienek. Róż czy zieleń jest tam całkiem na miejscu.

Sama muszla czy pisuar to nie wszystko. – Modne stały się drewniane deski do muszli. Interes idzie rewelacyjnie – cieszy się Mariusz Masłowski z firmy produkującej akcesoria łazienkowe. – Miesięcznie sprzedajemy po kilkaset sztuk. Do wyboru są między innymi deski z sosny, jesionu, orzecha czy innego egzotycznego drzewa z Afryki.

SIK MODY

W ostatnich latach swoją funkcję zmieniły toalety w klubach, restauracjach czy teatrach – Tam WC musi coś o sobie mówić, pełnić funkcję teatralną, tak byśmy mogli czuć się zaskoczeni – mówi Adam Pulwicki, który w swojej firmie nad pisuarem zamontował lustro. Ale to jeszcze nic. W warszawskim klubie Qult oraz łódzkim pubie Łódź Kaliska osoby załatwiające swoją potrzebę stają przed lustrem weneckim. Dziwne to uczucie sikać na siedzących ludzi w knajpie.

Zaskakujące mogło być także siusianie do pisuaru w kształcie kobiecych ust. Rok temu linie lotnicze Virgin Atlantic Airways należące do brytyjskiego miliardera Richarda Bransona musiały jednak zrezygnować z planów budowy takiej toalety na nowojorskim lotnisku Johna F. Kennedy'ego. Zaprotestowały feministki.

Z uroków załatwiania potrzeb w inny niż zazwyczaj sposób mogli zaś korzystać mieszkańcy Holandii. W jednym z amsterdamskich pubów projektant Leonard van Munster zainstalował w zeszłym roku szalet, który na głos komentował zachowania ludzi – mówił wprost, co widział: „Może następnym razem usiądziesz?” albo „Ostatnia klientka nie przestrzegała zasad higieny”.

– Toaletowa potęga to Japonia. Są rewelacyjni w projektowaniu perfekcyjnych szaletów – mówi Lim Tai Wei z WTO. Japoński Washlet Zoe ma siedem funkcji spłukiwania, odświeżacz powietrza, symulator dźwięku spuszczania wody dla zagłuszenia dźwięków wydalania oraz możliwość samopodmywania i osuszania użytkowników.

Jednak Japonia to skrajny przypadek automatyzacji. Tymczasem prawie połowie ludzkości wiatr w oczy wieje, gdy załatwia się na świeżym powietrzu, a część drugiej połowy zatyka nosy, wchodząc do publicznej toalety. – Dlatego 19 listopada namawiamy wszystkich ludzi na świecie, by aktywnie włączyli się w walkę o poprawienie stanu naszych szaletów – mówi Lim Tai Wei. – W tej dziedzinie jest jeszcze wiele do zrobienia, jesteśmy dopiero na początku naszej drogi.

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK



Fot. KLAAS FOPMA/HH/EK PICTURES

Z kolei amsterdamski szalet projektu Leonarda van Munstera (autor na zdjęciu) męskim głosem podpowiada użytkownikom, aby usiedli lub umyli ręce



Fot. ADM

PODZIĘKUJMY SŁAWOJOWI

W XIX wieku widok Polek i Polaków kucających pod płotami był codziennością, a publikacje uświadamiające o zakaźnych chorobach nie dawały żadnych efektów. Na dobre walka o szalet zaczęła się w II RP, w lutym 1927 roku. Generał Felicjan Sławoj-Składkowski napisał wówczas do wojewodów: „Ubikacje powinny drogą częstego szorowania sedesów i podłogi, wentylowania i odkażania być stale utrzymane w stanie używalności i nie zatruwać powietrza naokoło”. Na samym liście jednak się nie skończyło. Sławoj o poprawę higieny chłopów walczył jak lew – jako minister spraw wewnętrznych i generalny inspektor sanitarny kraju wydał w międzywojennej Polsce wiele rozporządzeń dotyczących higieny na podwórkach, gościńcach, plażach i w samych toaletach. Chciał, by wieś nauczyła się korzystać z wychodków, a ustępy były dezynfekowane codziennie. Zorganizował lotne patrole, których zadaniem było kontrolowanie, czy ludność stosuje się do jego rozkazów. A stosowała się częściowo: w jednej ze wsi sołtys w wychodku zamiast toalety zrobił sobie wędzarnię serów, w innym gospodarstwie wychodek został zabity gwoździami, bo... czekał na wizytę inspekcji sanitarnej. Sławoj się nie poddał i swój sukces odniósł. Po miesiącach walki 80 procent domów w miastach i 60 procent na wsiach dorobiło się swojej wygódki. Szkoda tylko, że dzięki wielkiej rewolucji Składkowski zapadł Polakom w pamięć jako ten od „sławojek”, a już niekoniecznie jako najdłużej urzędujący premier II Rzeczypospolitej.



ABECADŁO SPADKOWE

CO MUSISZ WIEDZIEĆ O DZIEDZICZENIU

Krzysztof Szczepaniak


Fot. RICHARD CUMMINS/CORBIS




Fot. MACIEJ SKAWIŃSKI/FORUM



Myślisz, że za wcześnie na spisanie testamentu? Albo nie zastanawiasz się, co stanie się z tymi pięknymi meblami w domu babci? Może po jej śmierci mogą być twoje? Pomyśl o tym już teraz, przeczytaj nasz poradnik o spadkach

Ledwo dwa lata żyła z mężem Anna K. Tuż po rozwodzie związała się z Adamem W., z którym mieszkała 20 lat. Bez ślubu. Na miejscu mieli mieszkanie, samochód, a na Mazurach działkę. Na papierze właścicielem całego majątku był Adam. W 21. roku wspólnego życia mężczyzna umarł. Testamentu nie zostawił. Anna nie dostała więc po Adamie ani grosza spadku.

Stracił też Wojtek K., który przed ślubem dostał od rodziców 30 tysięcy złotych, nie spisawszy przy tym aktu darowizny. Za te pieniądze kupili z małżonką Ewą samochód. Do zakupu dołożyli parę tysięcy swoich, wspólnie już wypracowanych oszczędności.

Ledwo dwa lata po ślubie Ewa K. umarła. Co gorsza, okazało się, że według prawa samochód należał do Wojtka tylko w połowie. O tę drugą połowę będzie mógł ubiegać się spadkobierca zapisany w testamencie żony – syn z pierwszego małżeństwa Ewy.

– Potencjalni spadkobiercy często są przekonani, że po śmierci najbliższej osoby nikt nie jest w stanie odebrać im czegoś, co do niej należało – mówi notariusz Bożena Strojnowska. – W polskich rodzinach nie ma też tradycji spisywania testamentów, a wielu wstydzi się rozmawiać o tym, co stanie się z ich majątkiem po śmierci – dodaje.

Tymczasem, aby skutecznie przekazać rodzinie (lub komukolwiek) swój majątek, a spadkobiercom zaoszczędzić kłopotów i sporów przed sądami, o rozporządzeniu dobrami należy myśleć już dziś, teraz.

Jednocześnie zapewne spodziewasz się dostać po kimś spadek.

Nauczymy cię więc teraz, jak skutecznie i najkorzystniej przekazać/przejąć majątek po śmierci jego właściciela.

ZOSTAWIASZ SPADEK, CZYLI O CZYM MASZ PAMIĘTAĆ JAKO SPADKODAWCA

Odpowiedz sobie na pytanie: komu chcesz oddać po śmierci to, co masz? Jak i kogo zabezpieczyć? Odpowiedz na te pytania dziś, jutro. Nie zwlekaj. Przecież zasady dziedziczenia po śmierci w wypadku samochodowym są takie same jak po śmierci w domu spokojnej starości. – Jeśli w młodym wieku udało się nam wejść w posiadanie jakiegoś majątku, to nie ma się co wstydzić przygotować testament, nawet mając lat 20. Później zawsze go można zmienić – mówi Zbigniew Romaniuk, radca prawny.

Jeśli testamentu nie spiszesz, dojdzie do dziedziczenia ustawowego, a ono może skrzywdzić tych, na których ci szczególnie zależy. Z dziedziczenia ustawowego na przykład wyłączeni są małżonkowie w separacji oraz osoby w związkach konkubenckich.

Brak testamentu krzywdzi także tych, którzy mają rodziców prowadzących gospodarstwo rolne powyżej jednego hektara, ale sami się nim nie zajmują. Takie gospodarstwo odziedziczą tylko ci, którzy pracują przy produkcji rolnej, mają do tej pracy przygotowanie, a także osoby małoletnie, uczęszczające do szkoły albo trwale niezdolne do pracy (gospodarstwo może więc odziedziczyć – choć to paradoks – inwalida, ale nie syn studiujący ekonomię i mieszkający w mieście).

Dopiero gdy nikt nie odpowiada tym warunkom, prawo dziedziczenia przechodzi na wszystkich uprawnionych spadkobierców (następuje dziedziczenie według zasad ogólnych).

A teraz szczegóły.

SPISZ WAŻNY TESTAMENT

Możesz go sporządzić na wiele sposobów, ale wspomnimy o trzech spotykanych w praktyce:

1. **Testament notarialny**. Notariusz pomoże użyć sformułowań, które najdokładniej oddadzą twoją ostatnią wolę. W zeszłym roku sporządzono w Polsce zaledwie 88 tysięcy takich dokumentów. Za spisanie testamentu przed notariuszem pobierana jest opłata 50 złotych (plus 22 procent VAT), a jeśli testament jest bardziej skomplikowany – 100 złotych (plus 22 procent VAT).

2. **Testament holograficzny** (własnoręczny). Musi być spisany w całości osobiście przez spadkodawcę, musi zawierać jego podpis i datę spisania. Nie wchodzi w grę przygotowanie go na komputerze i jedynie podpisanie. Już widzisz, że sporządzając testament samemu, musisz być bardzo ostrożny. Wystarczy drobny błąd, a będzie uznany za nieważny. Dlatego zdecydowanie polecamy testament notarialny.

3. **Testament ustny**. Tak, taki też jest dopuszczalny, ale musi zostać wygłoszony przy świadkach. Świadkowie ci nie mogą być obdarowani w testamencie. – To bardzo często spotykany błąd, gdy brak jest osób postronnych, a testament spisywany jest na łożu śmierci – mówi Anna Śniegowska-Giżyńska z warszawskiej kancelarii prawnej specjalizującej się w sprawach spadkowych. Lepiej więc zawczasu zaprosić notariusza do szpitala lub domu.

No i pamiętaj – **nie rób kopii testamentu**. Kopie nie mają dla sądu stwierdzającego nabycie spadku żadnego znaczenia. Jeśli babcia chce zapisać w testamencie coś dla ciebie, poproś ją, by zrobiła kilka takich samych testamentów i jeden z nich dała ci do ręki. Zachowując testament dla siebie, unikniesz problemów, w sytuacji gdy nagle po śmierci babci okaże się, że testament zaginął. Co ważne, babcia nie musi się bać, że dając ci testament, straci w przyszłości możliwość zmiany swojej decyzji. Sąd bowiem zawsze sprawdza datę dokumentu. Jeśli więc pojawi się nowy testament z nową datą, zmieniający stare postanowienia, ten z datą wcześniejszą nie będzie miał dla sądu znaczenia (o ile nie znajdowały się w nim treści, które nie są zawarte w nowym).

O sporządzeniu kilku tożsamych testamentów warto pamiętać, zwłaszcza że koszt jednego takiego notarialnego wypisu (czyli pełnego i tożsamego z testamentem dokumentu) to zaledwie 6 złotych plus 22 procent VAT.

Fot. J. DE VILLIERS/H&L/EAST NEWS

ZRÓB DYSPOZYCJE NA WYPADEK ŚMIERCI

Niezależnie od sporządzenia testamentu pamiętaj o odpowiednich zapisach w umowach z instytucjami, w których ulokowane są twoje oszczędności. Warto podpisać umowę z bankiem zawierającą „dyspozycję na wypadek śmierci", dzięki czemu wskazana przez ciebie bliska osoba (wyłącznie: małżonek, rodzice, dziadkowie, dzieci, wnuki, prawnuki lub rodzeństwo) będzie mogła po twojej śmierci dostać 20-krotność przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw bez czekania na przeprowadzenie sprawy spadkowej.

W sierpniu 2005 roku takie przeciętne wynagrodzenie wyniosło 2480,56 złotego. Ktoś z rodziny może więc otrzymać w sumie prawie 50 tysięcy złotych. Możesz zrobić też prezent kilku osobom, ale suma dyspozycji nie może przekroczyć wspomnianej 20-krotności przeciętnego wynagrodzenia. To doskonałe rozwiązanie zwłaszcza dla wnuków (za życia rodziców nie dziedziczą po dziadkach), aby od razu osłodzić im twoją śmierć dość pokaźną sumką. Jeśli jednak na koncie mamy więcej pieniędzy niż 50 tysięcy złotych, to reszta będzie musiała poczekać na podział między spadkobierców.

Od tej dyspozycji nie płaci się podatku spadkowego.

O dyspozycji na wypadek śmierci pamiętaj też, gdy podpisujesz umowy z takimi instytucjami, jak otwarty fundusz emerytalny (II filar), firma prowadząca pracowniczy program emerytalny (III filar), firma ubezpieczeniowa, spółdzielcza kasa oszczędnościowo-kredytowa i fundusz inwestycyjny. Jeśli nie dokonasz takiej dyspozycji, całość twoich pieniędzy wejdzie w skład masy spadkowej i zostanie podzielona na uprawnionych do dziedziczenia spadkobierców – nawet tych, których nie znosisz od lat.

Dyspozycji nie możesz dokonać w przypadku akcji i obligacji – prawo do papierów wartościowych w całości przechodzi na spadkobierców.

DZIEDZICZYSZ, CZYLI O CZYM MASZ PAMIĘTAĆ JAKO SPADKOBIERCA

Jeśli jesteś jednym ze spadkobierców (niezależnie od tego, czy wynika to z testamentu, czy z ustawy), od razu po Jej lub Jego śmierci wystąp do sądu z wnioskiem o stwierdzenie nabycia spadku.

Dla osób, które nie przeprowadzą sprawy spadkowej, polskie prawo nie przewiduje żadnych sankcji prawnych, ale spadkobiercy, którzy nie otrzymają prawomocnego orzeczenia sądu o nabyciu spadku, mogą szybko narazić się na poważne problemy. Gdy zechcemy sprzedać spadek w postaci nieruchomości, to przy sporządzaniu notarialnego aktu sprzedaży notariusz zażąda nie tylko postanowienia sądu o nabyciu spadku, ale również zaświadczenia z urzędu skarbowego o rozliczeniu się z tytułu otrzymanego spadku. Podobne kłopoty pojawią się przy spadku w postaci mieszkania spółdzielczego – tu bardzo szybko (maksymalnie w ciągu roku) spółdzielnia poprosi nas o przekazanie dokumentów stwierdzających nabycie spadku. Bez sądowego orzeczenia nie sprzedamy też spadkowego samochodu, zaś posługując się imieniem zmarłego przy dokonywaniu opłat za ubezpieczenie samochodu, narażamy się na odpowiedzialność karną i oskarżenia

o poświadczenie nieprawdy (kara do dwóch lat więzienia).

Adwokat Anna Śniegowska-Giżyńska ubolewa, że Polacy nie przeprowadzają spraw spadkowych, nawet gdy sytuacja jest prosta (jeden spadkobierca), a stwierdzenie nabycia spadku szybkie i tanie. – Sprawa o nabycie spadku odbywa się zazwyczaj w ciągu jednej krótkiej rozprawy sądowej i wiąże się z opłatą wynoszącą zaledwie 20 złotych. A dzięki temu legalnie i w dowolny sposób możemy rozporządzać majątkiem, który odziedziczyliśmy – przekonuje.

Sprawa nie jest już taka prosta, gdy do dziedziczenia uprawnionych jest kilka osób, do tego skłóconych. Wówczas trzeba przeprowadzać drugą sprawę sądową o tak zwany dział spadku. Tu zdarza się, że sprawy przeciągają się nawet do kilku lat. Do wyceny majątku powoływani są biegli, a strony nawzajem udowadniają swoje „większe prawa”.

Sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana, gdy sam spadkodawca przejął majątek bez sprawy spadkowej. Jeszcze gorzej, gdy takich spraw w rodzinie nie przeprowadzano przez wiele pokoleń. Wówczas na obecnym spadkobiercy ciąży obowiązek przeprowadzenia spraw zaległych – za rodziców, za dziadków, pradziadków i tak dalej.

– Dodatkowo, gdy krąg spadkobierców jest trudny do ustalenia, sąd musi dokonać ich wezwania poprzez ogłoszenie w prasie ogólnopolskiej, co może jeszcze bardziej przedłużyć sprawę. Sąd na zgłoszenia potencjalnych spadkobierców czeka aż sześć miesięcy – podkreśla Zbigniew Romaniuk, radca prawny. Mimo to przeprowadź postępowanie spadkowe. Unikniesz problemów z ewentualną sprzedażą pozyskanych dóbr i spiętrzenia problemów w przyszłości.

ZANIM DOJDZIE DO SPRAWY W SĄDZIE

Zabezpiecz dobra zmarłego. Każdy spadkobierca ma prawo złożyć do sądu wniosek o zabezpieczenie spadku. To ważne, gdy nie mieszkałeś z osobą zmarłą i obawiasz się, że rodzina tuż po śmierci będzie chciała zabrać z domu cenne przedmioty i oszczędności. Możesz wnioskować o dokonanie spisu inwentarza. Wykona go komornik po otrzymaniu orzeczenia z sądu. Pamiętaj jednocześnie, że jeśli nie jesteś spadkobiercą, ale należysz do bliskiej rodziny zmarłego i mieszkałeś z nim przed śmiercią, nikt nie może wyrzucić cię z mieszkania przez trzy miesiące od śmierci tej osoby.

Odrzuć spadek. Jeśli wiesz, że mieszkanie albo firma, która należała do zmarłego, są zadłużone, możesz nie przyjąć spadku. Nawet jeśli jesteś jedynym spadkobiercą. W ostateczności majątek przejmie Skarb Państwa. Ale uważaj: na odrzucenie spadku masz tylko sześć miesięcy od momentu śmierci spadkodawcy. Jeśli termin ten przegapisz, spadek jest twój. A razem z nim – być może – gigantyczne długi.

– Jest jeszcze inne rozwiązanie – wyjaśnia Zbigniew Romaniuk – nazywane „przyjęciem spadku z dobrodziejstwem inwentarza”. Załóżmy, że dostałeś mieszkanie, a długi spadkodawcy wynoszą zaledwie kilkanaście tysięcy złotych. W tym przypadku będziesz odpowiadał tylko do wartości spadku. To, w jaki sposób go przejmiesz, zależy już od spadkobiercy. Decyzję w formie oświadczenia przed sądem albo notariuszem podejmujesz w ciągu pół roku – albo przyjmujesz spadek, albo go odrzucasz, albo właśnie przyjmujesz z dobrodziejstwem inwentarza.

Spróbuj dogadać się z rodziną. Podział spadku wcale nie musi zostać stwierdzony sądownie. Wystarczy, że zaproponujesz spadkobiercom jakieś ugodowe rozwiązanie i wspólnie spiszecie umowę o podziale majątku. Będzie ona ważna, o ile oczywiście będziecie mieli postanowienie sądu o nabyciu spadku. Jedynie w przypadku, gdy w masę spadkową wchodzą nieruchomości, konieczne jest zawarcie umowy przed notariuszem. Pamiętaj – nie musisz udawać się do Temidy! Wystarczy, że uruchomisz swoje umiejętności negocjacyjne!

GDY MUSISZ IŚĆ DO SĄDU

Podważ testament. To częsta praktyka osób walczących o majątek, skuteczne podważenie testamentu oznacza bowiem, że sąd nawet w najmniejszym stopniu nie będzie brał pod uwagę woli spadkodawcy. Dowiedz się więc, w jakich okolicznościach był pisany testament. Jeśli okaże się, że na przykład tuż przed operacją, będzie można próbować go podważyć. Można bowiem udowadniać, że choroba osoby spisującej dokument uniemożliwiała jej właściwą ocenę sytuacji. Testament można unieważnić także wtedy, gdy sądzisz, że został spisany pod wpływem błędu lub strachu przed kimś z rodziny. Są jeszcze inne sposoby, a jeśli testament zostanie obalony, dochodzi do dziedziczenia ustawowego.

Staraj się o zachowek. Jeśli w testamencie nie zostałeś ujęty, a należysz do bliskiej rodziny, możesz i tak przejąć sporą sumę pieniędzy. Gwarantuje ci to prawo do zachowku, czyli do określonych świadczeń pieniężnych, jakie należą się małżonkowi zmarłego, jego dzieciom, wnukom oraz rodzicom, wtedy gdy osoby te zostały w testamencie pominięte. Otrzymując zachowek, dostaniesz połowę tego, co przypadłoby ci przy dziedziczeniu ustawowym, a w przypadku osób niezdolnych do pracy lub małoletnich – dwie trzecie.

Prawa do dochodzenia zachowku nie mają spadkobiercy, którzy zostali w testamencie wydziedziczeni. Ale uwaga! Wystarczy, że spadkodawca w testamencie nie dokona wydziedziczenia w sposób wyraźny (co może się wiązać na przykład z nieużyciem słowa „wydziedziczam”), a zachowku nie stracisz.

Jest przy tym ważne, że nie można nikogo wydziedziczyć bez powodu. Osoba, którą chcesz pozbawić prawa do zachowku, musi dopuścić się umyślnego przestępstwa wobec ciebie lub osoby ci najbliższej, rażącej obrazy czci, nie dopełniać obowiązków rodzinnych albo postępować w sposób sprzeczny z zasadami współżycia społecznego. W sądzie można też dowodzić, że spadkodawca po wydziedziczeniu wybaczył ci określony czyn. Wówczas wydziedziczenie może okazać się nieważne.

Walcz o jak najkorzystniejszy podział spadku. Sąd może orzec o podziale majątku na trzy sposoby. Wybierz ten, który będzie dla ciebie najkorzystniejszy.

1. Sąd może zdecydować o sprzedaży rzeczy wspólnej i podzieleniu kwoty uzyskanej ze sprzedaży między spadkobierców.

2. Może przyznać im poszczególne przedmioty, a dla wyrównania strat każdemu kazać dopłacić odpowiednie sumy.

3. Sąd może też cały majątek przyznać tylko jednej z osób i kazać jej spłacić należności pozostałym spadkobiercom.

Jeśli więc na przykład myślisz, że wartość mieszkania, jakie przypadło rodzinie w spadku, za chwilę wzrośnie, walcz o to, by nie doszło do jego sprzedaży w wyniku podziału spadku. Pamiętaj bowiem, że przy sprzedaży nieruchomości liczą się stawki aktualne w momencie podziału spadku.

SPADKODAWCY I SPADKOBIORCY: UWAŻAJCIE NA PUŁAPKI

Bądź czujny, gdy prowadzisz spółkę. Jeśli masz ze wspólnikiem spółkę cywilną lub jawną, koniecznie w jej umowie zapisz, kto ma być spadkobiercą twoich praw i obowiązków. W innym przypadku po twojej śmierci twoje zyski przypadną współwłaścicielowi, nawet jeśli w testamencie zapiszesz, że udziały przekazujesz członkom rodziny.

Nie kombinuj z umowami o spadek – są nieważne. Zdarza się, że w rodzinie podpisywane są umowy o przejęcie majątku (na przykład mieszkania) po śmierci. Do podpisywania takich umów dochodzi, gdy – przykładowo – córka wykupuje mieszkanie lokatorskie, a w zamian za to ojciec zapisuje w umowie, że w testamencie

Jeśli należące do zmarłego mieszkanie lub firma są zadłużone, możesz nie przyjąć spadku. Ale uważaj: na odrzucenie spadku masz sześć miesięcy od śmierci spadkodawcy. Gdy przegapisz ten termin, spadek jest twój

KTO MA PRAWO DZIEDZICZENIA?

Jeśli zmarły nie zostawił testamentu, dochodzi do dziedziczenia ustawowego. Spadkobiercy ustawowi są podzieleni na grupy, które dochodzą do dziedziczenia, jeśli nie ma spadkobierców z grupy wcześniejszej.

DO GRUPY PIERWSZEJ NALEŻĄ: małżonek spadkodawcy, jego dzieci oraz zstępni dzieci (jeśli dzieci nie żyją). Dziedziczą w równych częściach, ale udział przypadający małżonkowi nie może być mniejszy niż jedna czwarta spadku. Przy czym dziedziczeniu podlega tylko połowa majątku zmarłego, jeśli nie było intercyzy.

DO GRUPY DRUGIEJ NALEŻĄ: małżonek spadkodawcy, jego rodzice, rodzeństwo oraz zstępni (dzieci, wnuki, prawnuki) rodzeństwa. Połowę spadku dostaje małżonek. Drugą połową dzielą się rodzice zmarłego i rodzeństwo (bądź ich potomkowie). Każdy z rodziców musi dostać po jednej ósmej spadku, rodzeństwo zaś dziedziczy w częściach równych. Gdy jedno z rodzeństwa nie dożyje spadku, jego udział dziedziczą po równo dzieci, wnuki bądź prawnuki.

Jeśli nie ma spadkobierców ani z pierwszej, ani z drugiej grupy, spadek przypada Skarbowi Państwa.

KTO I JAK DZIEDZICZY?

Aby dokonać podziału spadku, sąd musi przeliczyć wartość majątku, przy czym bierze pod uwagę ceny, jakie obowiązują w chwili podziału spadku.

PRZYKŁAD 1

Jan Kowalski umarł, zostawiając żonę, córkę i dwoje wnuków – dzieci zmarłego rok wcześniej syna. Zostawił też mieszkanie hipoteczne (warte 200 tys. zł) oraz samochód (20 tys. zł).

KTO ILE DOSTANIE?

Do spadku wchodzi połowa majątku – pół należy do żony, bo przed śmiercią Jana nie dokonano intercyzy. Druga połowa dzielona jest według zasad dziedziczenia ustawowego. Żona weźmie więc 36,66 tys. zł (jedną trzecią), córka – 36,66 tys. zł (jedną trzecią), dzieci zmarłego syna – po 18,33 tys. zł (po jednej szóstej, bo syn miałby prawo do jednej trzeciej). Mieszkanie może zostać w rękach żony, ale sąd może zobowiązać ją do spłaty odpowiednich należności córce i dzieciom zmarłego syna.

PRZYKŁAD 2

Jan Kowalski umarł, zostawiając syna, córkę i testament, w którym obdarował jedynie syna. Przepisał mu mieszkanie własnościowe (150 tys. zł) oraz samochód (10 tys. zł). Dla córki przeznaczył swoje oszczędności – dokonał dyspozycji na wypadek śmierci na kwotę 20 tys. zł.

KTO ILE DOSTANIE?

20 tys. zł z konta bankowego trafi do córki (suma ta nie wchodzi do spadku). Kowalski w testamencie nie napisał nic o wydziedziczeniu córki, będzie więc miała prawo starać się o zachowek (patrz tekst). Podział majątku będzie następujący: syn dostanie mieszkanie i samochód, ale będzie musiał córce Kowalskiego zapłacić 40 tys. zł – połowę tego, co należałoby się jej w przypadku dziedziczenia ustawowego.

PRZYKŁAD 3

Jan Kowalski zginął w wieku 30 lat, zostawiając pięcioletnie dziecko i żonę. Miał mieszkanie (warte 200 tys. zł), kredyt mieszkaniowy (do spłaty pozostało 50 tys. zł) oraz samochód (40 tys. zł). Miał też lokatę założoną jeszcze przed ślubem z 20 tys. zł otrzymanymi od rodziców.

KTO ILE DOSTANIE?

Brak intercyzy oznacza, że rzeczy nabyte po ślubie w połowie należą do żony. Należy się więc jej 120 tys. zł – połowa wartości mieszkania i samochodu. Lokata założona przed ślubem to majątek odrębny zmarłego, wchodzi więc do masy spadkowej, która dzielona jest na wszystkich spadkobierców. Majątek do podziału wynosi zatem 140 tys. zł. Do przejęcia jest też spłata kredytu. Prawo do dziedziczenia w częściach równych ma żona i dziecko. Dostają po 70 tys. zł i obowiązek spłaty kredytu. Jeśli kredytu spłacać by nie chcieli, mogą spadek odrzucić. Zarząd nad spadkiem dziecka do uzyskania pełnoletności sprawuje wdowa-matka. Oznacza to, że jeśli będzie chciała na przykład sprzedać samochód czy mieszkanie, o zgodę będzie musiała wystąpić do sądu rodzinnego.



przepisze na nią mieszkanie. Zgodnie z orzeczeniem Sądu Najwyższego taka umowa nigdy jednak przez sąd nie zostanie uznana. Spadkiem można rozporządzić, jedynie spisując testament. Dopilnuj więc, córko, by ojciec sporządził ten testament.

Nie wykorzystuj karty bankomatowej. Nawet jeśli babcia dała ci kartę bankomatową z PIN-em, żebyś po jej śmierci wypłacał sobie z konta jej pieniądze – nie rób tego. Jeśli dojdzie do sprawy spadkowej, wypłata po śmierci wyjdzie na jaw i wówczas będziesz musiał wszystkie pieniądze zwrócić. Dodatkowo narazisz się na odpowiedzialność karną. Chyba że w wyniku sprawy spadkowej prawo do tych pieniędzy zostanie przyznane wyłącznie tobie.

Uważaj na poręczenia kredytów. Jeśli rodzeństwo chce, żebyś poręczył kredyt na budowę domu czy kupno mieszkania, zabezpiecz się odpowiednimi zapisami. Inaczej na wypadek śmierci – na przykład siostry – to ty będziesz musiał spłacać kredyt, a prawo do mieszkania i tak przypadnie jej mężowi i jej dzieciom. W takiej sytuacji najlepiej poprosić siostrę o testament, w którym wydziedziczy ona męża i dzieci. Po spłacie domu będą oni mogli napisać nowy testament, który tym samym unieważni stary. Choć pamiętaj, że jeśli rodzeństwo będzie nieuczciwe, zawsze może zmienić swoją wolę bez twojej wiedzy. Możesz też poprosić siostrę o zawarcie umowy z synem o zrzeczenie się dziedziczenia. Tyle że wówczas syn straci również prawo do zachowku.

JAK OSZCZĘDZIĆ NA PODATKACH

Spadek to także konieczność odprowadzenia podatku. Ucieczka w przekazanie majątku darowizną nie ma sensu, ponieważ wysokość haraczu dla fiskusa w obu przypadkach jest taka sama. W ciągu miesiąca od momentu nabycia spadku spadkobierca musi zapłacić podatek. Warto jednak znać parę zasad, które pozwolą ograniczyć jego wydatki.

Spadkodawco: powołaj współwłaściciela rachunku. Uciec od podatku od zgromadzonych na koncie oszczędności jest bardzo łatwo, ale musisz mieć zaufanie do obdarowywanego. Wystarczy, że tuż przed śmiercią na przykład ojca pełnoletnie dziecko stanie się współwłaścicielem rachunku. Wówczas ani nie zapłaci podatku, ani nie będzie musiało starać się o prawo do tych pieniędzy poprzez sąd. Pamiętaj jednak, że jeśli w wyniku takiej operacji staniesz się właścicielem pokaźnego majątku, może zainteresować się tobą urząd skarbowy.

Mieszkania nie zapisuj, lecz je sprzedaj. Jeśli mieszkanie przed śmiercią sprzedasz na przykład córce, zapłacisz podatek od czynności cywilnoprawnych w wysokości dwóch procent. To dużo bardziej opłacalne niż podatek od spadku, który w przypadku mieszkania byłby dużo wyższy. Córka za mieszkanie o wartości 300 tysięcy złotych zapłaciłaby 19 708 złotych, w przypadku podatku od sprzedaży nieruchomości – 6000 złotych.

Spadkobiorco: nie za każdą nieruchomość zapłacisz podatek. Sprzedaż lokalu jest opłacalna, jeśli przejmowane w spadku mieszkanie nie jest twoim jedynym. Jeśli zaś nie masz żadnego innego, skorzystaj z tak zwanej ulgi mieszkaniowej, jaką przewiduje ustawa o podatkach od spadków i darowizn. Do podatku nie wlicza się bowiem wartości mieszkania poniżej 110 metrów. Do ulgi tej mają prawo osoby, które zaliczane są do I lub II grupy podatkowej, a także osoby z III grupy (patrz ramka), jeśli opiekowały się spadkodawcą przez dwa lata przed jego śmiercią.

Pamiętaj też, że prawo do zwolnienia podatkowego stracisz, gdy podarowane mieszkanie sprzedasz w ciągu pięciu lat. Prawo do ulgi stracą również opiekunowie, którzy nie zawrą ze spadkodawcą umowy o opiekę przed urzędem gminy.

***

W Polsce w 2004 roku odnotowano ponad 360 tysięcy zgonów, podczas gdy do sądów rejonowych wpłynęło zaledwie 190 tysięcy spraw o nabycie spadków.

– Ludzie nie przeprowadzają spraw spadkowych, bo boją się makabrycznie wysokich podatków. Zdarza się, że ich wysokość przekracza możliwości finansowe spadkobierców – wyjaśnia notariusz Bożena Strojnowska. – Chętniej przeprowadzalibyśmy sprawy spadkowe, gdyby wprowadzono większą kwotę wolną od podatku albo całkowicie zlikwidowano podatek spadkowy – dodaje.

Problem w tym, że o likwidacji „podatku od śmierci" mówi się już w Polsce od lat, ale wciąż nic w tej sprawie się nie zmieniło. Na razie pozostaje więc nam kombinować i układać swoje stosunki rodzinne tak, by życzliwość babć czy dziadków przerodziła się w nasze bogactwo.

O likwidacji podatku spadkowego mówi się w Polsce od lat, ale na razie nic się nie zmieniło. Pozostaje więc tak układać sobie stosunki rodzinne, by życzliwość babć czy dziadków przerodziła się w nasze bogactwo

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Podyskutuj o tym na onet.pl

KOMÓRKA W LOCIE

Dlaczego ludzie awanturują się w samolotach? Choć pierwszą przyczyną jest alkohol, to zaraz za nim plasują się kłótnie o wyłączenie telefonu komórkowego i innych urządzeń elektronicznych. Pewien Brytyjczyk za zlekceważenie poleceń załogi trafił nawet do więzienia. Czy komórka rzeczywiście może spowodować katastrofę lotniczą?

„Używanie telefonów komórkowych na pokładzie samolotu jest zabronione" – taki komunikat można usłyszeć przed każdym startem. Zakaz uzasadniany jest bezpieczeństwem lotu – ponoć fale emitowane przez telefon mogą zakłócić działanie przyrządów pokładowych.
Czy faktycznie ma to uzasadnienie? Znane są co najmniej dwa wypadki, których przyczyny wiąże się z działaniem telefonu komórkowego – katastrofę samolotu linii Crossair w 2000 roku i awaryjne lądowanie słoweńskiej maszyny w 2001 roku. Problem w tym, że to tylko podejrzenia – nie istnieją badania, które w stu procentach potwierdzałyby niebezpieczeństwo.
Część specjalistów twierdzi nawet, że ryzyko nie istnieje, a całe zamieszanie wynika raczej z troski o interesy linii lotniczych i operatorów telefonii komórkowej. Chodzi o to, że minuta rozmowy ze specjalnego telefonu pokładowego kosztuje około trzech dolarów. Takie telefony wykorzystują bezpieczny dla samolotu system nadawania. Z kolei sygnał telefonu dolatujący z wysokości 10 kilometrów z samolotu lecącego 900 kilometrów na godzinę wprowadza straszne zamieszanie w naziemnej sieci komórkowej, która nie nadąża z przełączaniem pomiędzy kolejnymi stacjami bazowymi.

TELEFON KOMÓRKOWY

ZALEŻNIE OD SYSTEMU, W JAKIM DZIAŁA, KOMÓRKA EMITUJE FALE O CZĘSTOTLIWOŚCI OD 850 MHZ DO 1,8 GHZ. ZWYKLE TELEFON WYSYŁA SYGNAŁ O MOCY OD 1 DO 5 WATÓW, JEDNAK ABY SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z ZIEMIĄ Z WYSOKOŚCI 10 KILOMETRÓW, MOŻE OSIĄGNĄĆ NAWET 10 WATÓW. GDYBY JEDNOCZEŚNIE NADAWAŁO TAK KILKASET TELEFONÓW, FAKTYCZNIE MOGŁYBY POWSTAĆ POWAŻNE ZAKŁÓCENIA SYSTEMÓW SAMOLOTU

ZDALNE STEROWANIE

WIĘKSZOŚĆ LINII ABSOLUTNIE ZABRANIA UŻYWANIA ZDALNIE STEROWANYCH MODELI, CHOĆ NADAJĄ ONE NA NIEGROŹNYCH CZĘSTOTLIWOŚCIACH – ZWYKLE 27, 49 LUB 75 MHZ. PROBLEM W TYM, ŻE SIŁA TAKICH NADAJNIKÓW MOŻE BYĆ BARDZO DUŻA

iPOD

ODTWARZACZE MP3 WYSYŁAJĄ SYGNAŁY W ZAKRESIE OKOŁO 50–200 MHZ, JEDNAK ICH MOC JEST TAK NIEWIELKA, ŻE NIE MOGĄ MIEĆ WPŁYWU NA BEZPIECZEŃSTWO

LAPTOP

PROCESORY LAPTOPÓW PRACUJĄ Z CZĘSTOTLIWOŚCIĄ OD 1 DO 2,5 GHZ, A PALMTOPÓW – OD 400 DO 800 MHZ. SYSTEMY SAMOLOTU KORZYSTAJĄ Z PODOBNYCH FAL – OKOŁO 330 MHZ I PONAD 1 GHZ. JEDNAK WIĘKSZOŚĆ KOMPUTERÓW JEST DOBRZE EKRANOWANA, A POZA TYM NATĘŻENIE FAL SPADA WRAZ Z KWADRATEM ODLEGŁOŚCI. OZNACZA TO, ŻE KOMPUTER ZNAJDUJĄCY SIĘ O KILKADZIESIĄT CENTYMETRÓW OD URZĄDZEŃ NAWIGACYJNYCH PRAKTYCZNIE NIE MA NA NIE WPŁYWU

DVD

CORAZ POPULARNIEJSZE PRZENOŚNE ODTWARZACZE DVD EMITUJĄ GŁÓWNIE FALE O CZĘSTOTLIWOŚCIACH NIŻSZYCH NIŻ NIEBEZPIECZNE DLA SAMOLOTU. PODOBNE SYGNAŁY NADAJĄ NA PRZYKŁAD DOPUSZCZONE ROZRUSZNIKI SERCA, APARATY SŁUCHOWE CZY GOLARKI ELEKTRYCZNE

KONSOLA

NOWOCZESNE KONSOLE DO GIER PRACUJĄ Z CZĘSTOTLIWOŚCIĄ OKOŁO 300 MHZ I MOGĄ BYĆ WYPOSAŻONE W SYSTEMY ŁĄCZNOŚCI BEZPRZEWODOWEJ, TAKIE JAK WI-FI CZY BLUETOOTH. TEORETYCZNIE WIĘC ICH UŻYWANIE MOŻE ZAKŁÓCAĆ SYSTEMY SAMOLOTU, JEDNAK PRZEPISY NIE NADĄŻAJĄ ZA TECHNIKĄ I TAKIE ZABAWKI NIE SĄ ZABRONIONE

TELEFON UŻYWA NIEWIELKIEJ MOCY SYGNAŁU, BY POŁĄCZYĆ SIĘ Z POKŁADOWĄ STACJĄ, KTÓRA PRZEKAZUJE ROZMOWY PRZEZ SATELITĘ

PRZY BEZPOŚREDNIM ŁĄCZENIU SIĘ Z ZIEMIĄ KOMÓRKA EMITUJE NIEBEZPIECZNIE SILNY SYGNAŁ

CZASEM MOŻNA

Kilka firm, między innymi AirCell i OnAir, której jednym z udziałowców jest Airbus, opracowało system, który pozwala na prowadzenie rozmów przez zwykłe komórki z pokładu samolotu. Pomysł polega na umieszczeniu na pokładzie stacji bazowej, z którą łączą się telefony pasażerów. Dzięki temu emitują sygnały o minimalnej mocy, która nie zakłóca działania systemów samolotu. Dalej sygnały wysyłane są do satelity telekomunikacyjnego zapewniającego kontakt z Ziemią.
System ma zacząć działać komercyjnie w przyszłym roku. Operator zapewnia, że ceny połączeń i SMS-ów będą zbliżone do tych, jakie płaci się w międzynarodowym roamingu, a więc nawet dwa razy niższe niż przy połączeniach ze specjalnych telefonów pokładowych.

OSTATNIA ENKLAWA

Problem telefonów komórkowych na pokładach samolotów związany jest nie tylko z bezpieczeństwem lotu. Wielu ludzi ceni sobie loty jako jedyne chwile, gdy spokoju nie zakłóca wszechobecne granie komórkowych sygnałów. Dlatego pomysły uruchomienia nowej usługi wzbudzają wiele kontrowersji wśród często latających osób. Kilkunastogodzinny lot transkontynentalny wypełniony brzęczeniem kilkuset komórek faktycznie może stać się koszmarem. Może więc rzeczywiście lepiej pozostać przy obowiązujących zakazach?

KOLUMNY OPRACOWAŁ PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJE PIOTR GIDLEWSKI

truciciele świata



Złoto wydobywa się metodą odkrywkową. W ziemi powstają tak ogromne kratery, że widać je z kosmosu. Największy to Bingham Canyon w Utah – ma 1,5 kilometra głębokości i 4 kilometry średnicy. Na zdjęciu kopalnia Inti Raymi w Boliwii

ZŁOTEM OPĘTANI

Mała złota obrączka wymaga wykopania z ziemi trzech ton rudy złota, zatrucia setek tysięcy litrów wody cyjankiem, stworzenia ton toksycznych odpadów. Odpowiedzialność za to nosisz na palcu



Jak zostać współwłaścicielem ton toksycznych odpadów, których działanie porównywalne jest z efektem zanieczyszczenia odpadami atomowymi? Jak dorzucić się do finansowania masowych zniszczeń raf koralowych czy lasów deszczowych? Jak zasponsorować kilka spektakularnych katastrof ekologicznych, przy których wypadki tankowców z ropą wydają się rozczulająco niewinne? Albo wziąć udział w truciu metalami ciężkimi setek tysięcy ludzi, w degradacji rzek i oceanów?

Nie możesz tego dokonać? Uwierz w siebie. Wystarczy kupować złoto.

Teraz to podobno świetna inwestycja. Ten cenny kruszec osiągnął właśnie rekordową od 17 lat cenę 480 dolarów za uncję i, jak się zapowiada, „ma przed sobą tłusty okres". Bariera 500 dolarów za uncję powinna zostać pokonana przed Bożym Narodzeniem. Cena wciąż będzie rosła. To podobno odpowiedź rynku na niepewne czasy światowego terroryzmu i wojen, kiedy okazuje się, że jedynie twardy metal, a nie iluzoryczne akcje, stanowi bezpieczną lokatę kapitału.

Zanim jednak ulegniesz złotej gorączce, dobrze rozważ, na co pójdą twoje pieniądze. Poznaj drugie oblicze złota. Wrażliwych ostrzegam: to wycieczka na ciemną stronę mocy.



Największe koncerny wydobywające złoto: Newmont Mining (USA), AngloGold Ashanti (Afryka Południowa), Barrick Gold (Kanada), Gold Fields (Afryka Południowa), Placer Dome (Kanada)

Trzy tony na palcu

Nosisz obrączkę? Żeby można było ją wyprodukować, gdzieś w kopalniach Afryki czy Ameryki Południowej trzeba było wydobyć trzy tony (to nie pomyłka) rudy złota. By uzyskać uncję (28,35 grama) czystego złotego kruszcu potrzeba dziesięć razy więcej. Zanim górnicy dokopią się do rudy, muszą wydobyć pół miliona ton skały dziennie. Góra usypana z tej ilości ziemi osiągnęłaby rozmiar Wielkiej Piramidy w Gizie.

Ruda to minerał zawierający związki metali. Jak uzyskać z niej czysty kruszec? Specjaliści robią to tak: rudę usypują w hałdy, które następnie polewają wodnym roztworem cyjanku sodu. On wytrąca metal, który pozyskuje się z wody w kolejnych procesach chemicznych. Ta metoda nosi nazwę ługowania lub cyjankowania.

W tej technologii wykorzystana musi być woda pitna, słona powodowałaby bowiem korodowanie sprzętu.

Tylko jedna kopalnia złota w Nevadzie w USA zużywa do tego celu 380 tysięcy metrów sześciennych wody na dzień. W ciągu kilku lat spowodowało to obniżenie się poziomu wód gruntowych o 300 metrów. Raz wykorzystana w taki sposób woda nie nadaje się do powtórnego użycia. Jest silnie zanieczyszczona cyjankiem. Przechowuje się ją w specjalnie do tego celu stworzonych stawach. Nie zawsze skutecznie. Katastrofy związane z jej uwolnieniem do środowiska stanowią dwie trzecie wypadków związanych z górnictwem metali szlachetnych.

Rzeki cyjanku

W ostatnich latach jeden z najbardziej spektakularnych wypadków tego typu miał miejsce w styczniu 2000 roku w Rumunii. Zanieczyszczona cyjankiem woda wydostała się ze stawu kopalni złota Baia Mare położonej nad rzeką Lapus. Jest ona dopływem Cisy, rzeki płynącej przez Węgry i Jugosławię. Cisa zaś stanowi dopływ Dunaju.

W krótkim czasie koncentracja cyjanku w Cisie podniosła się do 3,7 miligrama w litrze wody – to 37 razy więcej niż maksimum tolerancji. W ciągu 15 godzin w rzece wymarło wszelkie życie. Potrzeba przynajmniej 20 lat, by się odrodziło. Do tego czasu rejony wokół rzeki będą zamknięte niczym tereny Czarnobyla. Na obszarze byłej Jugosławii stężenie cyjanku wyniosło jeden miligram na litr – „tylko" 10 razy więcej niż norma. Trucizna zabijała z prędkością czterech kilometrów na godzinę. Dotarła do Dunaju.

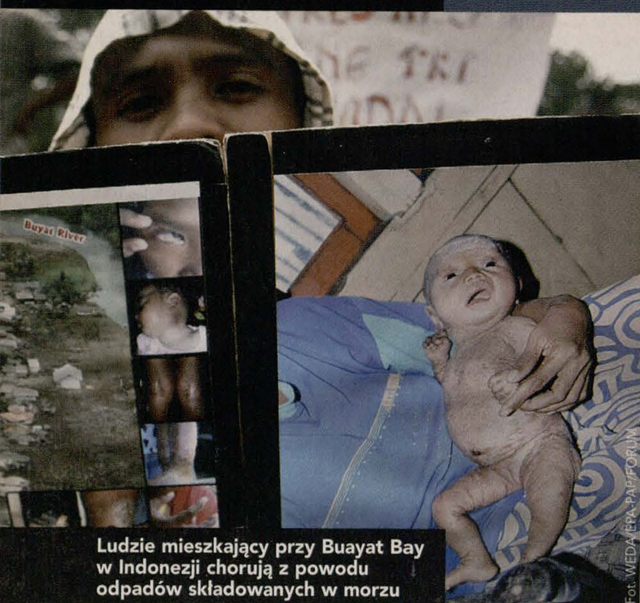
Cyjanek wytruł na Węgrzech ponad sto ton ryb. Od skażenia ucierpiała jedna czwarta obszarów chronionych. Wydano zakaz korzystania w dunajskiej wody, nawet do podlewania. Zakazano spożycia złowionych w rzece ryb. Zezwolono na pobieranie wody jedynie ze studni kontrolowanych przez inspekcję sanitarną.

Za katastrofę odpowiedzialny jest australijski koncern wydobywczy Esmeralda Exploration, właściciel kopalni. Trybunał w Hadze, do którego zwróciły się państwa dotknięte katastrofą, nakazał mu pokrycie kosztów oczyszczania środowiska, które ocenia się na 170 milionów dolarów. Wyegzekwowanie tego wyroku jest praktycznie niemożliwe.

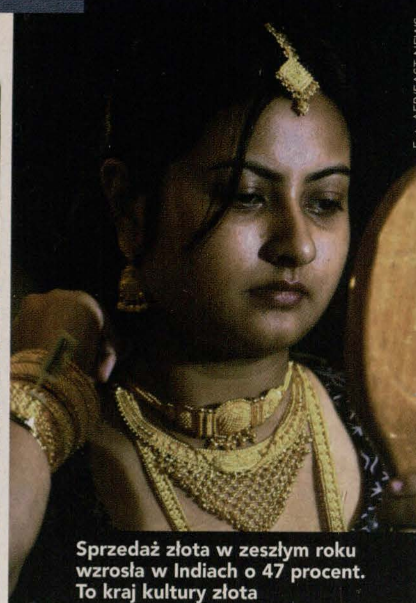
Cyjanek to niejedyne zagrożenie dla środowiska. Efektem ubocznym pozyskiwania złota jest uwalnianie ze skał arszeniku, kadmu, ołowiu, rtęci. Kopalnie metali odpowiedzialne są za 96 procent emisji arszeniku i 76 procent emisji ołowiu w USA. Suma produkowanych przez nie odpadów daje 46 procent wszystkich odpadów przemysłowych w samych Stanach Zjednoczonych.

Złotonośne skały mają jeszcze jedną nieprzyjemną cechę. Zawierają siarczki. Te ostatnie zaś w kontakcie z wodą i tlenem tworzą kwas siarkowy. W odpadach kopalnianych tego związku jest od 20 do 300 razy więcej niż w kwaśnych deszczach. Wody podziemne w okolicach kopalni mają pH –3 i ocenia się, że ich neutralizacja zajmie trzy tysiące lat. Niektóre koncerny zajmujące się wydobywaniem złota usiłują temu zaradzić, pokrywając hałdy odpadów wapnem i przysypując ziemią. Jednak reakcje chemiczne wciąż tam zachodzą – zwłaszcza w wilgotnym klimacie.

W 2004 roku na świecie pozyskano 2461 ton złota. Potentatem wydobycia jest Afryka Południowa,


Ludzie mieszkający przy Buayat Bay w Indonezji chorują z powodu odpadów składowanych w morzu

Fot. WEDA/PAP/EPA


Sprzedaż złota w zeszłym roku wzrosła w Indiach o 47 procent. To kraj kultury złota

Fot. AFP/EAST NEWS

USA mają 8143 tony złota warte 122 miliardy dolarów. To największe rezerwy. Dwa dalsze miejsca zajmują Niemcy i Międzynarodowy Fundusz Monetarny

która dostarcza 14 procent ogólnej podaży. 10 procent złota rocznie wydobywa się w USA, 10 procent w Australii, 9 procent w Chinach, 7 procent w Rosji i tyle samo w Peru. Większość złota uzyskuje się dziś w krajach rozwijających się, jak Gwatemala czy Ghana. Kompanie zajmujące się tym argumentują, że dają miejsca pracy, przyczyniają się do ekonomicznego rozwoju tych regionów. O ile jednak w USA czy Australii zabrania się składowania odpadów w naturalnych zbiornikach wodnych, o tyle w Peru, Chinach czy Indonezji nikt nie ma co do tego skrupułów. Tam ziemię zanieczyszczoną cyjankiem i metalami ciężkimi wrzuca się do rzek, mórz i oceanów.

Od 1996 do 2003 roku koncern Newmont wprowadził do zatoki Buayat Bay w Indonezji cztery miliony ton odpadów z kopalni. Okoliczni mieszkańcy cierpią tam na dolegliwości skóry, układu pokarmowego, układu nerwowego. Poziom arszeniku w niektórych miejscach zatoki sto razy przekracza normy. Obserwuje się wysokie stężenie metali ciężkich w rybach i planktonie.

Newmont nie zaprzecza, że tak pozbywa się toksycznych śmieci, zasłania się jednak pozwoleniami uzyskanymi od indonezyjskiego rządu.

W ramach uspokojenia protestów ekologów odpady wprowadza się na głębokość ponad stu metrów, argumentując, że w wodzie na tym poziomie znajduje się zbyt mało tlenu, który mógłby reagować z siarczkami i metalami. Nie ma badań uzasadniających to przekonanie.

Klątwa złota

W zachodniej Papui-Nowej Gwinei nad brzegiem rzeki Ok Tedi znajduje się kopalnia kompanii australijskiej Broken Hill Properties. Od 1984 roku wrzuca się tam odpady do rzeki. Dziennie to blisko 80 ton zużytej rudy i skał. Skutek? Zatrucie rzeki, śmierć wielu gatunków ryb, wylewy, które spowodowały zatopienie 176 kilometrów kwadratowych lasów tropikalnych, przesiedlenie 30 tysięcy ludzi z zatrutych terenów.

Bank Światowy zażądał zamknięcia kopalni w 2002 roku. Pod presją obrońców przyrody rząd zaczął rocznie wygrzebywać z rzeki po 20 milionów ton odpadów. Działalność kopalni zniszczyła już jednak obszar o powierzchni 6600 kilometrów kwadratowych, doprowadzając do katastrofy ekologicznej.

Papua-Nowa Gwinea co pewien czas pada ofiarą swych bogactw naturalnych. W marcu 2000 roku do lasu spadła tonowa paczka skoncentrowanego cyjanku transportowana przez śmigłowiec do kopalni Tolukuma należącej do australijskiej firmy Dome Resource. Cyjanek zanieczyścił źródła wody pitnej, a wszystko, co zrobiono dla miejscowych mieszkańców, to ostrzeżenie, by z nich nie korzystali.

W czerwcu 2000 roku w Peru uległa wypadkowi ciężarówka transportująca rtęć – produkt uboczny otrzymywania złota. 150 kilogramów płynnego metalu zanieczyściło 43 kilometry gruntu przy autostradzie panamerykańskiej.

Zanim przystąpiono do sprzątania, duża ilość rtęci została pozbierana przez ludność okolicznych wiosek spodziewającą się, że to drogocenny łup. Dzieci zbierały „płynne lusterko” – jak nazywały metal – do butelek po napojach.

Służbom ratowniczym udało się uprzątnąć zaledwie 15 procent toksycznego metalu. Ponad tysiąc osób uległo zatruciu. Wdychanie oparów rtęci na początku powoduje bóle głowy i nudności. Rtęć wiąże się z białkami, powodując ich degradację, zmienia działanie hormonów, enzymów, hemoglobiny i białych krwinek, zaburzając ich funkcje. Do 2004 roku odpowiedzialna za katastrofę firma Newmont wydała około 14 milionów dolarów na zlikwidowanie skutków wypadku, na usprawiedliwienie dodając, że nie można jej oskarżać o całe zło, bo przecież poza wszystkim innym zapewnia 1600 miejsc pracy, zbudowała szkołę i szpital. Czy to kompensuje zatrucie środowiska, którego skutki odczuwalne będą jeszcze wiele dziesiątków lat?

Ukryta cena

Pozarządowe organizacje ekologiczne Earthworth i Oxfam w zeszłym roku rozpoczęły kampanię „Nie brudnym metalom!”. Przygotowały raport, z którego wynika, że skutki zanieczyszczenia środowiska powodowane przez kopalnie metali porównywalne są z efektami, jakie daje zanieczyszczenie odpadami radioaktywnymi, a skala tych zanieczyszczeń dorównuje tym, jakich dopuszcza się przemysł naftowy.

Kłopot z koncernami metalowymi polega jednak na tym, że nikt ich nie zna. Logo rafinerii znajdziemy na każdej stacji benzynowej, łatwo więc nazwać winnego. Właściciele kopalni metali szlachetnych pozostają anonimowi. To powoduje, że skutecznie bronią się przed presją opinii publicznej. – Skończmy to – apelują autorzy raportu. – Pytajmy u jubilera, skąd pochodzi złoto, które zamierzamy kupić. Kupujmy raczej wyroby pochodzące z przetapiania wydobytego już złota, nie nakręcajmy rynku górniczego.

Czy to możliwe w obliczu nawoływań ekonomistów, którzy zachęcają do inwestowania w złoto? Ekologom udało się doprowadzić do tego, że w złym tonie jest noszenie naturalnych futer. Może zmienią też upodobanie gwiazd do złotej biżuterii? To byłoby coś. Złoto dawno przestało być podstawą systemu walutowego, szacuje się, że 80 procent wydobywanego kruszcu zużywane jest przez jubilerów.

Masz złotą obrączkę czy wisiorek? Pozłacane kable w sprzęcie hi-fi? Komputer (złoto wchodzi w skład wielu jego podzespołów)? Szanuj je. To droższe przedmioty, niż wynika z ich ceny. Do kosztów dolicz dewastację Ziemi.

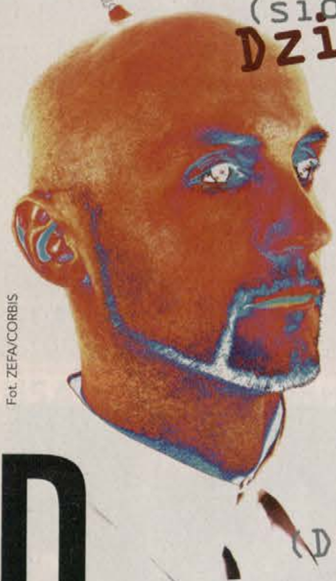
Olga Woźniak

NAJWIĘKSI ZŁOTOŻERCY

KRAJ	ZUŻYCIE 2004
INDIE	470
USA	310
CHINY	200
TURCJA	170
ARABIA SAUDYJSKA	120

Dane w tonach

Źródło: GFMS Ltd. – międzynarodowa firma badająca rynek metali szlachetnych z Wielkiej Brytanii



Fot. ZEFA/CORBIS

MÓWI, CHOĆ NIE MYŚLI

Gdy przyjdzie ci ochota nawymyślać komputerowi, uważaj! Maszyna może odpowiedzieć ci tak, że się nie pozbierasz. A niewybrednych słów nikt wcześniej nie zaprogramował – program nauczył się ich sam

Ponad pół wieku temu angielski matematyk Alan Turing bawił się z przyjaciółmi w pewną grę. Oto do jednego pokoju wchodziła kobieta, a do drugiego mężczyzna. Trzeci uczestnik miał za zadanie odgadnąć, kto jest w którym pomieszczeniu, zadając serię pytań – obie osoby umawiały się, że będą udawały kobietę. By pytający nie słyszał głosu, odpowiedzi otrzymywał na kartkach.

W 1950 roku Turing zadał pytanie, co by było, gdyby w jednym z pokojów zamiast człowieka zamknięto maszynę dysponującą sztuczną inteligencją. Czy dałoby się rozpoznać ją na podstawie samych pytań?

Ten eksperyment nazwano testem Turinga – gdyby udało się stworzyć maszynę, której nie dałoby się w rozmowie odróżnić od żywego człowieka, można by powiedzieć, że powstała wreszcie sztuczna inteligencja.

Porozmawiaj z nim

Choć od tego czasu naukowcy próbują stworzyć program, który przeszedłby test Turinga, przez wiele lat nie zdołali nawet zbliżyć się do ludzkiego wzorca. Problem nie leży w mocy obliczeniowej komputerów, ale w sposobie organizacji i działania mózgu, którego nie sposób jak dotąd odtworzyć.

Czy to znaczy, że nie mamy szansy na pogadanie z maszyną? Niekoniecznie. Od dawna powstają bowiem programy, które zamiast próbować odtworzyć cały proces ludzkiego myślenia, skupiają się na naśladowaniu tylko jednego z jego produktów – mowy. Określa się je słowem „chatbot” (*chat* od angielskiego „gawędzić” i *bot* od „robot”) lub krócej – „bot”.

Początkowo programiści tworzący boty starali się przewidzieć wszystkie możliwe pytania i odpowiedzi, jakie przydadzą się w takiej rozmowie. Większość z nich faktycznie nietrudno przewidzieć – wiadomo, jak zareagować na standardowe pozdrowienia, pytania o pochodzenie, płeć czy hobby. Jednak rozmowa bardzo szybko może zejść na tematy, których zaprogramować nie sposób, a wtedy program zaczyna się gubić i powtarzać standardowe prośby w rodzaju: „Czy możesz to ująć inaczej?”.

Z nietypowymi pytaniami zaczął sobie radzić bot nazwany Jabberwacky, którego napisał brytyjski programista Rollo Carpenter. Pomysł powstał na początku lat 80., ale dopiero w ostatnich latach ubiegłego wieku trafił do Internetu (www.jabberwacky.com) i rozpoczął naśladowanie ludzi. Moc Jabberwacky'ego polega na tym, że im więcej przeprowadzi rozmów, tym lepiej się z nim gada. System zapamiętuje w potężnej bazie danych wszystkie konwersacje, jakie kiedykolwiek przeprowadził, i analizuje ich składnię, wyłapując kontekst, w jakim pojawiają się słowa. Na tej podstawie dowiaduje się na przykład, że nowe dla niego hasło „Ridley Scott” pojawia się w kontekście słów „Gladiator”, „Obcy” oraz „reżyser” czy „film”. Zagadnięty następnym razem o reżysera „Gladiatora” jest w stanie odnaleźć jego imię i nazwisko i popisać się zdobytą wiedzą.

Problemem dla tego rodzaju systemów są ludzie, którzy wprowadzają je w błąd świadomie lub niechcący – na przykład gwałtownie zmieniając temat rozmowy. Jednak takie fałszywe skojarzenia haseł z czasem mogą być ignorowane, bo program zapamiętuje, że „Scott” często pojawia się wraz z „Gladiatorem”, a tylko raz z „Titanikiem”.

Korporacyjne bluzgi

Jabberwacky został stworzony jako program czysto rozrywkowy, ale boty pracują też zawodowo. W firmach takich jak Coca-Cola czy Burger King pełnią odpowiedzialną funkcję sieciowych recepcjonistów. Na oficjalnej stronie Coca-Coli w dziale często zadawanych pytań wita nas Hank, wirtualny reprezentant firmy, który jest wyposażony w bazę gotowych odpowiedzi chatbotem. Ułatwi kontakt z przedstawicielstwem firmy w danym kraju, wyjaśni skład napoju czy poda numer infolinii. Jest też przygotowany na nieco trudniejsze tematy – podstępnie zapytany o Pepsi kulturalnie odpowiada, że lubi tylko produkty swojej firmy. Polegnie za to na pytaniu o ulubiony film – to już nie jego praca.

Pojawiały się próby wprowadzenia do firm zmyślniejszych programów, które uczyły się na wzór Jabberwacky'ego. Okazało się jednak, że ich działanie nie zawsze jest przewidywalne. Wyniki rozmów z pięcioma takimi maszynami opublikowane w „New Scientist” pokazały, że część programów staje się z czasem... niegrzeczna. To wynik niezliczonych rozmów z internautami, którzy ze szczególnym upodobaniem składają nieszczęsnym maszynom propozycje seksualne lub obrzucają je stekiem wyzwisk. Program z czasem uczy się używania wulgaryzmów, sam zaczyna je stosować, a gdy zaskoczeni rozmówcy reagują agresywną odzywką, zapamiętuje ją i w ten sam sposób odpowiada na kolejne zaczepki. Dlatego firmy albo żałują inteligencji swoim wirtualnym przedstawicielom, albo stale kontrolują ich słowniki.

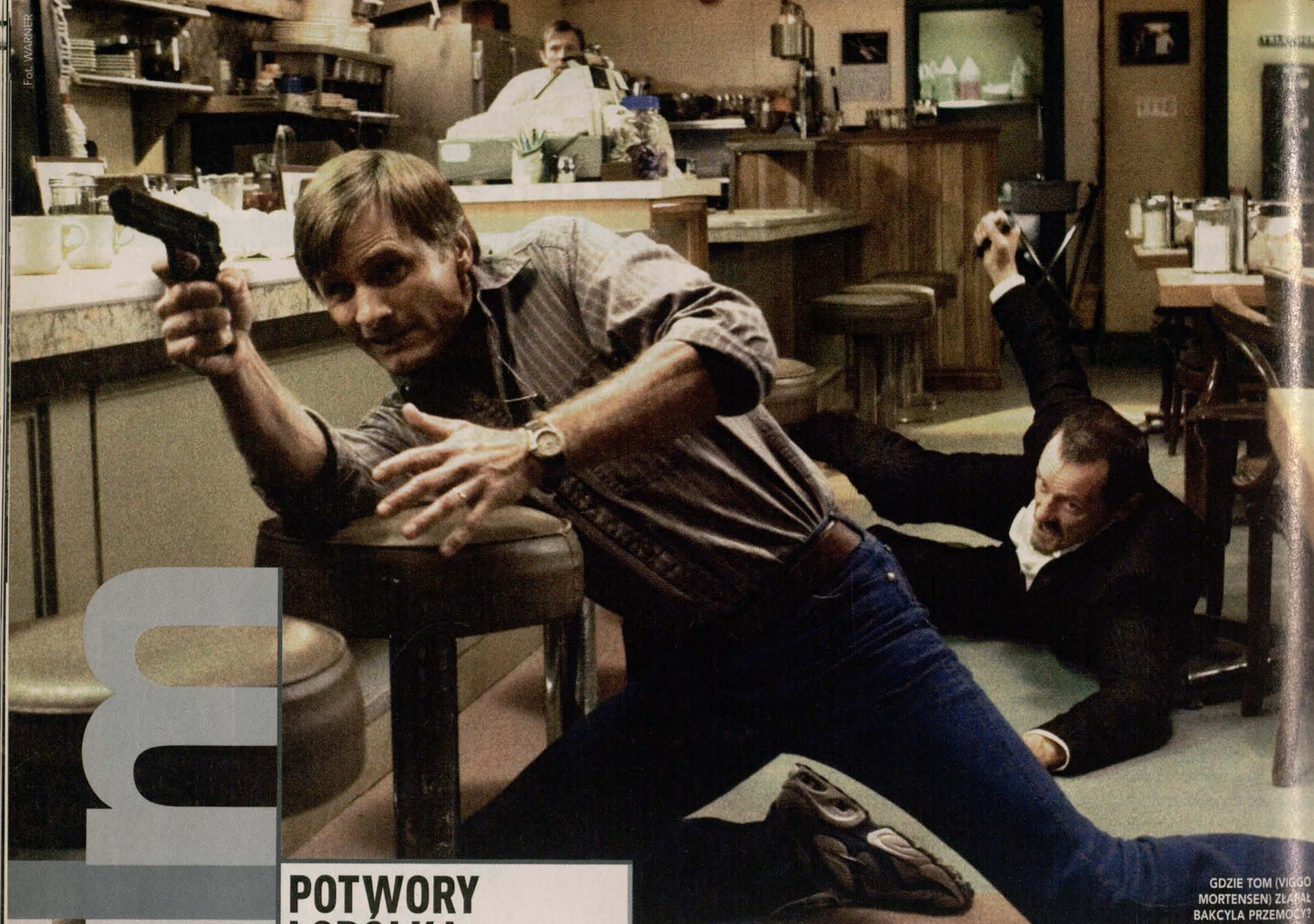
Chatboty mogą też nieźle zarabiać – w Japonii popularna jest Virtua Girl – przygotowany na telefon komórkowy program, który przedstawia piękną dziewczynę prowadzącą z użytkownikiem miłą konwersację. W trakcie rozmowy stara się nakłonić właściciela telefonu, by kupował jej wirtualne kwiaty czy biżuterię, za które musi zapłacić jak najbardziej realnymi pieniędzmi.

Choć na razie pełnego testu Turinga nie zdołał zaliczyć jeszcze żaden bot, Jabberwacky w tym roku dostał Nagrodę Loebnera przyznawaną programowi najlepiej naśladującemu prawdziwą rozmowę. Może więc zamiast szukać sztucznej inteligencji wśród sieci neuronowych i superkomputerów, wystarczy poczekać, aż programy same nauczą się mówić?

PIOTR STANISŁAWSKI

film

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujdzie
kiepskie
dno


Fot. WARNER

GDZIE TOM (VIGGO MORTENSEN) ZŁAPAŁ BAKCYLA PRZEMOCY?

POTWORY I SPÓŁKA

●●●●●○

W nowym thrillerze Cronenberga gwałt się gwałtem odciska

Nie może być przypadkiem, że David Cronenberg, specjalista od opisywania społecznych patologii i poruszania się na granicy złego smaku, opowiada tym razem historię pozbawioną wizualnych obrzydliwości i efektownych, skandalizujących ozdobników. Kiedyś – w „Crash" – prowokował jękami bohaterów, którzy do ekstazy potrzebowali wypadku samochodowego. W „Historii przemocy" odwrotnie – to sterylność, z jaką film został zrobiony i opowiedziany, okazuje się perwersyjna.

Punktem wyjścia jest tu mistrzowsko operujący zwrotami akcji thriller. Dwaj bandyci mordują w obskurnym motelu mężczyznę i przerażoną dziewczynkę z lalką w ręku. Po chwili jadą do miejscowej kawiarni i terroryzują pracowników, ale spokojny właściciel Tom Stall wykazuje się refleksem i złoczyńców zabija, po czym staje się bohaterem mediów i lokalnej społeczności. To nie koniec jednak, ale wstęp, bo prawdziwe problemy zwiastuje czarna limuzyna wyjęta wprost z filmów o mafiosach. Czego chce gangster z zamglonym okiem i blizną na twarzy (Ed Harris)? I czy rzeczywiście ułożony Stall jest tak naprawdę jego dawnym wrogiem, Joeyem z Filadelfii, który jak nikt zna się na mordowaniu ludzi?

Zanim Cronenberg odpowie na te pytania wprost, każe przyglądać się świetnie grającemu Toma Viggo Mortensenowi. Jeszcze nic się nie stało, jeszcze do niczego się nie przyznał, ale jego wyraz twarzy i oczy są już całkowicie inne: wyostrzone dziwnym błyskiem, zacięte, jakby obudził się w nich dawny instynkt.

W klasycznym filmie gangsterskim śmierć czarnego charakteru zwiastuje finał: zło zostało pokonane. U Cronenberga jest inaczej – to dopiero początek tragedii. Chodzi w tym o coś więcej niż tylko fabularne zaskoczenie – wyrządzona, a nawet obserwowana z bliska przemoc zostaje w nas na zawsze. Odciska się w sposób niewidoczny, ale nieuleczalny.

Z drugiej strony jednak okrucieństwo to nie wirus, którym zarazić można siebie i innych. Dlaczego ni z tego, ni z owego syn Toma, nad wyraz spokojny nastolatek tolerujący miesiącami znęcającego się nad nim kolegę, tłucze go nagle tak brutalnie, że ten trafia do szpitala? Dlaczego dyskusja zakochanych jeszcze przed chwilą małżonków kończy się wzajemnym duszeniem i kopaniem? – Nie ma potworów – tłumaczy Stall przestraszonej nocnym koszmarem córce. Otóż są, i to w każdym z nas. Wystarczy tylko pretekst, by tego potwora w sobie obudzić.

We wspomnianej już perwersyjnej sterylności filmu tkwi zresztą intrygująca dyskusja ze współczesnym kinem. Błyskotliwa, czysta jak łza, a zarazem brutalna konstrukcja „Historii przemocy" służy ironicznej grze z konwencją filmu gangsterskiego, w którym rewolwer, krew i kolejne trupy są tylko bawiącym gawiedź niby-światem, ale też ze stereotypem rodzinnego dramatu, w którym zło przychodzi z zewnątrz, a gdy się je pokona, może nastać happy end.

W „Historii przemocy" śmierć i krew są przecież całkowicie na serio, a po zwycięstwie nad złem nie da się wcale żyć normalnie. W ostatniej scenie rodzinnej kolacji nie ma – wbrew tytułowi – żadnego morału. Ja jednak znalazłem w niej to, co wydaje mi się istotą filmów Cronenberga: wizję świata, w którym normalność zawsze jest… nienormalna.

PAWEŁ T. FELIS

„HISTORIA PRZEMOCY", REŻ. DAVID CRONENBERG, USA 2005, WARNER, PREMIERA 18 LISTOPADA

MÓJ DROGI THOMASIE!

●●●○○○

Ameryki to ty nie odkryłeś


Fot. SPINKA

PACYFISTA Z BRONIĄ W RĘKU – HUEY (CHRIS OWEN)

Twój film nie tylko mnie nie zastrzelił, ale i trochę znudził, gdy po obiecującym początku napisana przez Larsa von Triera historia zaczęła zmierzać ku i nieuchronnemu, i oczywistemu finałowi, a ja mogłam obstawiać jedynie, kto pierwszy wyciągnie spluwę.

W pierwszej chwili nie sposób nie ulec dyskretnej elegancji „Mojej drogiej Wendy", a przede wszystkim obezwładniającemu urokowi Dicka (fantastyczny Jamie Bell). Nic dziwnego, że ulegają mu również kolejni młodzi, zagubieni mieszkańcy małego, górniczego Estherslope, chętnie wstępujący do tajnego Klubu Dandysów. Dandysi kochają broń, zwracają się do niej po imieniu, pieszczą, wielbią, a nawet pisują doń listy. A wszystko po to, by nigdy broni nie użyć, a jedynie czerpać siłę z faktu jej posiadania. Oczywiście do czasu.

„Pacyfiści z bronią w ręku. Tak właśnie postrzegają siebie kraje Zachodu" – napisałeś w eksplikacji reżyserskiej.

Moraliści z kamerą w ręku. Tak postrzegają siebie von Trier i Vintenberg – mam ochotę sparafrazować twoją wypowiedź.

Razem postawiliście opartą na zgrabnym paradoksie tezę, a film ją tylko – nie powiem, w sposób elegancki i powabny – ilustruje. W tej sytuacji jako widz nie mam tu nic do roboty. Mogę jedynie przyjąć do wiadomości wasz punkt widzenia lub go odrzucić. A precyzyjnie mówiąc, oskarżenia pod adresem złej Ameryki przekonanej o własnej wyższości i uwielbiającej zabawy z bronią. Z jej kultem przemocy przebranym w szatki wzniosłych idei, zacnych stowarzyszeń lub niewinnej rozrywki.

Wszystko to pewnie i prawda, i to ze wszech miar słuszna, tyle tylko, że dziesiątki razy przemielona, pokazana, obwieszczona i uznana.

Przyznaj, mój drogi Thomasie, Ameryki toście, chłopaki, tym razem nie odkryli.

MAŁGORZATA SADOWSKA

„MOJA DROGA WENDY", REŻ. THOMAS VINTERBERG, DANIA/FRANCJA/NIEMCY/WIELKA BRYTANIA 2005, SPINKA, PREMIERA 18 LISTOPADA

INNE SPOJRZENIE

Kino jest wiarygodniejsze niż media – przekonują organizatorzy nowej filmowej imprezy, Festiwalu Filmy Świata Ale Kino! Dlatego chcą pokazać nam Afrykę, Amerykę Łacińską czy Azję, widziane nie oczami zachodnich reporterów, lecz mieszkających tam artystów.


„KAPRYŚNA CHMURA", CZYLI SKANDAL Z TAJWANU

Fot. MATERIAŁY ORGANIZATORÓW

W programie festiwalu znalazło się 15 filmów, między innymi z Kamerunu, Wybrzeża Kości Słoniowej, Tajwanu, Syrii, Tunezji, Afganistanu, Brazylii, Iranu, które zabiorą nas w samo serce faweli w Rio („Madame Sata"), do pigmejskiej wioski („Milczenie lasu"), na pustynne bezdroża Iranu („Marzenia starte w proch") czy do klubu z tancerkami brzucha („Czerwony jedwab").

Imprezę organizują Agencja Promocji Mañana i kanał Ale kino! Ten ostatni przygotowuje przy okazji własny filmowy cykl Ale Świat!, w którym będzie prezentować egzotyczne kino, nie mające szans na zwykłą dystrybucję.

(MASA)

1. FESTIWAL FILMY ŚWIATA ALE KINO!
17–24.11 WARSZAWA, 25–28.11 KRAKÓW, 26–29.11 ŁÓDŹ, 28.11–1.12 POZNAŃ

muzyka



MADONNA CO PRAWDA PASKUDNIE SPADŁA Z KONIA, ALE ZA TO WIDOWISKOWO WYLĄDOWAŁA NA PARKIECIE

Fot. WARNER

●●●●●● mistrzostwo
●●●●●○ na piątkę
●●●●○○ warto
●●●○○○ ujdzie
●●○○○○ kiepskie
●○○○○○ dno

MADONNA NIE KONA

●●●●●○

Królowa popu spadła z konia, ale już jest **z powrotem w siodle, jeszcze pewniej niż dotąd**

Wystarczyło, że albumem „American Life" zaliczyła najniższe wyniki sprzedaży w karierze, a już odezwali się chętni odtrąbić koniec jej kariery. Otóż trzeba nie mieć pojęcia, jak ciężko 47-letnia dziś Madonna pracowała na swoją pozycję, by liczyć na to, że nagle złoży broń, bez walki ustąpi miejsca młodszej konkurencji. Kto jak kto, ale ona potrafi wyciągać wnioski z porażki – skoro ostatnio nie wyszło, tym bardziej należy wziąć słuchaczy – choćby uporem.

Toteż pojechała na spektakularny show MTV do Lizbony zaledwie dwa miesiące od feralnego wypadku z koniem. Wróciła zresztą i do samej jazdy konnej – mimo protestów wytwórni, której przyszłość zależy od powodzenia nowej płyty Madonny. A gdy zapragnęła wykorzystać w singlu „Hung Up" fragment kompozycji Abby, zdeterminowana – bo członkowie szwedzkiej grupy tylko raz dotąd zgodzili się na podobny ruch – wysłała emisariusza do Sztokholmu i zgodę dostała.

Zapowiedzi, że nagrywa klubowo zorientowaną płytę, na papierze nie budziły sensacji. Nie od dziś przecież Madonna chętnie wykorzystuje w swojej twórczości elementy tanecznej elektroniki, za najbliższych współpracowników mając uznanych producentów tejże, z Williamem Orbitem czy Mirwaisem na czele. Dotychczas jednak odbywało się to w wymiarze, na jaki pozwalają zasady rządzące popowym środowiskiem. Na „Confessions On A Dance Floor" jest inaczej – tu pop podporządkowuje się estetyce klubowych rytmów spod znaku house, a nie odwrotnie.

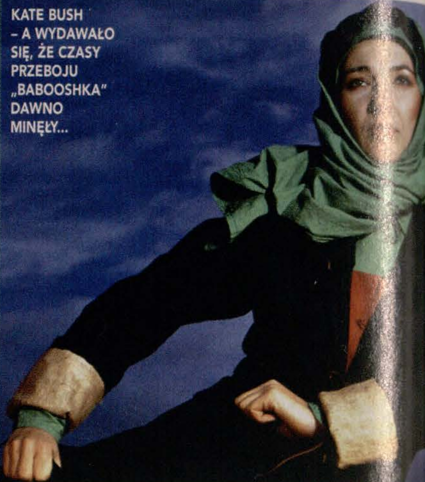
Narzucając taki rygor, Madonna poczyna sobie jeszcze odważniej. Żadnych łzawych ballad. Brak przerw między kolejnymi piosenkami. Całość skonstruowana jest na wzór wysokooktanowego didżejskiego setu. Zaraźliwie chwytliwego dodajmy, bo pół królestwa Madonny dla tego, kogo ciało pozostanie obojętne wobec tej tanecznej kanonady. Za wszystkie te rewolucyjne dla dorobku amerykańskiej gwiazdy rozwiązania odpowiada młody brytyjski producent Stuart Price, fanom nowych brzmień znany od lat jako Jacques Lu Cont. Odkąd w 2001 roku objął funkcję kierownika muzycznego tras koncertowych Madonny, kwestią czasu było, by wcielił się również w rolę głównodowodzącego produkcją jej płyt. Dziś świeżości jego pomysłów, jego zgrabnym zabiegom studyjnym pani Ciccone-Ritchie zawdzięcza swój najlepszy album od czasu przełomowego „Ray Of Light".

Trzeba przyznać, że Madonnie do twarzy jest w tym wcieleniu bogini nocnego życia. Ten powrót na parkiety to dla niej zresztą sentymentalna podróż do czasów, gdy pierwsze kroki kariery stawiała właśnie na deskach nowojorskich klubów. A że jak mało kto wie, w jaki sposób dobrze się zabawić, poruszyć do tańca miliony przyjdzie jej z dziecinną łatwością. Chyba że ktoś nie ma poczucia rytmu.

BARTEK WINCZEWSKI



MADONNA „CONFESSIONS ON A DANCE FLOOR", Warner



KATE BUSH – A WYDAWAŁO SIĘ, ŻE CZASY PRZEBOJU „BABOOSHKA" DAWNO MINĘŁY...

TO NIE KRZAK

●●●●●○

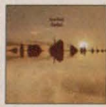
Nowa Kate Bush jest warta 12 lat czekania

Przez te długie lata oczekiwania można było zapomnieć, że jest ktoś taki jak Kate Bush. Nawet nazwisko zaczęło się kojarzyć zgoła niemuzycznie. Ale Bush (rówieśnica Madonny) to nie popowa firma krzak, która zarobi, zestarzeje się i zniknie. Pamięć o genialnej brytyjskiej wokalistce, która wprowadziła do muzyki pop swobodę, oddech, autorskie spojrzenie, podtrzymywali przede wszystkim młodzi zafascynowani nią artyści. W tym ci, którym przetarła szlak – choćby Tori Amos.

W porównaniu z tą ostatnią Bush – pochłonięta ostatnio głównie swoim późnym macierzyństwem – znacznie bardziej „słodzi". Brzmienie jej nagrań – gitary i fortepian, ciut elektroniki i smyczków w klimatach od rocka, przez flamenco, po muzykę renesansu (w poświęconym synkowi „Bertie") – jest trochę niedzisiejsze, lecz na tyle różnorodne, by nie nużyć. Bronią się też kompozycje. Te bardziej „przebojowe" – tu to słowo należy rozumieć w specyficznym znaczeniu Kate Bush – z pierwszego krążka dwupłytowego zestawu (nazwanego „A Sea Of Honey") urzekają od razu.

Drugą płytę, nazwaną „A Sky Of Honey", warto zostawić sobie na później, bo to muzyka, która wymaga więcej czasu i skupienia. Dwie zamykające tę część kompozycje – „Nokturn" i „Aerial" – doprowadzą wiernych fanów do euforii. Ten podział długiego (80 minut) materiału na dwie części to dobry pomysł – przypomina, jak dobra była formuła zwartego, 40-minutowego zbioru piosenek, i pozwala ocknąć się z zamyślenia w połowie, gdy trzeba wstać i zmienić płytę.

BARTEK CHACIŃSKI



KATE BUSH „AERIAL", EMI

PIOSENKI DLA KANARKÓW

●●○○○○

Prędzej uwierzę, że Doda jest virgin, niż przekonam się do tej płyty

Musiała zostać gwiazdą – ma urodę, niezły głos, tupet i pomysły. Nawet do śmierci papieża potrafiła sprytnie w Sopocie nawiązać, byle wzruszony lud słał SMS-y. Gdy ktoś jest tak zdesperowany, kiepski repertuar go nie powstrzyma. „Ficca" trafi pod strzechy, choć poza „Innymi przyjaciółmi", w którym pobrzmiewają echa „I Love Rock'n'Roll", i przyjemnie bujającym „Dla R. (nieważne dziś jest)" nic na tej płycie nie ma. Kompozycje są tak banalne, że repertuar Avril Lavigne to przy Virgin rock progresywny. Przy okazji chciałbym raz na zawsze rozstrzygnąć kwestię koszmarnie patetycznego „Znaku pokoju", który plagiatem być nie może. Bo tak na zdrowy rozum, gdyby zespół Virgin zdecydował się ukraść komuś piosenkę, sięgnąłby chyba po coś dobrego, prawda?

Z tekstami jest jeszcze gorzej. Autorem anglojęzycznych („Superstar", „In Love") jest gitarzysta Tomasz Lubert i po ich lekturze skonstatowałem ze zgrozą, że wolę go jako kompozytora. Wokalistka wyraża swe myśli po polsku albo brnąc w sentymentalną grafomanię, albo sadząc kwiatki w rodzaju: „Czasu brak na głupoty, trzeba brać się do roboty / Driny, faja to jest to! / Parkiet, barek, twój kanarek" („Piosenka na imprezę"). Zamieszczone we wkładce zdjęcia, na których pozuje w fatałaszkach z sex-shopu, też pewnie adresowane są do kanarków. A ptasia grypa szaleje...

JAREK SZUBRYCHT



VIRGIN „FICCA", Universal

FESTIWAL W TRASIE

Jeszcze w listopadzie **Niemcy z Krakowa wyjadą w Polskę!**



ATOM HEART, CZYLI UWE SCHMIDT – JEDNA Z GWIAZD FESTIWALU UNSOUND

Fot. MAT. ORGANIZATORÓW

Trzy lata temu Amerykanin i Australijczyk, znudzeni brakiem ciekawych koncertów w Krakowie, postanowili tu zrobić własny festiwal muzyki elektronicznej, na który zaprosili ulubionych didżejów i muzyków z Polski i zza zachodniej granicy. Rok później dołączyli nasi wschodni sąsiedzi, a w tym roku ci z południa. W październiku gorączka imprezowa ogarnęła Kraków na cały tydzień, a na przełomie listopada i grudnia obejmie całą Polskę. Festiwal Unsound wyrusza bowiem w trasę po dużych miastach.

– Bawiliśmy się w Krakowie wspaniale, atmosfera była świetna, publiczność rewelacyjna... Nie mogę się doczekać następnych koncertów w Polsce – wspomina tegoroczny występ Stefan Betke działający w projekcie Pole, który wyjedzie również na Unsound On Tour, zabierając nań po raz pierwszy swój skład Pole Live Band. Inni z przyjemnością odnotują obecność w składzie artystów (zmieniającym się nieco przy podróżach z miasta do miasta) Jaki Liebezeita, legendarnego perkusisty Can, i Burnta Friedmana oraz Mikołaja Trzaski. Ten ostatni zagra premierowo w międzynarodowym trio z Paulem Wirkusem i Johannesem Frischem. Na czterech dwudniowych przystankach w Poznaniu (21–22.11), Łodzi (23–24.11), Krakowie (25–26.11) i we Wrocławiu (27–28.11) towarzyszyć im będzie między innymi Ekkehard Ehlers, a potem w Krakowie (1.12), Warszawie (2–3.12) i Katowicach (2–3.12) – Atom Heart i Luciano. Jeśli to podsumować, wychodzi niemiecka inwazja na Polskę (tym razem zupełnie przyjacielska), jakiej pozazdrościć by nam mogli inni sąsiedzi.

(JAS)

EXTRA CLASSIC

Classic RMF

MOUNT MOZART

Johannes Chrisostomus Wolfgangus Theophilus. Z czterech dumnych imion w metryce w praktyce zostały dwa: Wolfgang Amadeusz. Ten „pupilek Pana Boga" (jak zgryźliwie mówił o nim Salieri w filmie Formana) przyszedł na świat 27 stycznia 1756 roku. I właśnie w związku z tą datą cały artystyczny establishment od wielu miesięcy zaciera ręce. 250. rocznica urodzin Wolfiego będzie fetowana festiwalami, premierami i oczywiście płytami. Ta najświeższa z mozartowskiej serii podpisana jest nazwiskiem, które wywołuje drżenie kolan u każdego fana klasyki. Anne-Sophie Mutter – od lat na skrzypcowym Mount Evereście. Jej wypieszczoną graficznie płytę z koncertami skrzypcowymi Mozarta przyjemnie wziąć do ręki. Wrażenia audio są na równie wysokim poziomie: dobrze znana u Mutter chirurgiczna precyzja i dźwięk jak górski kryształ. To będzie jedna z jaśniejszych świeczek na urodzinowym torcie.

MAGDA WOJEWODA, RMF CLASSIC

W.A. MOZART, „KONCERTY SKRZYPCOWE", SINFONIA CONCERTANTE, ANNE-SOPHIE MUTTER, LONDON PHILHARMONIC ORCHESTRA, DEUTSCHE GRAMMOPHON

książki

●●●●●● mistrzostwo
●●●●●○ na piątkę
●●●●○○ warto
●●●○○○ ujdzie
●●○○○○ kiepskie
●○○○○○ dno


W ĆWICZENIACH STYLISTYCZNYCH WOJCIECH KUCZOK JEST PRAWDZIWYM WYCZYNOWCEM

Fot. BOGDAN KRĘŻEL

PIANKOWATOŚĆ

●●●○○○

Wczesne opowiadania Wojciecha Kuczoka – sprawne, acz przeładowane

Zanim powstał „Gnój", były opowiadania. Te właśnie przebrane i wydane teraz w jednym tomie. Tyle że wtedy prawie nikt nie słyszał jeszcze o Kuczoku i zbiorach wydanych w Zielonej Sowie. Prawie nikt, bo stąd i zowąd słychać było, że ten młody pisarz dobrze prowadzi narrację, a z językiem poczyna sobie brawurowo jak nikt. I to wszystko prawda. Opowiadanka kipią i się mienią, ale gdy chce się dotknąć, ścisnąć, nic nie zostaje w ręku. Pianka kremowa i tyle.

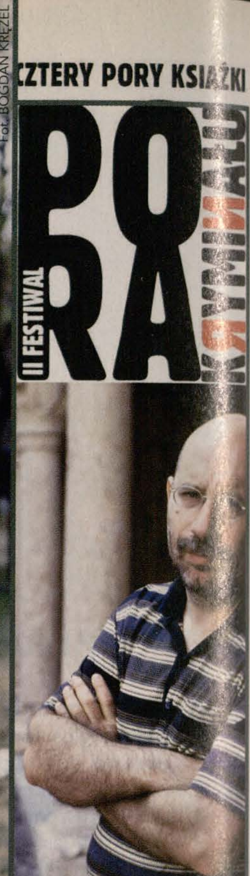
Zaczyna się ciekawie, a najlepsze jest na końcu – tak można streścić konstrukcję tego tomu. Zaczyna się od „Diobołа", opowiadania, które wydaje się zalążkiem „Gnoju". Jest ojciec jak okrutny bóg, syn i dyscyplina. Tuż za „Diobołem" wciągnie nas żywioł góralski. Gwarze góralskiej i góralkom trudno się oprzeć. W opowiadaniu „Ttadzik" chłopcy podpuszczani przez góralkę Jadźkę zjadają muchomora. I ten desperacki pojedynek jest jedyną naprawdę dramatycznie rozegraną sytuacją w tym tomie. Podobną rywalizację niegdyś pisarz Kornel Filipowicz rozwinął w zgrabne psychologiczne opowiadanko. Ale i Kuczok ładnie z niego wybrnął. Cóż mamy dalej? Rozmaite ćwiczenia stylistyczne i wprawki, od „Winniczka" – współczesnej wariacji na temat Mickiewiczowskich mrówek – aż po „Malizm reagiczny", czyli fantazję o dosłownym traceniu głowy. Na zakończenie zaś czekają na nas „Szkieleciarki" – opowiadanie o dobrej i złej śmierci, najbardziej dojrzałe, które podobnie jak „Dioboł" mogłoby być zalążkiem czegoś większego. Historia nabiera rozpędu, tylko nie wiadomo, dokąd prowadzi, bo nagle się urywa, zresztą tuż po świetnym tańcu z kostuchą. Prawdziwie zakończenie wydaje się dziwnym naddatkiem. I tu tkwi problem.

Są pisarze wierni zasadzie: im więcej skreśleń, tym lepiej. U Kuczoka przeciwnie, słowa pączkują, widać, że lubi on barokową kwiecistość i nadmiar. Spójrzmy na spis treści: „Zianie", „Malizm reagiczny", „Ikra boża", „Chłopoopowiadanie". Słowotwórcza inwencja objawia się co krok. Niemal w każdym opowiadaniu w puencie czeka nas jakiś wdzięczny piruecik językowy. I troszkę jest tego za dużo. Jakby pisarz nie był świadomy, że ma „niebezpieczne narzędzie" w rękach. Oczywiście to są młodzieńcze, jak twierdzi autor, „pisane w biegu" opowiadanka – i o tym trzeba pamiętać. I pod żadnym pozorem nie należy porównywać ich z porządnymi zbiorami polskich opowiadań sprzed lat. Zakazane. Bo wtedy nawet ta pianka kremowa okaże się suchą bezą.

JUSTYNA SOBOLEWSKA


WOJCIECH KUCZOK „OPOWIEŚCI PRZEBRANE", W.A.B., Warszawa 2005

CZTERY PORY KSIĄŻKI



ZOBACZCIE AKUNINA!

Największą gwiazdą drugiej edycji Festiwalu Kryminału, który odbędzie się od 17 do 20 listopada, będzie Borys Akunin. Rosyjski mistrz kryminału retro, twórca postaci szlachetnego detektywa Erasta Fandorina spotka się z czytelnikami w Warszawie, Wrocławiu i Krakowie. Gośćmi festiwalu będą też między innymi: Aleksandra Marynina, Marek Krajewski, Maciej Rybiński i Bogusław Wołoszański. W ostatnim dniu imprezy organizowanej przez Instytut Książki i stowarzyszenie Trup w Szafie przyznana zostanie nagroda Wielkiego Kalibru za najlepszą polską powieść kryminalną ubiegłego roku.

(MS)

Szczegółowy program festiwalu na www.instytutksiazki.pl


ŁATWOŚĆ PISANIA I URODA HOLLYWOODZKIEGO AMANTA – PAUL AUSTER PO PROSTU SKAZANY JEST NA SUKCES

MASZYNKA DO SUKCESU

●●●●○○

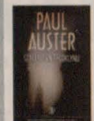
Nowa powieść Austera: kawał literatury czy komercyjna łatwizna?

Szaleństwa Brooklynu" czyta się świetnie. Zabierasz się do lektury wczesnym wieczorem, planując jeszcze obejrzenie przed snem telewizyjnej powtórki „Gangów Nowego Jorku", ale nie dość, że spóźniasz się pół godziny na film, to po 20 minutach dochodzisz do wniosku, że na cholerę ci znów się babrać w gangsterskiej wyrzynance, i z ulgą wracasz do Austera. Dochodzi 3 rano, kiedy kończysz wcale opasłe dzieło. Gasisz światło. Masz przed sobą, niestety, góra cztery godziny snu. Bogać tam. „Szaleństwa Brooklynu" nadal szaleją ci po głowie. Mija godzina przewracania się po łóżku i dochodzisz do przekonania, że ten cały Auster to zwykłe zawracanie gitary. Im bardziej nie śpisz, tym gorzej myślisz o książce, która jeszcze niedawno tak cię wciągnęła. – Efekciarski samograj! – wściekasz się, bodąc łokciem poduszkę. – Komercyjna łatwizna, hollywoodzka bajka, sentymentalny kit wciskany pod pretekstem Prawdziwej Literatury.

I tak, i nie. To jest prawdziwa literatura, tyle że wyraźnie napisana w konwencji znanej z kina jako „komedia romantyczna", gatunek ukochany przez widzów całego świata. Przypomnijmy, że Auster to także kinowy zawodowiec – scenarzysta („Dym", „Brooklyn Boogie") i reżyser („Lulu na moście"). Narratorem „Szaleństw..." jest samotny rozrywkowy emeryt, nowojorski Sokrates drugiej kategorii. Wokół niego plącze się popaprana rodzina, rozmaite kobiety, dziwacy, fałszerze i udani nieudacznicy. Karuzela z nimi wszystkimi żwawo się kręci przez 287 stron, z czego ostatnie kilkadziesiąt poświęcone jest doprowadzeniu akcji do szczęśliwego końca. A raczej wielu końców, na miarę liczby wątków. Idealny scenariusz filmowy. Dolary przeciw orzechom, że lada chwila zobaczymy wszystko na ekranie, jeszcze barwniejsze i sympatyczniejsze.

Auster także z racji rodowodowych uchodzi za najbardziej europejskiego z amerykańskich pisarzy. Dziwne. „Szaleństw Brooklynu" żaden szanujący się pisarz europejski nie byłby w stanie napisać. Na to trzeba mieć umysł przepuszczony przez maszynkę do zaprogramowanego sukcesu. W Stanach mają to opanowane do perfekcji.

TADEUSZ NYCZEK


PAUL AUSTER „SZALEŃSTWA BROOKLYNU", PRZEŁ. JERZY KOZŁOWSKI, Rebis, Poznań 2005

komiks

● ● ● ● ● ● mistrzostwo
● ● ● ● ● ○ na piątkę
● ● ● ● ○ ○ warto
● ● ● ○ ○ ○ ujdzie
● ● ○ ○ ○ ○ kiepskie
● ○ ○ ○ ○ ○ dno


PRZYSIĘGAMY! W TYM KOMIKSIE NAPRAWDĘ DZIEJE SIĘ WIELE! A DO TEGO JEST BARDZO, ALE TO BARDZO LIRYCZNIE

COGITO ERGO BLAKI

● ● ● ● ● ○

A jednak **nie jesteśmy sami** we wszechświecie

Jakiś czas temu rozmawiałem z wydawcą komiksów z pewnego europejskiego kraju o bogatych komiksowych tradycjach. Zapytany, czy jest jakiś polski album, który chętnie by wydał u siebie, wzruszył tylko ramionami i powiedział: – W waszych historiach jest za dużo fantastyki, chowania się za gatunkami i schematami. A mnie najbardziej interesują rzeczy współczesne, o tym, co tu i teraz.

Myślę, że „Blaki" mógłby mu się spodobać. Komiks Mateusza Skutnika i Karola Konwerskiego to zbiór kilku opowieści o tytułowej postaci. Wiecznie ubranym na czarno, oddającym się refleksjom i przemyśleniom na dowolny temat i w dowolnej chwili człowieczku o dość nietypowej fizjonomii (jak na człowieka, bo raczej dość zwyczajnej dla Skutnika, twórcy między innymi świetnej serii „Rewolucje"). Nękanym kilkoma obsesjami, paranojami, niepozbawionym wad i słabości. A mimo to dającym się lubić i budzącym sympatię. No bo jak tu nie lubić samego siebie?

Ja też zaocznie wydaję 10 milionów wygranych w totka, zanim uda mi się trafić choćby trójkę. I też wolałbym tej fortuny nigdy nie wygrać, bo to nie dość, że zmiany wielkie, to jeszcze znak niechybny, że ktoś tam, w górze, ma na nas oko. A to niedobrze. Jadąc pociągiem, również odbywam hipotetyczne rozmowy z ludźmi, do których jadę, i czasem trafi mi w ręce stary notatnik będący osobistym wehikułem czasu. To myślowe pokrewieństwo z Blakim osłabia trochę odkrywczość jego przemyśleń, ale dostajemy w zamian coś chyba lepszego – poczucie bezpieczeństwa wynikające ze świadomości, że jednak nie jesteśmy sami we wszechświecie.

Autorzy „Blakiego" zdecydowali się na dość karkołomny i odosobniony w naszym pejzażu komiksowym krok. Postanowili nie wspierać się protezami w postaci atrakcyjnych gatunków, zrezygnowali z fabuł pełnych akcji, kulminacji i mocnych point. Postawili na introspekcje, wyciszenie, subtelny i nienachalny humor oraz – uwaga, słowo rzadko pojawiające się w kontekście komiksów – liryzm. Ze wszystkimi tymi elementami doskonale współgra strona graficzna tego ładnie wydanego albumu. Przez rysunki przetacza się cała gama jesiennych odcieni szarości, a drugi plan to pełen jest szczegółów, to delikatnie rozmyty, jakby obserwowany przez pokrytą deszczem szybę.

Jeśli ktoś z powyższego opisu wnioskuje, że w „Blakim" nic się nie dzieje, spieszę wyprowadzić go z błędu. W komiksie Skutnika i Konwerskiego dzieje się bardzo wiele i to tak, jak w sztuce dziać się powinno: na styku dzieło – czytelnik. Z dziania tego z kolei wynikają przeróżne emocje. Na przykład nostalgia i odrobina żalu, że brak mi czasu na to, by rano, przy śniadaniu, choć przez chwilę pomyśleć o wpływie czajnika na życie kosmosu.

SZYMON HOLCMAN

„BLAKI", RYSUNKI MATEUSZ SKUTNIK, SCENARIUSZ MATEUSZ SKUTNIK, KAROL KONWERSKI, wydawnictwo Paweł Timofiejuk, Warszawa 2005



W FUTRZE CZY BEZ

● ● ● ● ○ ○

Zwierzęta jak ludzie – i odwrotnie

Joanna Karpowicz debiutowała dwa lata temu „Szminką" (scenariusz Jerzy Szyłak), brutalną wiwisekcją ludzkich uczuć i pragnień. Już wtedy pracowała jednak nad tym autorskim projektem. Rzecz dzieje się w początkach V tysiąclecia. Zmienione genetycznie zwierzęta osiągnęły ludzki poziom rozwoju intelektualnego, ale przy okazji zaczęły być zdolne do przemocy, przestępczości czy narkomanii. Współistnienie gatunków wisi na włosku za sprawą organizacji rasistowskich przygotowujących „ostateczne rozwiązanie" kwestii zwierząt. Przypadkowa informacja wpada w ręce Jagody, Budynia i Jezusa (psy), Kupera (kaczka) i Limby (ludzka dziewczyna). Pomysły i tło aż proszą się tu o jakieś dopowiedzenie, a liczba wątków i zdarzeń jest tak wielka, że z łatwością można zbudować wokół pomysłu całą serię. W kilku miejscach szwankuje narracja, podobnie z układem kadrów. Przeważają jednak dobrze nakreśleni bohaterowie. Intryga jest na tyle ciekawa, a cały fantastyczny świat namalowany na tyle oryginalnie, że mimo dość oczywistych inspiracji (komiks „Blacksad", powieści Chandlera, „Blade Runner") rzecz broni się jako oryginalna historia. A na tle innych polskich komiksów ostatnich lat już na pewno wyróżnia się na plus.

BARTOSZ KURC

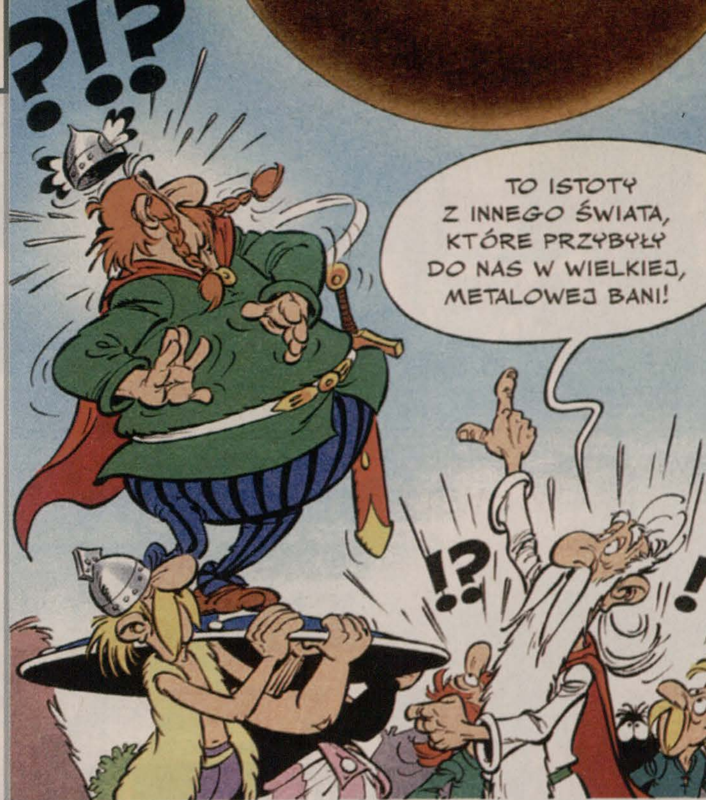
„JUTRO BĘDZIE FUTRO", SCENARIUSZ I RYSUNKI JOANNA KARPOWICZ, Atropos, Kraków 2005

KOSMICZNY BEŁKOT

● ○ ○ ○ ○ ○

Nowy „Asteriks" to dramat. Lepiej go nawet nie pokazywać starym fanom serii

We Francji „Asteriks" darzony jest wielką sympatią i uwielbieniem. W latach 60. był okładem na niezasklepione rany wstydu po rządzie Vichy. Asteriks z humorem i sprytem przeciwstawiał się Rzymianom, na dodatek jeszcze robiąc z nich durniów. Kpił i ośmieszał nie tylko starożytność, lecz i współczesność. Korki na drogach w Lutecji (dawna nazwa Paryża), reklamy niepotrzebnych produktów i inne. Do tego mnóstwo w nim było karykatur (choćby Chiraca, ówczesnego ministra finansów, jako rzymskiego spekulanta) i żartów z narodowych stereotypów. I dzieci, i dorośli znajdowali tu żarty, z których się śmiali. Ci drudzy zresztą częściej. O „Asteriksie" pisał nawet profesor Aleksander Krawczuk. Tak było do 1977 roku, do śmierci scenarzysty René Goscinnego, genialnego humorysty (cykl „Mikołajek"). To właśnie Goscinny dał Asteriksowi cały bagaż humoru, łącznie z ciągłym przywoływaniem sentencji łacińskich i zabawnych powiedzeń każdej z postaci.



Osamotniony rysownik Albert Uderzo postanowił kontynuować cykl, zabrał się również do pisania scenariuszy, które oceniane są jako o wiele słabsze niż Goscinnego. Kontynuował stare pomysły, choć niebezpiecznie zaczął wyjaśniać wiele tajemnic serii, mnożył błędy logiczne, a komiks – zamiast do dorosłych – zaczął pisać i rysować najwyraźniej dla swojego wnuczka.

Jak przystało na czasy „Harry'ego Pottera", najnowszy album miał równoczesną premierę w całej Europie, a jego pierwszy nakład wyniósł aż osiem milionów egzemplarzy. Cóż z tego, kiedy potwierdza wszelkie głosy krytyki płynące od lat... W naiwnej, infantylnej i prostackiej fabule tym razem jako nowy element pojawiają się... kosmici. Dla autora to już okazja do wpadnięcia w prawdziwy bełkot, a dla fanów serii – krzywda. Goscinny przewraca się w grobie, a Uderzo potwierdza, że jest świetnym rysownikiem i żałosnym scenarzystą. Radzę komiks omijać z daleka, a na otarcie łez polecam wcześniejsze tomy pisane przez Goscinnego.

BARTOSZ KURC

„ASTERIKS. KIEDY NIEBO SPADA NA GŁOWĘ", SCENARIUSZ I RYSUNKI ALBERT UDERZO, Egmont Polska, Warszawa 2005



„THE SIMS" BYŁ JEDNYM Z PIERWSZYCH HITÓW W ŚWIECIE GIER, KTÓRE TRAFIŁY GŁÓWNIE DO KOBIET. „SINGSTAR" JEST WIELKIM PRZEBOJEM UNISEKS

gry

● mistrzostwo
● na piątkę
● warto
● ujdzie
● kiepskie
● dno

GRA O KOBIETY

Było „The Sims", jest „Singstar" – wchodzimy w czasy gier uniseks. Współczesna kobieta żadnej gry się nie boi

Jeszcze kilka lat temu podział był jasny: chłopcom na Pierwszą Komunię komputer albo konsolę do grania, dziewczętom – złoty łańcuszek albo zegarek. Pora jednak włożyć te stereotypy między bajki. W nieustannie rozwijającej się branży elektronicznej rozrywki kobiety stały się ważnym elementem rynku. W tej chwili płeć piękna to jedna piąta wszystkich graczy. Nikt z producentów gier już tego nie zlekceważy.

Na początku lat 90. dziewczęta wybierały z zasady tytuły tworzone specjalnie dla nich – jak kolejna gra o przygodach Barbie albo postaci z bajek Disneya. Jednak te same dziewczyny są dziś dorosłymi kobietami zarabiającymi pieniądze i gotowymi je wydać. Średnia wieku grającej kobiety podniosła się – dziś waha się między 20 a 35 lat – i trudno wyobrazić sobie lepszą grupę konsumencką. Szok zmiany kulturowej w świecie gier najlepiej oddaje to, że jedna z twórczyń gier (coraz więcej liczących się postaci rządzących tym rynkiem to kobiety) Glennis McClellan planuje stworzenie wieloosobowej gry erotycznej tylko dla kobiet „Spend the Night". – Panuje



przekonanie, że kobiety nie są zainteresowane seksem – mówiła ostatnio. – Tymczasem interesują się nim tak samo jak mężczyźni, ale po prostu mniej materiałów dla siebie mogą znaleźć.

Liczba grających kobiet jest zależna od stopnia zamożności oraz rozwoju technologicznego państwa. Krajem numer jeden pod tym względem jest Korea Południowa. Z całej populacji pań aż 69,5 procent w wolnym czasie gra. Na drugim miejscu znajdziemy USA (39 procent), a potem Japonię (36 procent). Nie ma statystyk obejmujących Polskę – wiadomo jedynie, że w Europie Środkowo-Wschodniej regularnie gra około 25 procent kobiet. Liczby wyglądają jeszcze lepiej, gdy zapytamy o sumy przeznaczane przez nie na gry. W Azji prawie połowa grających kobiet wydaje rocznie na gry przynajmniej 1500 złotych, w Europie i USA – o połowę mniej.

Różnicę między typowym podejściem do gier kobiet i mężczyzn producenci przebadali dość dokładnie. Panowie wolą gry „zero-jedynkowe" – z wyraźnie naszkicowanymi celami i ewidentnym zwycięzcą zabawy. Panie preferują gry z większą swobodą i tytuły oparte na społecznej interakcji, kontaktach z drugą osobą – stąd tak wielkie zainteresowanie wśród nich grami sieciowymi opartymi na współpracy z innymi ludźmi, takimi jak „World of Warcraft" albo „Everquest". Brak narzuconych celów i miejsce na własne decyzje to z kolei esencja gier z serii „Sims" symulującej zwyczajne życie. „Sims" daje szanse stworzenia własnego alter ego i umieszczenia go w wirtualnym świecie, gdzie może pracować i bawić się w towarzystwie innych Simów. Ten bestseller (kilka milionów sprzedanych egzemplarzy na całym świecie!) to jednocześnie najbardziej kasowa gra w historii grających kobiet – ponad 60 procent sprzedanych egzemplarzy trafiło w ręce pań.

Ale jest też druga tendencja w świecie gier dla kobiet – to one przyczyniły się do popularności gier na komórki oraz tych ściąganych z sieci. W Korei większość grających na komórkach to panie, a i w krajach bliższych kulturowo Europie sektor gier mobilnych aż w jednej trzeciej wspomagany jest przez zakupy kobiet.

– Kobiety wnoszą nowe pomysły, szczególnie przydatne, jeżeli chcemy zdobyć „nietradycyjnych" graczy – mówiła w wywiadzie jedna z programistek z firmy Sony. Sama autorka tego cytatu stoi za grą „SingStar" – jednym z najbardziej rewolucyjnych tytułów ostatnich lat. To łatwe w użyciu i atrakcyjne karaoke na konsole do gier podbiło już graczy obu płci na kilku kontynentach, a nowa wersja „SingStar '80s" zapewne weźmie szturmem Polskę. Mamy tu bowiem – wśród 30 szlagierów z lat 80. – aż 14 polskich piosenek, w tym przeboje Papa Dance,



W POLSKIM „SINGSTARZE" JEST JUŻ „KOCHAM CIĘ" ZAMIAST „I LOVE YOU"

Kapitana Nemo i Lombardu, czyli hity imprez z karaoke od alternatywnych klubów po dyskoteki. Premiera już na początku grudnia. To będzie kolejna zabawa w pełni uniseks, choć wygląda na to, że w żadnym wypadku nie bezpłciowa.

ŁUKASZ KUJAWA

„SingStar '80s", Sony Poland, premiera 7 grudnia

Dane przytoczone w tekście pochodzą z raportu Entertainment & Leisure Software Publishers Association



Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI

SŁOWA WYCZESANE

doznać

Mamy trochę czasowników, które od biedy można zastosować samodzielnie i bez dopowiedzeń. Usiadłem, wróciłem, urodziłem się. Owszem, zwykle potrzebna będzie jakaś dodatkowa pomoc: na czym?, skąd?, gdzie? Z kontekstu można jednak coś zrozumieć. Inaczej z „doznać". Jeśli powiem po prostu „doznałem", to bez względu na okoliczności trudno cokolwiek zrozumieć – olśnienia, orgazmu, zawodu, cierpienia czy może kontuzji. A jednak **można już „doznać" tak po prostu, bez dodatków.** „Doznać" to według redaktorów Porcys.com, ciekawego dyskusyjnego serwisu muzycznego, „w orgazmiczny sposób doświadczyć Absolutu". To definicja dość przybliżona, na którą zwrócił mi uwagę jeden z kolegów, recenzentów muzycznych „Przekroju". Najpierw ją zbagatelizowałem, ale ostatnio z braku innych doznań zbadałem sprawę.

Kiedy czytam na Porcys.com, jak piszący tu (i przodujący w dziedzinie doznań) Borys Dejnarowicz, znany także jako lider grupy The Car Is On Fire, **obwieszcza: „O kurczę, doznałem" po wysłuchaniu nagrania Faith No More,** to domyślam się, że dreszcz mu przebiegł po krzyżu, jak i mnie czasem przechodzi, kiedy słucham udanego rockowego kawałka. Chociaż pewnie i orgazm, i doświadczenie Absolutu to dla każdego doznanie indywidualne. Ale z drugiej strony występ rapera Wujka Samo Zło na ceremonii rozdania nagród Nike (tak, do czegoś takiego naprawdę doszło) koleżanka znajomego recenzenta skomentowała identycznie: „Doznałam". A tu wrażenia na pewno nie były porównywalne ani z jednym, ani z drugim z powyższych.

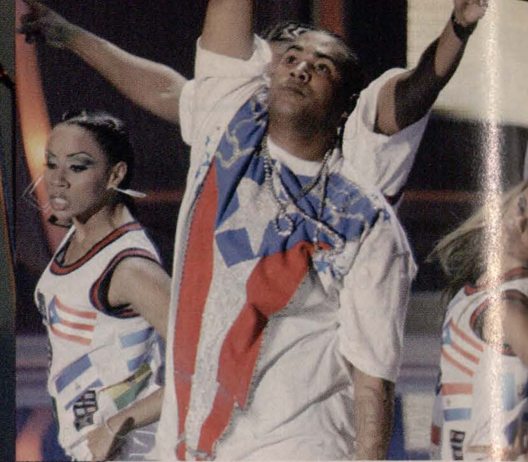
Nie rozumiałem tego wszystkiego, dopóki na rzeczonym Porcys.com nie znalazłem dyskusji o duecie Kai Paschalskiej i Funky Filona w piosence o „Małej Chince Ciku-cikulince", która w tej wersji pochodzi z Wietnamu, pracuje na bazarze i... doznaje wielu cierpień za sprawą Polaków (tak, do nagrania czegoś takiego naprawdę doszło). Borys D. komentował to: „Damn, doznałem, ale ostro. Kawałek jest genialny: smooth podkład à la Stevie Wonder, kanciasty flow Funky Filona, zapętlone rymy w rodzaju »na mrozie może kupię od niej podbiraną odzież...«". Po czym posypały się komentarze kolejnych doznających (to już doznanie zbiorowe), a wreszcie ktoś zaproponował kolejne linki do „doznawczych remiksów, zdjęć i topików [tematów] na różnych forach". Ja oczywiście obejrzałem sobie ten teledysk o Chince – i rzeczywiście doznałem. A mniej więcej w tym samym czasie doznałem też, słuchając „Lay Low" My Morning Jacket i „Beautiful Boyz" CocoRosie.

Mam już własną definicję: **to coś między wielkim doznaniem artystycznym a doznaniem wielkiego wstrząsu.** Rzecz potrzebna w czasach sztuczności, okrągłości, letniości, ogólnego automatyzmu i braku intensywnych doznań. Pokazuje, że podział jest inny niż dotąd – nie na doznania złe i dobre, ale na doznania w ogóle i ogólny brak doznań. Że dobrze mieć jakiekolwiek doznania. Dlatego warto ulubione słowo muzycznych forów dyskusyjnych wypromować szerzej. W przeciwieństwie do Paschalskiej, Filona i ich Cikulinki.

bartek.chacinski@przekroj.pl

PAPO CAPACINO PODCZAS REGGAETON NIGHT NA FLORYDZIE . ŻADEN INNY GATUNEK MUZYKI NIE BYŁ TAK PRZESIĄKNIĘTY PODTEKSTAMI SEKSUALNYMI

Fot. RETNA/FPM (2)



RAGGAETON WKRACZA NA MUZYCZNE SALONY – DON OMAR NA ROZDANIU MTV AWARDS W MIAMI



LATINO NA OSTRO

Perreo, papi, perreo! czyli: „Na pieska, tatuśku, na pieska!”. Oto hasło reggaetonu – nowego obscenicznego stylu latino?

Jeśli mi nie dasz. Co mam począć? Odciąć ci fiuta! O tak, tak, tak” – te słowa w refrenie pewnej piosenki wywołały skandal podczas karnawału na Kubie. A wszystko przez robotników pracujących przy budowie Kanału Panamskiego, którzy połączyli nie tylko dwa oceany, ale przy okazji także muzykę czarną z latynoską, tworząc nowy styl, o którym mówi się „seks w ubraniu”.

IVY QUEEN

Potomkowie jamajskich emigrantów w Panamie już w latach 70. do reggae dodali salsę, merengue, bombę i inne tradycyjne rytmy latynoskie. Muzyka panamskich robotników powróciła na Karaiby, gdzie doprawiono ją na ostro dancehallowymi rymami raperów (głównie o tańcach, piciu i seksie). Nazwa tej mieszanki – reggaeton – nawiązuje do terminu „reggae-thon”, za pomocą którego didżeje zapowiadają maratony (po angielsku marathon) reggae. Reggaeton od początku był niecenzuralny, wulgarny, powstawał w otoczce wymachujących spluwami macho. Przez lata był jednym z dziesiątków nurtów, które ginęły w tyglu wszechobecnego hip-hopu. Teraz jednak na liście najlepiej sprzedających się albumów latynoskich „Billboardu” aż 7 na 25 to reggaeton.

Tańczyć pieskiem

Wszystko – niczym w filmie – zmieniła jedna piosnka. „Gasolina” (czyli „Benzyna”) Daddy'ego Yankee, sprawiła, że reggaeton wszedł na listy przebojów. I wtedy wyszło na jaw, że strażnikom moralności nie podoba się to, o czym się śpiewa, i to, jak się tańczy. Powód jest prosty – żaden gatunek muzyki nie był nigdy tak przesiąknięty podtekstami seksualnymi.

Mimo że benzyna staje się niezwykle pożądanym towarem, „Gasolina” nie jest piosenką o motoryzacji. Bo gasolina oznacza także dziewczynę lubiącą szybkie samochody, imprezy i ostry seks. A w portorykańskim slangu: „rum” lub „spermę”. Kiedy więc w refrenie słyszymy: „A ella le gusta la gasolina” może to oznaczać różne rzeczy, ale raczej nie zamiłowanie do benzyny.

W slangu reggaeton nazywa się perreo (z hiszpańskiego – „na pieska”). Owszem, w gatunku wiele jest z kundla, ale to określenie wynika raczej z charakterystycznego dla reggaetonu tańca. Para porusza się tak, by naśladować akt seksualny – w jakiej technice, tego już nie trzeba chyba wyjaśniać. I właśnie to perreo wywołuje najwięcej kontrowersji.

Furtka dla hurban

W Salwadorze komisja do spraw rodziny, kobiet i dzieci doprowadziła do ogólnonarodowej debaty, próbując wprowadzić zakaz takiego tańca w miejscach publicznych i cenzurę obrazów przedstawiających reggaeton w mediach. Przez kilka miesięcy cenzura taka działała również na Dominikanie, gdzie po jednym z koncertów Tego Calderona (jednej z największych gwiazd gatunku) zniesmaczona komisja narodowa do spraw wystąpień publicznych i radiofonii (odpowiednik naszej KRRiT) zakazała pokazywania perreo w telewizji i puszczania piosenek w radiu. Oficjalnie zakaz taki nadal istnieje na Kubie. Tyle że nie z powodu kontekstów seksualnych, chociaż i te oburzają władze, ale dlatego, że reggaeton zaczyna tu wypierać tradycyjną muzykę kubańską.

Jednak najbardziej drastyczne kroki miały miejsce w ojczyźnie perreo. Władze Puerto Rico przekonywały sklepy, by nie sprzedawały kaset i płyt. Policja zatrzymywała młodzież słuchającą reggaetonu w samochodach, niszczyła jej sprzęt muzyczny i dawała do zrozumienia, że trzeba zmienić gust. W znacznej części dzięki tym skandalom reggaeton podbił latynoską publiczność i przy okazji otworzył furtkę hurban, czyli nowej miejskiej muzyce latynoskiej. Gustavo Lopez, przewodniczący Machete Music, oddziału Universal Music Group stworzonego specjalnie dla reggaeton, zaznacza w rozmowie z „Przekrojem”: – To nie jest kolejna krótka moda, ruch związany z popularnością jednej piosenki, jak macarena czy lambada. Przetrwa on dłużej, bo za reggaetonem stoją miliony młodych Latynosów, które odnalazły swoją muzykę.

SYLWIA CZUBKOWSKA

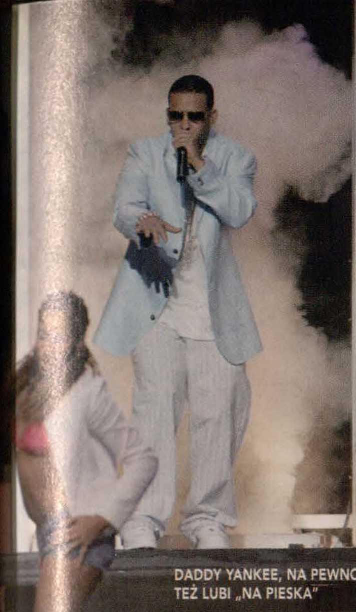
TAK UBRANY IDZIESZ DO LASU ?



TO CO ŻE DO LASU ? JEST NIEDZIELA.



WILHELM SASNAL



DADDY YANKEE, NA PEWNO TEŻ LUBI „NA PIESKA”

rzeczy niedorzeczne

RZĄDY SILNEJ RĘKI

Potrenuj przed biurową demonstracją siły



Zamiast w stół, walnij w Executive Pressure Meter, a zobaczysz, jakie wrażenie zrobi to na stojącym przed tobą pracowniku. Tym większe, im wyżej podbijesz kulę na skali emocji. A tym wyżej ją podbijesz, im silniej uderzysz w podstawę urządzenia. Aż w końcu usłyszysz dźwięk tytanowego gongu umieszczonego na szczycie Executive Pressure Meter. Obudzi cię on z amoku złości, a podwładnego uchroni przed gromadzącą się nad jego głową burzą. Same korzyści z tego nowego gadżetu na twoim biurku: widocznie podkreślony autorytet władzy, szybkie rozładowanie emocji i zadowolony z takiego rozwoju sytuacji pracownik. Wszystko oparte na tej samej idei, co automaty odstresowujące ulicznych bokserów w centrach rozrywki. (KDJ)



Kaczmarski niepolityczny

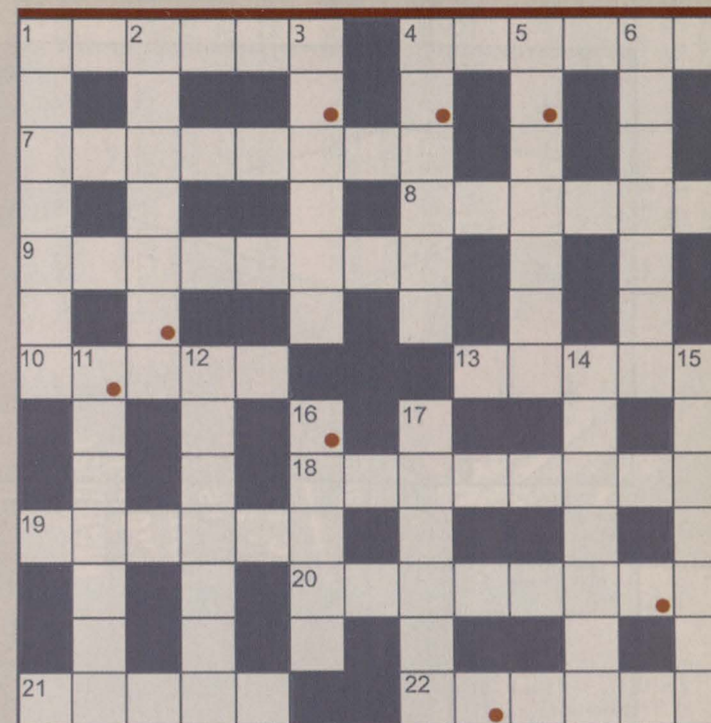
Pan Wojciech Mazowiecki kończy swój felieton „Pomyje IV RP” w nr 46. „Przekroju” słowami z piosenki Jacka Kaczmarskiego, przypisując im odniesienie do czasów PRL. Otóż cytowane słowa pochodzą z uwtoru „Autoportret Witkacego” i, jak prosto wywieść z tytułu, nie odnoszą się wcale do czasów Polski Ludowej, której Witkacy nie zaznał, a jedynie są barwnym rozwinięciem stanów emocjonalnych opisywanej przez Jacka Kaczmarskiego postaci. Przy okazji warto przypomnieć, że piosenki i, szerzej, twórczość Jacka Kaczmarskiego, choć nieodłącznie związane z losami Polski i Polaków „okresu Ludowego”, dotykają wbrew często prezentowanej opinii także, a może przede wszystkim, wielu innych aspektów i wątków ludzkiego przeżywania radości, lęków, stanów wzniosłych i uczuć podłych. I że te emocje wcale nie mają politycznych konotacji.

KONRAD BAJGER
SOSNOWIEC

SPROSTOWANIE
W poprzednim numerze „Przekroju”, przedstawiając nową asystentkę Lecha Wałęsy – panią Marię Wiktorię Wałęsę – popełniłem fatalną pomyłkę. Otóż napisałem, że Maria Wiktoria jest jedną z trzech córek byłego prezydenta, co zdecydowanie przeczy faktom, jako że państwo Wałęsowie dochowali się cór czterech. Wśród nich Anny, o której zapomniałem. Za co Ją i Szanownych Rodziców niniejszym przepraszam.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

PS Pani Monice Cieplak dziękuję za to, że była uprzejma wyprowadzić mnie z błędu.



POZIOMO:
1. TŁUCZE SIĘ PO KUCHNI
4. DRAMAT W RODZINIE
7. PNĄCZE JĘZYK PLĄCZE
8. POGODA PRZEZ CAŁY ROK
9. RURA WYBUCHOWA
10. DZIECKO CYGANA
13. PO SAPERZE
18. OD PANTOFELKA DO PUCYBUTA
19. CAŁKOWITE PRZECIWIEŃSTWO BLONDYNKI
20. OPŁATKI
21. OWOC@DRZEWO.COM
22. COPIESMA?

PIONOWO:
1. TUSK PRZED WYBORAMI
2. UMARŁ W KIERPCACH
3. MA KRÓTKIE NOGI
4. LAW STORY
5. GŁUCHA IGŁA
6. PANI OD SERCA
11. MC KWADRAT
12. 25 KONI
14. GDZIE KUCHAREK SZEŚĆ
15. POCHODZI Z KROSNA
16. KOLEJ PODMIEJSKA
17. ŁATWOPALNY

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

Rozwiązanie krzyżówki nr 44: REKTORAT

Poziomo: 1.dworek 4.apteka 7.kanonada 8.taniec 9.lusterko 10.grota 13.popas 18.zapalnik 19.flądra 20.placówka 21.ustawa 22.agonia

Pionowo: 1.dekalog 2.ognisko 3.kwadra 4.amator 5.tornado 6.koperta 11.refleks 12.tandeta 14.pingwin 15.sukmana 16.czapka 17.sprawa

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 42 nagrody wylosowali: Janina Budzeń, Bydgoszcz; Marian Cholerek, Bielsko-Biała; Teresa Krzystyniak, Nowy Targ; Bartłomiej Makowiecki, Kraków; Taida Meredith, Warszawa; Marta Motycka, Poznań; Beata Rzążewska, Lublin; Maria Stasiak, Augustów; Adam Wnęk, Olsztyn; Monika Wszołek, Kraków. **Gratulujemy!**

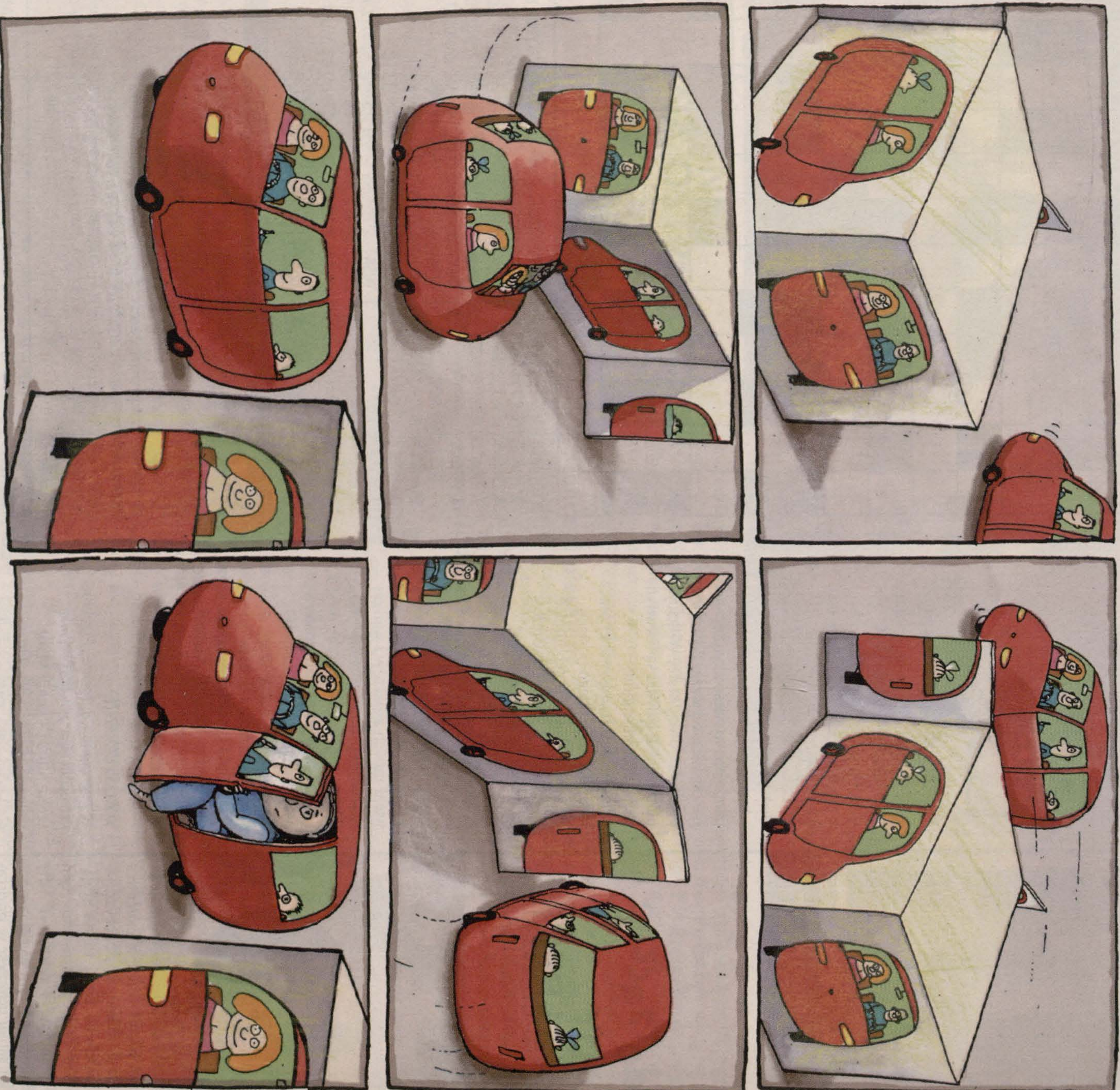
Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomiędzy czytelników, którzy do niedzieli 27 listopada nadeślą prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 10 książek Bartka Chacińskiego „Wyczesany słownik najmłodszej polszczyzny” (wydawnictwo Znak).

Rozwiązanie rebusu nr 46: KOPARKA

Za poprawne rozwiązanie rebusu nr 44 nagrody wylosowali: Marcin Bogurski, Koszalin; Dominika Bończek, Siemianowice Śląskie; Artur Czubek, Toruń; Adam Grajnert, Głogów; Kaja Kiczyńska, Warszawa; Aleksandra Lubina, Katowice; Janina Ozdowa, Płock; Alina Sobczak-Barańska, Warszawa; Michał Strzelczyk, Głowaczów; Jarosław Zapart, Bielsko-Biała. **Gratulujemy!**

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 47

UWAGA! JOLKA nr 45 – szukaj w Internecie: www.przekroj.pl



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

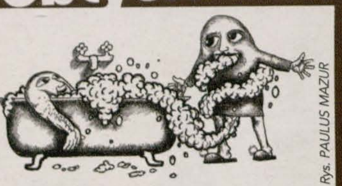
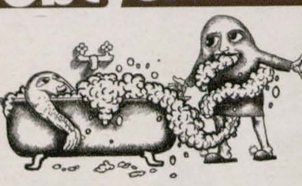
PRZEKRÓJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL. E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najsztub ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Jacek Kowalczyk PROJEKT GRAFICZNY: Elżbieta i Bogdan Żochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Laska SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Marcin Sendecki, Maria Świetlik (zastępca) ASYSTENTKA: Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chaciński (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska KRAJ: Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Ćwieluch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelińska, Cezary Łazarewicz, Rafał Madajczak, Milena Rachid Chehab, Grzegorz Rzeczkowski, Max Suski, Paweł Wieczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Marek Rybarczyk. Stale współpracują: Jonathan Cook (Jerozolima), Piotr Kowalczuk (Rzym) NAUKA: Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk PRACOWNIA GRAFICZNA: Piotr Gidlewski, Mateusz Hankała, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski PAN OD RYSUNKÓW: Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA: Marcin Kapica (szef), Bogdan Krężel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Pilśniak, Marek Szczepański KOREKTA: Tatiana Hardej, Sylwia Raczyńska ARCHIWUM: Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Jednostka Organizacyjna SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE POLSKA
WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA SA, UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01
PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała WICEPREZES: Ewa Redel DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Izabela Bochenek DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ”: Iwona Zabielska-Stadnik DZIAŁ DYSTRYBUCJI: Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska – dyrektor PRZYGOTOWALNIA: Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor) DZIAŁ PROMOCJI: Dorota Rakowska – Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska – dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 5842-295, -172, -311, -594, faks (0-22) 584 25 92 DRUK: Winkowski Sp. z o.o. – Radzymin PRENUMERATA WYDAWNICZA – zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.–pt., godz. 8–16).
Dodatkowe informacje i reklamacje (Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska) TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.–PT., GODZ. 9–17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL PRZEZ POCZTĘ – PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA – informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32

Obłych „Wydajny szampon”






































Rys. PAULUS MAZUR

Pani Obła kupuje niezwykle wydajny szampon. Dwie jego krople wystarczą, aby dokładnie umyć głowę. Ale pan Obły używa za dużo szamponu. Obserwuje, jak piana wypełnia wannę i pnie się do góry. Obły upycha ją w szybie wentylacyjnym, a część zrzuca z balkonu. Kłęby piany poniewierają się po mieszkaniu. – Myłeś głowę? – pyta Obłego żona i patrzy na pianę. Pan Obły wynurza się z niej na moment. A potem w niej znika.

Patryk Pająk



Pamiętam czasy, kiedy to JA byłem Donaldem.

Rys. LORENZ/NEW YORKER

IMIĘ NAZWISKO PRZEDMIOT Zeszyt KLASA

Rys. MAREK RACZKOWSKI

WINIEN I MA

Ferdynand Głodzik

Szukając nowych możliwości,
Zgłębiam tajniki księgowości.
Tam widać jasno jak na dłoni,
Kto dziś oszczędza, a kto trwoni.

Zgadza się kasa, bilans gra.
Wiem już, kto „Winien” i kto „Ma”.
W magii finansów nic nie ginie;
A ten, co nie ma, czemu winien?

Winni niewinnych robią w jajo,
Niewinni zawsze ci, co mają!
A potem śmieją im się w twarz:
Ty jesteś „Winien” czy coś „Masz”?

Dziś świat finansów wpada w szał.
Musisz być „Winien”, byś coś miał.
Mnie świat się marzy trochę inny:
By również mieć mógł coś niewinny.

Wypiszę „KaPe” lub „WuZet”,
Winny niewinnym będzie wnet.
Zgadza się stan na magazynie,
Winien już nie ma, a „Ma” – niewinie

Pot mi po czole ciurkiem spływa,
Grają aktywa i pasywa.
Już księgowanie zakończone!
Już nie mam nic! (na swą obronę)

Z GŁOWY Krzysztofa Bilicy

Koniec forsy końcem farsy?

LUSTRACJA VIP-uff!...

Zbigniew Dmitroca

„TUSK”

Delikatny Donald Tusk
To w teorii supermózg –
Dogmatyczny demokrata
Marzy o zbawieniu świata
Bez pomocy gróźb i rózg.

LAST MINUTE

Krzysztof Płyta

– Jak zareagowali polscy producenci na rosyjski zakaz importu?
– Rzucali mięsem.

KTNOTEATRZYK PRZEMKA JURKA

tytuł: Gnijąca Panna Młoda
podtytuł: czyli tabulatura ostatniego przeboju nowej nadziei polskiej muzyki deathmetalowej – zespołu Ropień z Nakła

Wstęp (piano przechodzące w forte):
Aaarrrggghhh!!!
Zwrotka (już zupełnie forte):
Ona przychodzi chytrze! (Gggrrr!!!)
Jak mroczny powiew śmierci! (Rrroooaaarrr!!!)
Namawia mnie do grzechu! (Vrooom!!!)
Chce mieć ze mną dzieci! (Yygghhrr!!!)
Refren (furioso):
Gnijąca Panna Młoda
Już jest na ganku, już jest na schodach!
Gnijąca Panna Młoda
Nie oddam jej serca, nie oddam!!!
(Bleee!!!)
(da capo al fine).
Całość na jednym dowolnym akordzie, instrumenty rozstrajamy, perkusiście podajemy sterydy i napoje energetyczne, po czym próbujemy go dogonić. Powodzenia!

THE END/KURTYNA

HAIKU BRZÓSKI

„Mądrość Alkoholowa”

Trzymaj się
Bariery
Bo szlaban
Nic nie daje

Dariusz Brzoska Brzóskiewicz

Fot. FULTON/FPM

SŁOWA MÓWIĄ SAME



Autor: JAROSŁAW JURGA

Odgadnij fragment znanej filmowej kołysanki przedstawiony na rysunku i do 23 listopada 2005 roku wyślij SMS-a o treści PRKR.HASLO pod numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Do wygrania: 10 płyt CD „The Greatest Love” (EMI).